TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 5 – 11 sierpnia 2026 | nr 32 (4022)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

SENS ZAMIAST SENSACJI

Niemiecki kryzys i polski pas rdzy

Bóg opuścił czat. Wyjaśniamy, dlaczego

Jak pokochaliśmy Skolima i latino

Adam Mirek: dobrze, gdy dzieci się nudzą

Psyche: czasy ludzi urażonych

KREMLOWSKI GŁOS W TWOIM DOMU

CO PIĄTY POLAK POPIERA PARTIE, KTÓRE NIE WIDZĄ ZAGROŻENIA Z ROSJI

PAULINA SIEGIEŃ | STR. 10-15



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl 3ae9b00924

REKLAMA


ALUPROF
LET'S BUILD A BETTER PLACE
OKNA I DRZWI I FASADY I OSŁONY PRZECIWSŁONECZNE I PERGOLE
AMBASADOR
Szymon Marciniak
Granice?
Tylko te, które sam wyznaczasz.
To Twój wybór.
Panoramiczne drzwi przesuwne **MB-Skyline Type S**

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, JACEK STAWISKI

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Europa płonie
AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

8 Komentarze

■ ■ KRAJ

16 Polska w ruinie
MAREK RABIJ Z NOWEJ SOLI: *Czy kryzys niemieckiej gospodarki nie zamieni tej części kraju w polski „pas rdzy”*

20 Najtrudniejszy zawód na świecie
ANNA KORYTOWSKA: *Streetworkerzy codziennie docierają tam, gdzie większość z nas nie ma odwagi zajrzeć*

22 Grand lady z dala od baniek



ŁUKASZ OSTALSKI / REPORTER

ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM KATKOWSKIM, BIOGRAFEM JADWIGI STANISZKIS: *Zaimponowała mi jako nonkonformistka, bezczelna publicystka i intelektualistka*

■ ■ REPORTAŻ

28 Wyglądasz osiągalnie
MONIKA OCHĘDOWSKA ZNAD BAŁTYKU: *Jak pokochaliśmy Skolima*

■ ■ ŚWIAT

32 Pigułka, seks i lato miłości
MARTA ZDZIEBORSKA *o rewolucji społecznej w USA ponad 60 lat temu*

36 Granica wyznaniowa
ARKADY RZEGOCKI *o pierwszym katoliku na czele brytyjskiego rządu*

38 Niedostępny Tiananmen
SZYMON LAUER Z PEKINU: *Plac Niebiańskiego Spokoju to system w pigułce*

■ ■ WIARA

42 Bóg opuścił czat
PIOTR SZYMANEK: *Dlaczego modele AI pomijają perspektywę religijną, udzielając porad?*

46 Druga odsłona jogi
MACIEJ BIELAWSKI: *W dwudziestoleciu międzywojennym gwałtownie rosło zainteresowanie jogą*

NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP”

TEMAT TYGODNIKA

10

Kremlowski głos w twoim domu

PAULINA SIEGIEŃ

Co piąty Polak popiera partie, które nie widzą zagrożenia z Rosji.



■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ
26 OLGA DRENDA
57 WOJCIECH BONOWICZ
76 PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP”

REDAKTORKA PROWADZĄCA:
ANNA GOC

48 Do Polski na misje
MARCIN CHODUŃ: *Liczba powołań konsekwentnie spada, a w polskich parafiach coraz częściej pracują księża z zagranicy*

51 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA SJ KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

52 Śladami Atlantydy
GRAŻYNA MYŚLIŃSKA: *W dziewięć dni przejechali rowerami 450 km: od Kibartów na Litwie do Olsztyna. Przebyli też kilka wieków w przeszłość*

■ ■ NAUKA

60 Dowody na medal
PAULINA ROWIŃSKA: *Historia tegorocznych laureatów Medali Fieldsa pokazuje, jak dziś funkcjonuje matematyka*

■ ■ KULTURA

64 Dobre pytanie



AGNIESZKA WOJTUŃ

ROZMOWA Z ADAMEM MIRKIEM, POPULARYZATOREM NAUKI I TWÓRCĄ INTERNETOWYM: *Sposobem na utrzymanie uwagi dziecka jest wciągnięcie go w przygodę*

68 Teatr niepokoju
JACEK WAKAR: *Bartosz Szydłowski skłania nas do przejrzenia się w swoich spektaklach: czekamy na barbarzyńców czy odkrywamy ich w sobie?*

70 Biennale otwarte
PIOTR KOSIEWSKI Z PRAGI: *Ambicją Biennale jest wyjście poza formułę tradycyjnego wydarzenia artystycznego*

73 Polecamy

74 Wakacje z potworami
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Wakacje z potworami”*

75 Powieść odzyskana
LEKTOR *o książce „Kasperl i Margit” Macieja Płazy*

■ ■ PSYCHE

78 Urażeni
ROZMOWA Z PROF. DARIUSZEM DOLIŃSKIM, PSYCHOLOGIEM SPOŁECZNYM: *Chcemy być rozumiani i wysłuchani, a nie rozumieć i wysłuchiwać innych*

eprasa.pl 3ae9b00924

KS. ADAM

Boniecki: *Ukraina wciąż potrzebuje solidarności*

Uważam oczywiście, że „Tygodnik” powinni czytać wszyscy, ale z konieczności lektury otwierającego ten numer artykułu Pauliny Siegień chodzi jeszcze o coś innego. Nasza autorka tłumaczy bowiem coś, czego wielu ludzi nie może zrozumieć (albo się przyzwyczaiło i znieczuliło): tuż obok nas toczy się wciąż straszna wojna, której stawką jest także nasza przyszłość, bo rosyjski agresor ma wrogi stosunek nie tylko do Ukrainy, ale także do Polski.

Trudno po lekturze nie zapytać (siebie) o własny stosunek do Rosjan i do Ukraińców. Najpierw ci ostatni, broniący się przed napaścią kolosalnego mocarstwa. Nie zaczęli wojny, po prostu powiedzieli „nie” na „propozycje” Rosji (napisałem w cudzysłowie, bo były to nie tyle propozycje, ile pomysł na kolejne zniewolenie Ukrainy). Że nasze relacje z Ukrainą były wcześniej dramatycznie trudne? Żyję bardzo długo, pamiętam wiele: pamiętam i to, jak traktowaliśmy Ukraińców w II RP, i ukraińskie oddziały w SS. Jacy byli wtedy, ubrani w niemieckie mundury? Tak, pamiętam, jacy byli. Pamiętam i pytam, czy pozostaje tylko mściwa pamięć?

Z pewnością solidarność, z jaką reagowaliśmy na ich dramat w początkach obecnej wojny, była czymś wspaniałym. Co się z nią stało? Nie jestem skłonny przesadnie składać odpowiedzialność na działanie rosyjskiej propagandy, zresztą bardziej interesuje mnie inny wymiar tego



GRAŻYNA MAKARA



GRAŻYNA MAKARA

JACEK

Stawiski: *Zagrożenie ze wschodu*

Eksplozja rosyjskiej rakiety bojowej na obszarze Lubelszczyzny przypomina o bliskości zagrożenia wojennego. Pochłonięci sporami o pamięć zapominamy, jak wielkiej próbie poddani są nasi ukraińscy sąsiedzi, dla których bombardowania to dramatyczna codzienność.

Z tego zdarzenia władze i służby muszą wyciągać wnioski: jakie procedury ostrzegawcze i obronne działają, a jakie nie. Ale to także test dla nas, obywateli. Najgorsze są dwie skrajności: panika i obojętność. Odporność państwa oznacza, że udaje się ich uniknąć.

Krótko przed eksplozją rakiety premier Tusk i prezydent Zełenski dyskutowali w Lublinie o współpracy sojuszniczej. Ich spotkanie to dowód, że napięcia na tle historycznym nie zredukowały naszych kontaktów. Doszło do niego po rozmowie ukraińskiego przywódcy z Donaldem Trumpem, który, niestety, wycofał się z niedawnej obietnicy przyznania Kijowowi licencji na produkcję rakiet do Patriotów.

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 27

SPRAWDŹ PROMOCYJNĄ OFERTĘ: PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

eprasa.pl 3ae9b00924

pytania: co się stało z naszą chrześcijańską postawą? Pierwszy entuzjazm minął, zgoda, ale przecież nie musiał się zmieniać w niechęć, zaciekłość, wrogość.

Wojna Rosji przeciw Ukrainie trwa. To, że się jest w niej po stronie Ukrainy, nie powinno (chciałoby się powiedzieć, że nie może) znaczyć, że się jest przeciwko wszystkim Rosjanom. Wielu z nich nie chciało tego konfliktu, zostało do niego wciągnięte przez politykę i ideologię rządzącego tym krajem dyktatora. Dramatem jest śmierć po obu stronach, choć mówiąc to nie zapominam, kto jest agresorem.

PS. Korzystając z okazji dziękuję za wspaniale pomyślane i fantastycznie zorganizowane moje urodziny. Dziękuję Księdzu Kardynałowi Grzegorzowi Rysiowi za Mszę i kazanie w Kościele św. Stanisława Kostki, a potem Wojciechowi Mannowi, aktorkom i aktorom Teatru Bagatela, Koleżankom i Kolegom z Redakcji, wszystkim gościom i uczestnikom tego niezwykłego wieczoru, a także wszystkim, którzy – jak to się mówi – duchem byli z nami. Klimat Mszy, a potem „benefisu", był prawdziwie w stylu „Tygodnika", i do myślenia, i do śmiechu. Do relacji zamieszczonej na tych łamach przed tygodniem chciałbym tylko dodać słowo o moim wzruszeniu, ale jak, kiedy tego (niestety!) nie da się wypowiedzieć słowami. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

Donald Tusk po eksplozji rosyjskiego pocisku mówił o gotowości przekazania walczącym Ukraińcom kolejnej porcji amunicji do tego systemu. To ważne, bo jesteśmy w momencie niebezpiecznego zwrotu nastrojów w polskim społeczeństwie. Coraz więcej z nas nie życzy sobie wsparcia dla Ukrainy, a mieszkający w naszym kraju Ukraińcy bywają obiektem fizycznych i słownych ataków. Takie zachowania są równie haniebne, jak niemądre są opinie różnych „analityków", głoszących, że pewna zwycięstwa Ukraina zawiera „antypolskie" sojusze, co legitymizuje przemoc wobec jej obywateli. Przecież Ukraina walczy o przetrwanie, i to jest jej naczelny cel. Natomiast polski wybuch wrogości wobec niej to krok samobójczy dla nas samych. Obnaża kompleksy i brak wizji tego, co mamy robić w czasach wojny i w czasach bez wojny – o pokoju trudno przecież mówić.

Artykuł **PAULINY SIEGIEŃ** w Temacie Tygodnika dotyka ponurego trendu: nastrojów prokremlowskich na naszej scenie politycznej. Powtórzę: w obliczu zagrożenia z Kremla ani panika, ani obojętność, ani zaklęcia „to nie nasza wojna", ani antyukraińska kampania wrogości, nie oddalają zagrożenia ze wschodu. To zagrożenie nazywa się putinowska Rosja. Ukraina jest sojusznikiem. ©℗

Jacek Stawiski, dziennikarz i historyk, jest redaktorem naczelnym „Tygodnika Powszechnego"

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU"

TADEUSZ MAREK
Po co nam sztuka? Szukamy odpowiedzi na to pytanie z perspektywy socjologii, ekonomii, biznesu, polityki i psychologii, pokazując, dlaczego jej znaczenie wykracza daleko poza mury muzeów i galerii.

WALDEMAR ŁAZUGA
Żaden Niemiec nie ma więcej upamiętnień niż Otto von Bismarck. Po 1945 r. wiele z nich znalazło się w granicach Polski. Ich losy były różne. Czasem ironiczne.



WIKIPEDIA / MONTAŻ „TP"

MAŁGORZATA LEBDA
na święto Wniebowzięcia Matki Bożej. O maryjnym zanurzeniu, które dokonuje się dzięki rodzinie i społeczeństwu, budując naszą tożsamość.

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

eprasa.pl 3ae9b00924

OBRAZ TYGODNIA

27 LIPCA – 2 SIERPNIA 2026

ROSYJSKA RAKIETA CH101 spadła i eksplodowała w polu nieopodal Tarnawy-Kolonii na Lubelszczyźnie. Szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz powiedział, że gdyby stanowiła zagrożenie, zostałaby zestrzelona. ■■■ **TRZYMIESIĘCZNY ARESZT** dla 45-letniego Adama C. i 27-letniego Tomasza M., podejrzewanych o udział w brutalnym pobiciu pary obywateli Ukrainy we Wrocławiu. ■■■ **LICENCJA** na produkcję rakiet Patriot jednak nie dla Ukrainy. Donald Trump wycofuje się z obietnicy złożonej na lipcowym szczycie NATO w Ankarze i podczas rozmów z prezydentem Zełenskim w Waszyngtonie. ■■■ **W EKSPLOZJI BOMBY** w moskiewskiej restauracji zginęło co najmniej pięć osób. Pojawiły się spekulacje, że celem ataku był gen. Aleksandr Czajko, który dowodził oddziałami zamieszanymi w zbrodnie wojenne w Buczy. ■■■ **„W NIEMCZECH** na prawym i lewym marginesie są partie, które widocznie każdego ranka otrzymują instrukcje z Moskwy" – ostrzega w wywiadzie prasowym ambasador Ukrainy w Berlinie Ołeksij Makiejew. ■■■ **NOWA RZECZNICZKA** praw obywatelskich Sylwia Gregorczyk-Abram złożyła ślubowanie przed Sejmem. ■■■ **40 POSŁANEK I POSŁÓW** oraz jeden senator Stowarzyszenia Rozwój Plus Mateusza Morawieckiego utworzyło klub parlamentarny. ■■■ **ZAKAZ KORZYSTANIA** z telefonów komórkowych w przedszkolach i szkołach, także podczas przerw, będzie obowiązywał od 1 września. ■■■ **JĘZYK ŁEMKOWSKI** został wpisany na krajową listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego. ■■■ **3 PROCENT PODATKU** od przychodów mają płacić globalne firmy technologiczne, działające na polskim rynku. Rządowy projekt zakłada, że przepisy miałyby wejść w życie od 1 stycznia 2027 r. ■■■ **TREŚCI GENEROWANE** przez AI muszą być oznaczone. Od początku sierpnia w UE obowiązują przepisy Aktu o Sztucznej Inteligencji. ■■■ **ELEKTROWNIA JĄDROWA PAKSU** na Węgrzech została wyłączona z powodu bardzo niskiego poziomu wody w Dunaju. ■■■ **TERRORYŚCI Z HAMASU,** sprawujący kontrolę nad częścią Strefy Gazy, są gotowi do rozbrojenia. Nie wiadomo, czy zapowiedź dotyczy tylko broni ciężkiej, czy wszelkiej broni. ■■■ **NIRMAL PURJA,** brytyjsko-nepalski himalaista, który w rekordowo szybkim tempie zdobył 14 ośmiotysięczników, zginął w lawinie pod szczytem Broad Peak. ■■■ **PRZEDTERMINOWE WYBORY** na prezydenta Krakowa odbędą się 27 września. W maju w referendum został odwołany z tej funkcji Aleksander Miszalski (KO). ■■■ **INDEKS BIG MACA**, popularny wskaźnik siły nabywczej, istnieje 40 lat. W 1986 r. stworzył go tygodnik „The Economist". ■■■ **ZMARŁA** Iga Cembrzyńska, legenda polskiego kina i teatru, piosenkarka, scenarzystka i producentka. Miała 87 lat. ■■■ **POLSCY SIATKARZE** zwyciężyli w Lidze Narodów. W finale pokonali Stany Zjednoczone 3:2. ■■■ **GIANNI INFANTINO** może stracić władzę w FIFA po tym, jak ujawniono, że rozważał sprzedanie części praw do mundialu prywatnym inwestorom. ■■■ **ZINÉDINE ZIDANE** został nowym trenerem reprezentacji Francji. ©℗



BAZ RATNER / AFP / EAST NEWS

POWYŻEJ: Wozy strażackie i pojazdy ratownicze ustawione wzdłuż dróg stanowiły kluczową linię obrony przed gigantycznym pożarem, który pod koniec lipca 2026 r. spustoszył departament Żyronda w południowo-zachodniej Francji. Arès, 28 lipca 2026 r.

EUROPA PŁONIE

W megapożarach najbardziej ucierpiały Francja i Hiszpania, ale żywioł przybiera na sile w wielu krajach.

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Największy od 1949 r. pożar we Francji wybuchł w połowie lipca w lasach na zachód od Bordeaux i rozprzestrzeniał się w niespotykanym tempie, obejmując 420 kilometrów kwadratowych. Po raz pierwszy w historii kraju potwierdzono powstanie pirocumulonimbusów – potężnych chmur burzowych utworzonych z dymu, popiołu i pary wodnej, unoszonych przez rozgrzane masy powietrza. Potęgują one siłę żywiołu, wywołując silne podmuchy i wyładowania oraz przenosząc żar przed czoło płomieni.

Premier Sébastien Lecornu poinformował w sobotę, że pod Bordeaux sytuację udało się opanować, ale zagrożenie nie minęło, bo w wysuszonej

eprasa.pl 3ae9b00924



Pożary w UE w liczbach

434 976 HEKTARÓW lasów spłonęło od początku 2026 r. To więcej niż w tym samym okresie rekordowego 2025 r. i ponad dwa i pół razy więcej od średniej z lat 2006-2025.

1407 pożarów zarejestrował Europejski System Informacji o Pożarach Lasów (EFFIS). To nieco mniej niż w analogicznym okresie rekordowego 2025 r., kiedy odnotowano ich 1467, ale ponad dwukrotnie więcej niż wynosi wieloletnia średnia (632 pożary).

17,98 MLN TON CO_2 wyemitowały tegoroczne pożary w UE. W analogicznym okresie 2025 r. było to 8,48 mln; średnia z ostatnich 20 lat wynosi 10,3 mln ton.

0,1 – 4,8 PROC. – taką część PKB, zależnie od skali zjawiska, tracą obszary dotknięte wielkimi pożarami.

PONAD 300 TYS. osób musiało opuścić domy i miejsca wypoczynku podczas kulminacji pożarów we Francji, Hiszpanii i Portugalii.

23,4 MLN TON – o tyle mniej zbóż zbiorą w tym roku europejscy rolnicy z powodu fali upałów i suszy.

3,3 MLD EURO mogła kosztować akcja gaśnicza w Hiszpanii. Brak jeszcze szacunków kosztów dla pożarów we Francji i innych regionach. © AK, WB

ściółce wciąż pozostawały rozżarzone ogniska, które mogą prowadzić do ponownego zapłonu. Nieco lepiej jest też w Hiszpanii, gdzie premier Pedro Sánchez ogłosił w czwartek zakończenie stanu wyjątkowego w regionach Ávili i Madrytu, ale żywioł przybiera na sile w Grecji, Włoszech, Portugalii, Albanii i Turcji. A nad Europę nadciąga piąta już tego lata fala upałów, która może dotrzeć do Europy Wschodniej i Skandynawii.

KONIEC ANOMALII | Po wilgotnej zimie i wiośnie dzika roślinność rozrosła się wyjątkowo bujnie, zaś późniejsze upały szybko ją wysuszyły. Problem pogłębia wyludnianie wsi, bo tam, gdzie znikają uprawy i zwierzęta, przybywa roślinności, która może podtrzymywać duży pożar. Ogniowi sprzyjają też uprawiane na skalę przemysłową monokultury drzew, takich jak sosny czy eukaliptusy. W rezultacie część kontynentu zamieniła się w beczkę prochu. A po potężnych pożarach w Kanadzie i USA wielu ekspertów twierdzi, że wkroczyliśmy w erę megapożarów.

Ten rok w Europie przyniósł nową, niepokojącą prawidłowość. Według Europejskiego Systemu Informacji o Pożarach Lasów (EFFIS) od początku roku w Unii Europejskiej spłonęło ponad 4,3 tys. km kwadratowych – to więcej niż w tym samym okresie 2025 r., który był najgorszy w historii pomiarów, i obszar ponad dwa i pół razy większy, niż wynosi średnia z ostatnich 20 lat. Liczba pożarów jest przy tym w ciągu ostatnich dwóch lat ponad dwukrotnie wyższa niż średnia wieloletnia.

„Europa przez pewien czas była pewnego rodzaju anomalią. Temperatury rosły, zagrożenie pożarowe rosło, a powierzchnia spalonych terenów malała" – powiedział magazynowi „Nature" Raúl Cordero z Uniwersytetu w Groningen. Jego zespół przeanalizował dane z południa Europy od lat 80. XX w. Wynika z nich, że w ciągu ostatniej dekady liczba pożarów spadła o co najmniej 40 proc., mimo że systematycznie przybywało dni sprzyjających ich wybuchowi.

Europa ociepla się szybciej niż jakikolwiek inny kontynent – temperatury są już o 2,5 stopnia Celsjusza wyższe niż średnia z okresu przedindustrialnego. Zmiany klimatyczne sprawiły, że „pogoda pożarowa" stała się bardziej powszechna i ekstremalna, ale maskowała to coraz większa skuteczność działań przeciwpożarowych koordynowanych przez Unię Europejską. Więcej samolotów, lepiej wyszkolonych strażaków i sprawniejsze systemy ostrzegania pozwalały ograniczać liczbę dużych pożarów. Do czasu.

„Nie chodzi o pieniądze. Nie chodzi o inwestycję. Nie chodzi o heroizm strażaków" – stwierdza Carrasco, dodając: „Nie da się po prostu ugasić pożaru, gdy warunki są tak ekstremalne, jak te, które widzieliśmy w ostatnich dniach w Europie". „To była tylko kwestia czasu, zanim warunki sprzyjające pożarom przekroczą możliwości systemu gaśniczego" – stwierdza w tym samym tekście w „Nature" Theodore Giannaros z Narodowego Obserwatorium w Atenach.

BILANS KOSZTÓW | Prognozy wskazują, że w tym roku okres zagrożenia wydłuży się poza typowy letni sezon i nie jest jasne, czy rzeczywiste szkody pożarów da się wiarygodnie oszacować.

„Skala rzeczywistych strat powodowanych przez pożary lasów często nie znajduje odzwierciedlenia w danych ubezpieczycieli, ponieważ znaczna ich część – zwłaszcza w lasach, ekosystemach i na terenach publicznych – nie jest objęta ubezpieczeniem" – mówił „Bloombergowi" Nicolas Jeanmart, dyrektor ds. ubezpieczeń osobowych i majątkowych w Insurance Europe, grupie branżowej reprezentującej ubezpieczycieli i reasekuratorów. „Dlatego koszty społeczne, obejmujące degradację ekosystemów, utratę świadczonych przez nie usług oraz szerzej rozumiane skutki gospodarcze, są zazwyczaj znacznie wyższe niż wartość szkód pokrywanych przez ubezpieczycieli".

Ze wstępnych szacunków wynika, że fale upałów przyczyniły się do 16 tys. nadmiarowych zgonów w Europie, ale ten bilans nie jest zamknięty. Do tego należy się spodziewać, że żniwo zbierze także ogień i to daleko od miejsc, w których wybucha. „The Economist" pisze, że „pożary lasów są dla klęsk żywiołowych tym, czym pociski balistyczne dla broni palnej – zdolne do zabijania z odległości setek, a nawet tysięcy kilometrów". Generowane przez nie ciepło unosi dym wysoko w atmosferę, skąd wiatr może go roznosić po całym kontynencie.

Dym zawiera cząsteczki o różnej wielkości, w tym o średnicy 2,5 mikrometra lub mniejszej (PM 2,5). To właśnie ta forma zanieczyszczenia powietrza stanowi największe zagrożenie, bo te drobne cząsteczki zwiększają ryzyko udarów mózgu, chorób serca i chorób układu oddechowego. ©

eprasa.pl 3ae9b00924



Nauczyciel w poczekalni

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

W jednym z memów, jaki mignął mi przy okazji afery z zarobkami lekarzy, nauczyciel domaga się represji na podobieństwo tych, jakie spotkają medyków – chodzi o projekt limitujący pobory pracowników służby zdrowia do 16-krotności minimalnej krajowej pensji.

W realnym świecie nauczyciele oczekują mniej – a jeszcze mniej dostają. Obecny rząd na początek swej kadencji obiecywał pedagogom 30-procentowy awans finansowy, i z zapowiedzi się wywiązał. Kolejne lata to już jednak podwyżki kosmetyczne. Równolegle Donald Tusk na zjeździe ZNP w 2024 r. dokonał innej obietnicy: że Sejm przyspieszy wreszcie prace nad złożonym trzy lata wcześniej obywatelskim projektem ustawy o powiązaniu zarobków tej grupy z przeciętnymi wynagrodzeniami w gospodarce (nauczycielska pensja wynosiłaby, w zależności od stopnia awansu, między 100 a 155 proc. tego wskaźnika). Chodziło o to, by zarobki nauczycieli przestały być wreszcie zdane na łaskę – a częściej niełaskę – polityków.

Dziś wiemy, że z obietnicy nic nie wyjdzie. Rzeczniczka MEN zapowiedziała niedawno, a w rozmowie z „Tygodnikiem" potwierdziła, że resort pracuje nad własnym projektem. Szczegółów prac, które są ledwie na etapie konsultacji z Ministerstwem Finansów, nie poznamy. Biorąc jednak pod uwagę kalendarze budżetowy i polityczny (na zmiany w budżecie AD 2027 już za późno, a w przyszłym roku wybory) może to oznaczać jedno: projekt ZNP wyląduje na stałe w zamrażarce, a ten ministerialny nie zdąży ujrzeć światła dziennego. Nauczyciele pozostaną na garnuszku polityków, ZNP wyda zaś – tuż przed początkiem roku szkolnego – rytualny pomruk niezadowolenia w postaci protestu. Wszystko zostanie po staremu, włącznie z zarobkami pedagogów (dziś pobory tych dyplomowanych można uznać za przyzwoite, bo sięgające wraz z dodatkami mniej więcej średniego wynagrodzenia, jednak zarobki pedagogów początkujących pozostają żenująco niskie). A jeśli ci ostatni spotkają się z lekarzami, to jedynie w życiu codziennym: średnia wieku nauczyciela dobija do pięćdziesiątki, a 60 proc. z nich wykazuje – jak pokazały niedawne badania zlecone naukowcom przez ZNP – silne dolegliwości somatyczne, jak bezsenność i przewlekłe bóle.

„Gdybym miał doradzić politykom wybór najważniejszej rzeczy (...), odpuściłbym nawet ochronę zdrowia, a wybrał edukację. Chirurg uratuje kilku nauczycieli, nauczyciel wychowa stu chirurgów" – mówił w 2022 r. w wywiadzie dla „Tygodnika" prof. Marcin Napiórkowski. Politycy, mówiąc delikatnie, z tej rady nie skorzystali. ©℗



ANDRZEJ KULPITA / EAST NEWS

Prezes ZNP Sławomir Broniarz przed spotkaniem w Ministerstwie Edukacji Narodowej. Warszawa, 24 czerwca 2026 r.



Ceuta i kryzys

MARCIN ŻYŁA

Ponad 50 tys. osób, niemal wyłącznie młodych Marokańczyków, przedostało się nielegalnie w miniony czwartek do Ceuty, hiszpańskiej eksklawy w pobliżu Cieśniny Gibraltarskiej. Krótkiej morskiej przeprawy nie przeżyło ponad 70 z nich. Przez kilkadziesiąt godzin wielu mieszkańców 84-tysięcznej Ceuty nie wychodziło z domów. Nie doszło jednak do rozruchów, co sugerowały niektóre media. Do piątku wieczór ponad 48 tys. ludzi, w większości dobrowolnie, opuściło terytorium Hiszpanii.

Kryzys – najpoważniejszy taki od lat – miał kilka powodów. 8 lipca Sąd Najwyższy w Madrycie zakazał tzw. push-backów, czyli cofania osób przekraczających nielegalnie granicę z Ceutą i Melillą (drugą eksklawą) drogą morską. Przez cały miesiąc Guardia Civil odnotowywała wzrost liczby przekroczeń. Po stronie marokańskiej grupy czerpiące korzyści z procederu, m.in. taksówkarze, przekonywały, że Hiszpania „otworzyła granicę". Dla Marokańczyków w wieku od 15 do 24 lat, z których jedna czwarta nie ma dostępu do edukacji lub jest bezrobotna, dodatkową zachętą mogła być trwająca po drugiej stronie cieśniny legalizacja pobytu kilkuset tysięcy imigrantów – choć i tak by ich ona nie objęła.

To wszystko nie wyjaśnia, dlaczego kilkadziesiąt tysięcy ludzi gromadzących się w sąsiadujących z Ceutą Tetuanie i Al-Funajdik uszło uwadze sprawnych zwykle służb marokańskich. A może... wcale nie uszło? 10 dni wcześniej premier Pedro Sánchez był z wizytą u regionalnego rywala Maroka i zarazem nowego przyjaciela Hiszpanii: w Algierii. Parlament w Madrycie chce nadać obywatelstwo rdzennym mieszkańcom Sahary Zachodniej (obecnie pod marokańską kontrolą) urodzonym przed 1976 r. A samego Sáncheza, najgłośniejszego tej rangi krytyka Donalda Trumpa, nie znosi król Maroka Muhammad VI, który u siebie imieniem prezydenta USA chrzci nawet autostrady. Precedens już był: pięć lat temu, po sporze znacznie mniejszej wagi, marokańskie służby umożliwiły wejście do Ceuty 6 tys. ludzi. Także tym razem kryzysu by prawdopodobnie nie było, gdyby nie chciano go w pałacu królewskim w Rabacie.

Szykujący się do wyborów w 2027 r. Sánchez tłumaczy się teraz z „inwazji migrantów". Trump, wiceprezydent J.D. Vance oraz premierka Włoch Meloni, która zagroziła zawieszeniem przepisów z Schengen (choć w praktyce z Ceuty nie da się bez kontroli dostać do Europy), zyskują u swoich zwolenników. Różnica w poziomie dochodów między Hiszpanią i Marokiem – główny powód migracji z południa – tylko się pogłębia. ©

eprasa.pl 3ae9b00924

Czy można kupczyć mundialem



WILLIAM VOLCOV / AP / EAST NEWS

Gianni Infantino i Donald Trump podczas ceremonii zamykającej mistrzostwa świata w piłce nożnej, 19 lipca 2026 r.

FUTBOL ▪ Liczne są morały wynikające z fiaska, jakim zakończyła się próba powołania przez Gianniego Infantino tzw. Fifa Forward Enterprises – instytucji mającej umożliwić prywatnym inwestorom, powiązanym (cóż za niespodzianka) z Donaldem Trumpem, czerpanie korzyści z najbardziej dochodowego przedsięwzięcia światowej organizacji piłkarskiej: mundialu. Jeden z nich wiąże się z pochwałą dziennikarstwa, bo plany Infantino i jego niedoszłych biznesowych partnerów ujawnił reporter „Timesa" Martyn Ziegler.

Śledztwo dziennikarskie Zieglera pozwoliło połączyć w całość wydarzenia z ostatnich miesięcy. Listopadowe przyjęcie w Białym Domu, m.in. z udziałem Cristiano Ronaldo, ale też Trumpa, Infantino, Elona Muska i innych amerykańskich krezusów. Ogłoszoną dwa tygodnie później amnestię dla portugalskiego gwiazdora, umożliwiającą mu uczestnictwo w mistrzostwach świata już od pierwszego meczu, mimo dyskwalifikacji za czerwoną kartkę w eliminacjach (podnosiło to komercyjną wartość imprezy w oczach inwestorów takich jak Joshua Kushner – obracający miliardami brat Jareda Kushnera, zięcia prezydenta USA). Wymyśloną specjalnie dla Trumpa nagrodę pokojową FIFA. Mundialowe *novum:* stanowiące gratkę dla reklamodawców dodatkowe przerwy na nawodnienie piłkarzy.

Warta potencjalnie 20 mld dolarów Fifa Forward Enterprises – która zarządzałaby stroną komercyjną działań będącej teoretycznie organizacją non-profit światowej federacji piłkarskiej (czytaj: sprzedawałaby prawa do transmisji telewizyjnych i biletów, reklam itd.) – wprawdzie nadal byłaby pod kontrolą FIFA, ale dopuszczenie do niej prywatnych inwestorów rodziło wiele pytań. Nie tylko o brak przejrzystości i potencjalny konflikt interesów albo chciwość kluczowego gracza („Times" twierdzi, że Infantino, szykujący się do przejęcia sterów w FFE po złożeniu urzędu prezydenta FIFA, liczył na zarobienie „naprawdę poważnych pieniędzy": 30 mln dolarów rocznie w miejsce kasowanych obecnie skromnych sześciu). Skandal, który wybuchł, ujawnił jeszcze coś: obawę, że dążący do maksymalizacji zysków milionerzy sprzedadzą przy okazji duszę futbolu. Sportu, który – jak to ujął brytyjski premier Andy Burnham – nie należy do inwestorów, tylko do ludzi wypełniających trybuny stadionów świata z miłości, bez pytania, czy spali ich słońce, czy deszcz przemoczy do suchej nitki.

A najważniejszy morał z tej historii? W lipcu słyszeliśmy, że ponad 200 z 211 tworzących FIFA krajowych federacji popiera ponowny wybór Gianniego Infantino na prezydenta organizacji. Pomysł zwiększenia liczby uczestników mundialu z 48 do 64 zdawał się pieczętować wieczne panowanie futbolowego króla Midasa. Interes kwitł, złota było coraz więcej, wizja kupczenia mundialem przeraziła jednak działaczy kluczowych kontynentalnych federacji (UEFA z Europy, Conmebol z Ameryki Południowej, AFC z Azji) – i chyba nawet Trump nie ma mocy Dionizosa, by po skandalu FFE ocalić chciwego władcę. W świecie, w którym wszystko jest na sprzedaż, futbolu się kupić nie udało.

©℗ **MICHAŁ OKOŃSKI**

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

eprasa.pl 3ae9b00924

TEMAT TYGODNIKA

KREMLOWSKI GŁOS W TWOIM DOMU

Co piąty Polak popiera partie, które nie widzą zagrożenia z Rosji.

PAULINA SIEGIEŃ

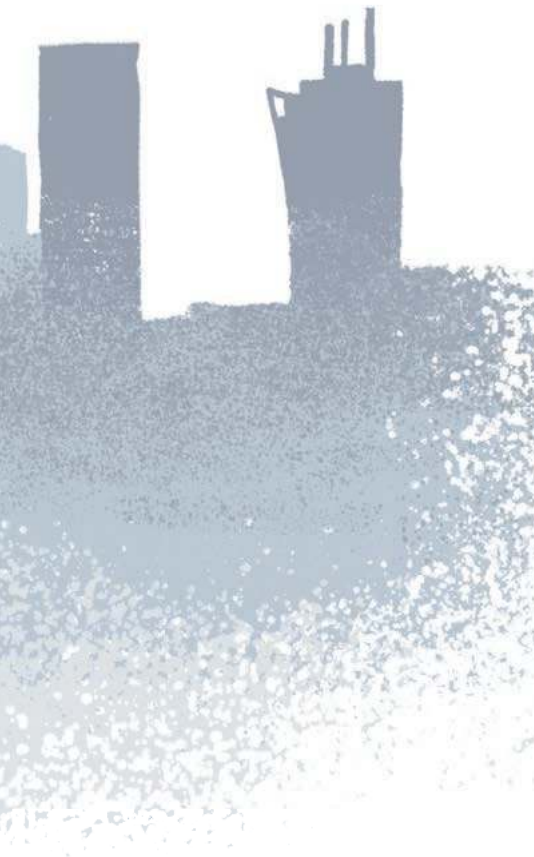


NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP"

eprasa.pl 3ae9b00924

Październik 2021 r. W centrum Warszawy, w jednym z nowych biurowców nad Wisłą, odbywa się impreza z okazji 10-lecia działania Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia (CPRDiP). W ramach obchodów jubileuszu zaplanowana jest dyskusja. Biorą w niej udział Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, była ambasadorka Polski w Moskwie i członkini Polsko-Rosyjskiej Grupy do Spraw Trudnych, Adam Eberhardt, ówczesny szef Ośrodka Studiów Wschodnich, Siergiej Utkin i Denis Wołkow, dyrektor Centrum Lewady, czyli niezależnej rosyjskiej sondażowi, oraz Hennadij Maksak, szef think tanku „Ukraiński Pryzmat".

Jako gospodarz i moderator pojawia się też politolog Ernest Wyciszkiewicz, dyrektor Centrum. Choć okrągłe jubileusze służą odtrąbieniu sukcesów i zakreślaniu obiecujących perspektyw na przyszłość, tamtego wieczora uczestnicy dyskusji nie kryją pesymizmu. Od słowa do słowa, dochodzą zgodnie do wniosku, że relacje polsko-rosyjskie są w najgorszej kondycji od lat, na poziomie państwowym praktycznie nie istnieją.



Gdy trwa ta rozmowa, Rosja koncentruje wojska przy granicy z Ukrainą. Wkrótce sformułuje swoje ultimatum, w którym pada żądanie uznania rosyjskiej strefy wpływów na terenie posowieckim, wycofania wojsk sojuszniczych z terytoriów nowych państw-członków NATO i oczekiwanie utworzenia na terenie Europy Środkowej, w tym Polski, strefy buforowej, gdzie ograniczone byłyby zbrojenia i prowadzenie ćwiczeń oraz manewrów wojskowych.

Kreml publicznie przedstawia swoje żądania w grudniu 2021 r. – jako projekt porozumienia, przekazany Stanom Zjednoczonym. Mimo że dokument ma charakter niemożliwego do spełnienia szantażu, nawet ekspertom, którzy zęby zjedli na putinowskiej Rosji, nie chce się wierzyć, że dojdzie do pełnoskalowej wojny.

Misja poszła w inną stronę

Dzisiaj Ernest Wyciszkiewicz określa tamten jubileuszowy wieczór jako „bal na »Titanicu«". Przyznaje jednocześnie, że proces rozkładu dialogu polsko-rosyjskiego zaczął się wcześniej, w 2014 r., kiedy Rosja zajęła Krym i wywołała wojnę na Donbasie.

– Wtedy, jesienią 2021 r., mieliśmy razem z zespołem poczucie, że to, co się dzieje, czyli koncentracja armii przy granicach Ukrainy i otwarta agresywna retoryka rosyjskich władz, jest gwoździem do trumny projektu CPRDiP. To wywróciło do góry nogami ideę, która przyświecała powstaniu centrum dialogu – mówi Wyciszkiewicz.

Tą ideą było podejmowanie z Rosjanami tematów ważnych z polskiej perspektywy, w tym tych dotyczących historii i zbrodni reżimu sowieckiego. Zadaniem Centrum, które miało swój odpowiednik w Rosji, było poszerzanie pola dialogu i wciąganie do niego instytucji naukowych i kulturalnych.

– Ten filar naszej działalności został nadkruszony jeszcze w 2014 r. – wspomina Wyciszkiewicz. – Zwróciliśmy się wtedy mocniej ku rosyjskiej opozycji, środowiskom niezależnym, budując dialog z tymi Rosjanami, którzy wierzyli, że Rosja może być inna. Ale już wtedy, po aneksji Krymu, czuliśmy, że nasza początkowa misja poszła w inną stronę.

Zmiana bardzo symboliczna

Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia zostało powołane przez parlament i prezydenta Bronisława Komorowskiego w marcu 2011 r. Od początku było instytucją zrodzoną z paradoksów. Powstało bowiem na fali dwustronnego ocieplenia, które nastąpiło po katastrofie smoleńskiej. Polskie społeczeństwo nie odpowiedziało na ten dramat wrogością czy nieufnością wobec Rosjan, lecz żałobą i chęcią pojednania.

Wydawało się, że podobne nastroje panują po drugiej stronie, w społeczeństwie rosyjskim. Rosjanie tłumnie nieśli kwiaty i znicze pod polską ambasadę w Moskwie, a państwowa telewizja wyemitowała w *prime time* film „Katyń" Andrzeja Wajdy.

Kilka miesięcy po tamtej dyskusji z października 2021 r., przyjęta przez Sejm w lipcu 2022 r. ustawa faktycznie zakończyła działalność Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia. Nie uległo ono jednak likwidacji, lecz przekształceniu. Jego zespół i zasoby od tego momentu zaczęły tworzyć Centrum Mieroszewskiego, którego misją jest „inicjowanie, wspieranie i prowadzenie działań adresowanych do narodów Europy Wschodniej".

To zmiana ze wszech miar symboliczna. Rzeczywistość, czyli rosyjska agresja na Ukrainę, potwierdziła rozpoznania patrona – Juliusza Mieroszewskiego (1906-76), publicysty i myśliciela politycznego, który razem z Jerzym Giedroyciem postawił fundamenty współczesnej polskiej polityki wschodniej.

Centrum Mieroszewskiego, zamiast bilateralnego dialogu z Rosją, ma za zadanie operować w szerszej perspektywie państw regionu, dla których wspólne jest zagrożenie odradzającym się rosyjskim imperializmem.

Dziś w sieci trudno nawet znaleźć ślady po działalności CPRDiP, np. sprawozdania z działalności. Czy chociażby informację o programie jubileuszu z 2021 r.

Czy Warszawa to rosyjskie miasto

Jeśli po 2014 r. można było mówić o wyraźnym ochłodzeniu, to w 2022 r. we wzajemnych relacjach Warszawy i Moskwy zapanowała epoka lodowcowa – choć formalnie ani Polska, ani Rosja nie zerwały stosunków dyplomatycznych. Procesowi temu towarzyszyła i wciąż towarzyszy otwarcie wroga wobec Polski ↦

eprasa.pl 3ae9b00924

↦ postawa czołowych postaci rosyjskiego życia publicznego. Prym wiedzie Dmitrij Miedwiediew, były prezydent, a od paru lat przewodniczący rosyjskiej Rady Bezpieczeństwa.

Jeszcze w 2023 r. Miedwiediew opublikował tekst w rządowej „Rossijskoj Gazietie", w którym grzmiał, że Polska jest „niebezpiecznym wrogiem", nazywając nasz kraj „hieną Europy", która dąży do rozpętania III wojny światowej. Przy innej okazji określał polskie elity rządzące jako „imbecyli Europy". Z kolei rzeczniczka rosyjskiego MSZ Maria Zacharowa regularnie zarzuca Polsce i jej władzom rusofobię, skrajny nacjonalizm i ostrzega przed konsekwencjami wsparcia dla Ukrainy. Zaś czołowy propagandysta reżimu, czyli Władimir Sołowjow w swoich programach snuje rozważania o tym, ile trzeba czasu, by rosyjskie Iskandery sprawiły, iż Polska zniknie z mapy, a razem z nią i język polski (czyli wszyscy jego użytkownicy).

Innym razem Sołowjow przekonywał, że Warszawa to rosyjskie miasto, które powinno wrócić na łono imperium. Oprócz tego regularnie w rosyjskiej narracji pojawia się teza, że Polska ponosi odpowiedzialność za wybuch II wojny światowej, a także sugestie, że jest skłonna do rozbioru Ukrainy.

Te rzekome polskie zakusy na ziemie Zachodniej Ukrainy to wracająca mantra: ostatni raz Putin wspominał o tym podczas święta rosyjskiej floty w Petersburgu 27 lipca 2026 r.

Koparki na cmentarzu

W październiku 2025 r. w centrum Moskwy zaprezentowano wystawę plenerową pt. „10 wieków polskiej rusofobii". Na 32 planszach z fotografiami i dokumentami zaprezentowano wizję historii, w której Polska napadła na bolszewicką Rosję w 1919 r., a w 1939 r. zawiązała sojusz z... Hitlerem. Ta sama wystawa wiosną tego roku została przeniesiona na teren polskiego cmentarza w Katyniu, a na dzień jej otwarcia w tej lokalizacji wybrano 10 kwietnia.

Wystawę zorganizowało Rosyjskie Towarzystwo Wojskowo-Historyczne, kierowane przez Władimira Medinskiego, byłego ministra kultury Rosji, a obecnie doradcę Putina. Jest to więc wyraz kremlowskiego postrzegania Polski, wręcz obsesji, która niebezpiecznie przypomina tę, którą Putin prezentuje w odniesieniu do Ukrainy. Zdaniem rosyjskich oficjeli, to jednak Polska „zawodowo nienawidzi Rosji".

Tej agresywnej retoryce towarzyszą konkretne działania. Wiosną 2022 r. w Katyniu dwie koparki opatrzone symbolem „Z" i rosyjskimi flagami podjechały do kamiennego napisu „Katyń", tworząc wrażenie, że zaraz dojdzie do demontażu pomnika, po czym się wycofały. Polska strona potraktowała to jako prowokację.

W 2023 r. doszło do szeregu aktów wandalizmu i bezczeszczenia polskich miejsc pamięci na terenie Rosji (wyczerpująco opisał to raport OSW). Wiosną 2025 r. na wniosek prokuratury obwodu twerskiego z polskiego cmentarza wojennego w Miednoje usunięto płaskorzeźby Orderu Virtuti Militari i Krzyża Kampanii Wrześniowej, a w listopadzie w Katyniu rosyjska administracja zdemontowała analogiczne płaskorzeźby na cmentarzu polskich oficerów. Jako argument posłużyła rzekomo rusofobiczna wymowa tych symboli.

Także w listopadzie 2025 r. w Petersburgu grupa, zapewne podstawionych, aktywistów, niosących antypolskie i antyukraińskie hasła, zaatakowała polskiego ambasadora Krzysztofa Krajewskiego.

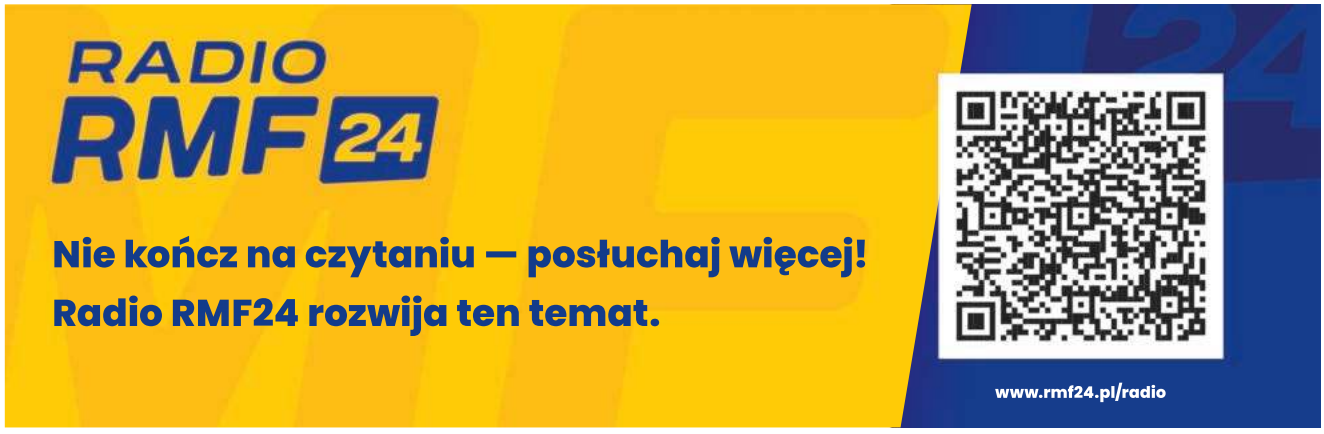
„Osama bin Sikorski"

Polskie władze reagują na wszystkie te zdarzenia zgodnie z protokołem. Wzywają ambasadora i ślą noty dyplomatyczne. Ale niech najlepszą miarą rosyjskiej reakcji będzie fakt, że wspomniana rzeczniczka Zacharowa nazywa ministra spraw zagranicznych Polski „Osamą bin Sikorskim".

Zresztą Radosław Sikorski wyraźnie działa na nerwy funkcjonariuszom rosyjskiego reżimu. Na międzynarodowych forach sprawnie kontruje przedstawicieli Kremla, a w zachodnich mediach przekonująco tłumaczy polski (i ukraiński) punkt widzenia na Rosję.

Agresja na Ukrainę stała się koronnym dowodem, że polskie obawy i ostrzeżenia przed rosyjskim imperializmem nie były jedynie przesadzonym efektem historycznych traum, ale trzeźwą oceną bieżącej sytuacji. Zachód, który na początku 2022 r. ociągał się ze wsparciem dla Ukrainy, a wcześniej święcie wierzył w siłę dialogu z Moskwą, w tym przez budowanie ścisłych powiązań gospodarczych (słynne *Wandel durch Handel* w niemieckim wydaniu), w końcu zaczął o Rosji i płynącym z niej zagrożeniu mówić językiem zbliżonym do języka polskiej racji stanu. Trudno nazwać to sukcesem, skoro nastąpiło to dopiero wtedy, kiedy rosyjskie czołgi stały już pod Kijowem. Opamiętanie to lepsze słowo.

REKLAMA



eprasa.pl 3ae9b00924

– Rosja jest dzisiaj wrogiem Polski, o czym rosyjskie władze mówią wprost – mówi Ernest Wyciszkiewicz na temat dzisiejszego stanu stosunków polsko-rosyjskich. – Pokazują to także w aktach sabotażu, w cyberatakach, w wojnie informacyjnej. Trudno w takich okolicznościach mówić o dialogu, który miałby sprzyjać zbliżeniu.

– Dlatego Polska dzisiaj prowadzi dialog z Rosją jako część Zachodu – dodaje Wyciszkiewicz. – Robi to poprzez sankcje, poprzez wspieranie wysiłku wojennego Ukrainy, poprzez aktywny opór przeciwko zmianie architektury bezpieczeństwa w regionie, do czego dąży Kreml. W tym kontekście Centrum Mieroszewskiego kontynuuje drugi z filarów misji poprzednika, czyli dyskusję o Rosji z sąsiadami w regionie, dialog na rzecz budowania spójnej polityki wobec Moskwy.

Dziwna erozja

Jednak, w miarę jak zachodni partnerzy Polski konsolidowali wysiłki na rzecz wsparcia Ukrainy i powstrzymywania imperialnych zakusów Rosji, rewidując swoje stosunki z Kremlem, w Polsce zaczęła następować dziwaczna erozja postawy z 2022 r.

Wtedy wydawała się ona wynikać z polityczno-społecznego konsensusu i doskonałego wręcz rozpoznania racji stanu – nie tylko przez władze polityczne, ale przez szerokie masy obywateli. Ta zmiana dotyczy nie tylko stosunku do Ukrainy i Ukraińców, ale i zanikania z pola publicznej debaty problemu zagrożenia, jakie stanowi Rosja.

Polskie media co prawda relacjonują przywołane inwektywy i groźby, wypowiadane w Rosji regularnie pod adresem Polski, ale ich społeczna recepcja jest niska. Nawet rosyjskie drony, które wleciały nad Polskę we wrześniu 2025 r., nie rozbudziły w Polakach gniewu i potrzeby dyskusji o możliwych reakcjach. Zamiast tego mieliśmy festiwal relatywizowania i obarczania Ukrainy odpowiedzialnością za to zdarzenie.

Jeśli zaś chodzi o historyczne krzywdy, dokonane przez Imperium Rosyjskie i ZSRR, za którego dumną spadkobierczynię uważa się współczesna putinowska Rosja, zapanowała ogólnonarodowa amnezja. Tak, jakby ktoś na twardym dysku kolektywnej pamięci podmienił słowo „Katyń" na słowo „Wołyń".

> W kwestii historycznych krzywd ze strony Rosji zapanowała ogólnonarodowa amnezja. Jakby w kolektywnej pamięci Polaków podmieniono „Katyń" na „Wołyń".

Byt odrealniony

Trudno oprzeć się wrażeniu, że Rosja przeciętnemu Polakowi wydaje się bytem odrealnionym. Sprzyja temu wyobrażona żelazna kurtyna, która zapadła w 2022 r. Przejścia graniczne są co prawda otwarte, a uzyskanie wizy do Federacji Rosyjskiej nie jest szczególnie trudne, ale pokazywane w mediach i na profilach polityków zdjęcia z jeżami przeciwczołgowymi na granicy tworzą wrażenie, że granica polsko-rosyjska jest szczelnie zamknięta i nie do przekroczenia.

Po 1989 r. Rosja nigdy nie była szczególnie bliska Polakom. Na fali euforii po upadku komunizmu, co zrozumiałe, jako cel swoich podróży wybierali chętniej Zachód. Od paru lat nawet te najbardziej bazowe ludzkie kontakty stały się ograniczone.

To jedna z przyczyn, czemu uświadomienie sobie rosyjskiego zagrożenia dla polskiej państwowości przychodzi nam z coraz większym trudem. Rosja, mimo że mamy z nią granicę, wydaje nam się krajem odległym.

Po 2022 r. do Rosji przestali jeździć dziennikarze i reporterzy, w obawie, że praca bez oficjalnej akredytacji przy rosyjskim MSZ ściągnie na nich zarzuty, np. szpiegostwa. A kiedy już się na to decydują, tak jak Maria Wiernikowska z Kanału Zero, to w medialnej „bańce" rozgrywa się zażarta dyskusja, czy do Rosji dzisiaj jeździć w ogóle wypada i czy da się, będąc pod stałym nadzorem rosyjskich służb, uczciwie pokazać tamtejszą rzeczywistość.

W tej sytuacji umykają nam więc procesy i zjawiska, które będą kształtowały Rosję w przyszłości.

Karabin w miejsce słów

Ze wszystkich scenariuszy, jakie rozpatrywane są dla przewidywalnej przyszłości Rosji, żaden nie mówi o liberalizacji i demokratyzacji.

Wojna w Ukrainie utworzyła nową klasę ludzi – uczestników działań zbrojnych i ich rodzin, dla których ukształtowana przez Kreml mitologia „specjalnej operacji" jest jak katechizm. W logice konfrontacji, nie tylko z Kijowem, ale z całym Zachodem, działa dzisiaj cały system państwa, w tym edukacja. Dzieci, które chodzą do rosyjskiej szkoły, poddawane są indoktrynacji w duchu oblężonej twierdzy. Nawet w przedszkolach powszechne są wojenne rekonstrukcje, w których maluchy przebrane w mundury symulują strzelanie i śmierć na polu boju.

Gdybyśmy chcieli w najbliższej dekadzie czy dwóch podjąć wysiłek odbudowy relacji i dialogu, to właśnie z tymi dziećmi musielibyśmy rozmawiać. Tylko że ukształtowani w ten sposób Rosjanie mogą naprawdę nie znać innych narzędzi kontaktu niż karabin.

O kształcie przyszłej Rosji decyduje dzisiaj także skuteczność ukraińskiej armii. Czy jej ostatnie sukcesy, czyli kampania ataków dronowych na rafinerie i centra logistyczne rosyjskiego giganta handlu internetowego, doprowadzą do destabilizacji społeczno-gospodarczej, która wymusi realne negocjacje? Czy raczej popchną Putina do kroku ostatecznego, czyli powszechnej mobilizacji, o czym coraz częściej na podstawie zbliżonych do Kremla źródeł donoszą niezależne media?

Zmiennych jest tak wiele, a sytuacja wojenna i międzynarodowa tak dynamiczna, że trudno dziś na poważnie planować przyszłe stosunki z Rosją, nawet w kontekście powojennym. Bo nie wiemy, czy po tej wojnie, jakkolwiek by się nie skończyła, będziemy mieć do czynienia z zakonserwowanym systemem putinowskim, ale w wersji *light*, z wojenną dyktaturą na wzór północnokoreański, czy może z państwem pogrążonym w wewnętrznych kryzysach i chaosie.

Dialogi pana Brauna

Do dialogu z Rosją otwarcie wzywa dzisiaj w Polsce Konfederacja Korony Polskiej Grzegorza Brauna i jej akolici. ↦

eprasa.pl 3ae9b00924

W czerwcu członek partii Piotr Heszen w towarzystwie Mateusza Piskorskiego, który zakładał swego czasu prorosyjską partię Zmiana, gościli w rosyjskiej ambasadzie na bankiecie z okazji Dnia Rosji. Dla większości polskich polityków, nawet radykalnej prawicy, to dzisiaj wciąż *no-go-zone*, ale Konfederacja Brauna w sondażach cieszy się ok. 10-procentowym poparciem. Razem z Konfederacją Sławomira Mentzena i Krzysztofa Bosaka (ta nie prezentuje prorosyjskiej postawy, ale przez zażartą antyukraińskość i sprzeciw wobec wsparcia militarnego dla Kijowa gra na rękę Kremla) daje to 20-25 procent potencjalnych głosów w przyszłych wyborach parlamentarnych.

Skoro co najmniej jedna piąta polskiego społeczeństwa byłaby potencjalnie gotowa na zmianę wektora polityki zagranicznej i radykalne przeformułowanie racji stanu, to warto zastanowić się, jakie korzyści Polska miałaby odnieść z owego wznowienia dialogu i ocieplenia relacji z Rosją.

Pierwsza, jaka się nasuwa, to dostęp do tanich surowców – ropy, gazu i węgla. Wznowienie sprzedaży tych surowców to jednak kolosalna korzyść dla Rosji i jej budżetu, a nie dla Polski. Polska z powodzeniem uniezależniła się przecież od rosyjskich dostaw. W ramach niespotykanego nad Wisłą politycznego konsensusu udało się zrealizować kluczowe pod tym względem projekty, jak Terminal LNG w Świnoujściu i Baltic Pipe; w budowie jest pierwsza elektrownia atomowa. Biorąc pod uwagę nakład środków i wysiłek poniesiony przez Polskę w związku z tymi inwestycjami, chęć powrotu do zależności od rosyjskich paliw kopalnych byłaby działaniem co najmniej irracjonalnym.

Korzyści mocno hipotetyczne

Inna potencjalna korzyść to otwarcie rosyjskiego rynku dla polskich towarów. Szczególnie ciepło mogą myśleć o tym rolnicy, którzy pamiętają epokę sprzed wzajemnych sankcji z 2014 r. Ale i w tym przypadku powrót do *business as usual* z Rosją niesie więcej ryzyka niż wygody, bo ręczne sterowanie importem to standardowe narzędzie Kremla, za pomocą którego wywiera on presję polityczną na swoich partnerów.

Za każdym razem, gdy polityka danego kraju idzie nie po myśli Moskwy, rosyjscy inspektorzy sanitarni odkrywają niepokojące bakterie, grzyby lub szkodniki w partiach towaru. Ostatnio przerabiała to Armenia w związku z wyborami parlamentarnymi, wcześniej Ukraina, Litwa, Gruzja, Mołdawia, a nawet najbliższy sojusznik Rosji, czyli Białoruś, która spotykała się m.in. z ograniczeniami w kwestii nabiału.

Zresztą dwie dekady temu Rosja stosowała ten sam wybieg wobec Polski, wprowadzając w 2005 r. embargo na import mięsa z powodu rzekomego fałszowania przez polskich dostawców certyfikatów weterynaryjnych. W ten sposób, krótko po przystąpieniu Polski do UE, rosyjskie władze badały grunt pod potencjalny wyłom we wspólnej polityce unijnej.

Niewątpliwą korzyścią w takim układzie byłoby dla Polski bezpieczeństwo rozumiane jako gwarancja, że Rosja w zamian za porzucenie i dezintegrację z Zachodem, w tym za rozluźnienie relacji z USA, nie napadnie na Polskę. Skoro wszystkie swoje cele, czyli przekształcenie Polski na wasala i kraj buforowy dla swojej strefy wpływów, osiągnie bez interwencji militarnej, to rzeczywiście rosyjska agresja na Polskę staje się bezprzedmiotowa.

Zanim zaczniemy mówić o dialogu z Moskwą, musimy porozumieć się z Kijowem. O kształcie przyszłej Rosji decyduje też skuteczność ukraińskiej armii.



NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP" X2

Pozostaje pytanie, czy ta rola jest spójna z kreowanym jednocześnie przez polityków, głównie na prawicy, wizerunkiem Polski jako kraju silnego gospodarczo, niezależnego i asertywnego?

Cel: odwrócenie ról

W relacjach z Rosją – taką, jaka jest dzisiaj – nie ma dla Polski roli równorzędnego partnera. W rosyjskiej wizji nie jesteśmy krajem suwerennym, czyli zdolnym do prowadzenia samodzielnej polityki gospodarczej i obronnej, bez uzgadniania jej z patronem, czyli Waszyngtonem, albo w ramach szerszego sojuszu, czyli Unii Europejskiej.

Z punktu widzenia Kremla to wszystko oznaka słabości, dlatego celem rosyjskiej polityki nie jest podmiotowe traktowanie Polski, a jej odwrócenie, czyli zmiana podporządkowania i przekształcenie z agenta Zachodu w regionie w agenta realizującego interesy Rosji.

Przekonanie, że może być inaczej, to niebezpieczna iluzja, o czym przekonały się już Niemcy, które sądziły, że budują relacje z Rosją z pozycji silnego gospodarczo i wpływowego politycznie partnera, ale na Kremlu traktowane były jako służalczy klient, uosabiany przez postać skorumpowanego ekskanclerza Gerharda Schrödera.

To podejście raczej nie ma szansy na zmianę, nawet jeśli w Rosji w wyniku jakichś fantastycznych okoliczności do władzy doszłaby liberalna, demokratyzująca opozycja. Doświadczenie środowisk współpracujących z aktorami i organizacjami rosyjskiego społeczeństwa obywatelskiego jest bowiem takie, że nawet antyreżimowi działacze, politycy i intelektualiści rosyjscy łatwo wpadają w protekcjonalny, wyższościowy ton wobec polskich koleżanek i kolegów.

Przełamanie tego modelu funkcjonowania, nazwijmy go imperialną mentalnością, nie będzie natychmiastowe. Nie zmieni się też radykalnie międzynarodowy układ sił, który sprawia, że Rosja jako jedynego równoważnego partnera do rozmów na Zachodzie postrzega USA. Widzimy zresztą, jak trudno jest ułożyć Warszawie stosunki z Kijowem, gdzie władze, w wyniku wojennej transformacji, przestały traktować polskie pośrednictwo i adwokaturę jako niezbędny czynnik w budowaniu relacji z państwami Zachodu.

eprasa.pl 3ae9b00924

Dla Rosji rozmowy ponad głowami mniejszych państw to zaś tradycja, utarta imperialną praktyką.

Moskwie wystarczy monolog

Perspektywy wznowienia relacji i autentycznego dialogu polsko-rosyjskiego są więc płonne. Polska nie potrzebuje wizji, w których w imię fałszywie rozumianego pokoju, bezpieczeństwa czy korzyści gospodarczych odmraża stosunki z Kremlem.

Kluczowe jest uświadamianie Polkom i Polakom, że nasz kraj już został przez Rosję zaatakowany, i że ta prowadzi wobec nas cały szereg wrogich operacji. To nie jest więc tak, że „to nie nasza wojna", bo – czy nam się to podoba, czy nie – Rosja, atakując Ukrainę, wypowiedziała wojnę całemu Zachodowi. Także Polsce.

Polskie elity polityczne, zamiast płynąć na fali algorytmicznej nienawiści i zaspokajać hodowane na nawozie rosyjskiej dezinformacji nastroje społeczne, powinny pilnie zająć się budowaniem odporności społecznej, urealnieniem obrazu wojny i rosyjskiego zagrożenia dla fundamentów polskiej państwowości oraz pokazywaniem siły Polski jako siły jej sojuszy. Bo w pojedynkę Polska nie dysponuje żadnymi narzędziami nacisku na Kreml.

Rosja nie potrzebuje dialogu, zupełnie wystarcza jej monolog, jaki prowadzi u nas za pomocą dezinformacji i propagandy w sieci. Kremlowska narracja zagościła już bowiem w wielu polskich domach: budując fałszywy wizerunek rosyjskiej wszechmocy, siejąc nienawiść do Ukrainy i Ukraińców, szerząc obraz gnijącego Zachodu i zachłannej w swoim apodyktyzmie Unii Europejskiej.



To, że Ukraińcy są lżeni i bici na polskich ulicach, to wielkie zwycięstwo moskiewskiej narracji nad polską racją stanu.

Kto wygra

Gdy w 2022 r. Polska przyjmowała ukraińskich uchodźców, a do Ukrainy bez wahania wysyłała broń i inne wsparcie, nastroje antyrosyjskie nie były tak silne, jak dzisiaj są nastroje antyukraińskie. Choć trudno to porównać, bo diaspora rosyjska była i jest nieporównywalnie mniejsza od diaspory ukraińskiej, to trudno znaleźć informacje o aktach przemocy czy bezpośredniej agresji, które miałyby miejsce wobec mieszkających w Polsce Rosjan.

To, że Ukraińcy i Ukrainki są dzisiaj lżeni i bici na polskich ulicach w biały dzień i przy świadkach, to wielkie zwycięstwo tego moskiewskiego monologu nad polskim interesem narodowym i polską racją stanu.

Nie wszystko jednak stracone – zarówno faktyczny, jak i mentalny polski akces do *ruskiego miru* może zablokować ukraińska kampania ataków na cele na terytorium Rosji. Za rok, kiedy w Polsce będą się odbywać wybory parlamentarne, takiej Rosji, z którą układa się Grzegorz Braun i jego ludzie, może już po prostu nie być.

Gorszy scenariusz jest taki, że urealnienie rosyjskiego zagrożenia przyjdzie do Polski wraz z wojną.

© PAULINA SIEGIEŃ

Autorka jest etnografką, filolożką i rosjoznawczynią, a także dziennikarką, reporterką i tłumaczką. Wydała „Miasto bajka. Wiele historii Kaliningradu" (nagroda Conrada 2022 i nominacja do nagrody Ambasador Nowej Europy).

TYGODNIK POWSZECHNY

Redaktor naczelny: Jacek Stawiski
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Okoński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Felietony: Natalia de Barbaro, Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński

Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)
Skład: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (dyrektorka serwisu), Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Marketing i sprzedaż: Justyna Hernas (dyrektorka ds. reklamy), Karolina Biały, Mateusz Gawron, Ewelina Lebida, Anna Pietrzykowska, Janusz Sieńko, Monika Sochacka, Jakub Starzyk, Barbara Ziajka
Dział IT: Piotr Muszyński, Katarzyna Rejdych, Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Jacek Stawiski (wiceprezes), Edyta Płachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

TygodnikPowszechny.pl

eprasa.pl 3ae9b00924

KRAJ

POLSKA W RUINIE

Wspomnienie czasu, gdy pracy nie miał tu co trzeci mieszkaniec, jest w Nowej Soli na tyle żywe, by podsycać obawy, czy kryzys niemieckiej gospodarki nie zamieni tej części kraju w polski „pas rdzy".

MAREK RABIJ

Adokąd to, kawalerze nadobny? – krzyczy w moją stronę z chodnika starszy pan.

– Tylko na chwilę. Zdjęcie zrobić – wyjaśniam.

– I ze środka ronda musisz pan koniecznie fotografować? – pyta raz jeszcze, już nieco zirytowany.

– Jestem dziennikarzem. Piszę reportaż o tym, jak z bezrobociem w mieście. I jak się mają firmy, jak ta tutaj.

– To napisz pan – odkrzykuje ze śmiechem przechodzień – że jeszcze Gedia nie zginęła i my żyjemy.

Rondo Gedii, na które wszedłem, wyrosło na skrzyżowaniu ulicy, wzdłuż której rozgościły się firmy działające w nowosolskiej specjalnej strefie ekonomicznej. Nazwę zawdzięcza spółce, której siedziba bieleje w słońcu tuż obok, zatrudniającej ponad 1,5 tys. osób. Gdy kilkanaście lat temu nadawano rondu patrona, wielu Nowosolan dostrzegało w tej decyzji ostateczny dowód fiksacji władz miasta na punkcie inwestorów.

Dziś nazwa już nie budzi kontrowersji. Mieszkańcy przywykli. Poza tym mają inne zmartwienia. Nowa Sól z rosnącym niepokojem patrzy teraz w stronę Niemiec.

Smok rozwija skrzydła

Do granicy jest stąd 80 kilometrów. W latach 90. niektórzy mieszkańcy jeździli regularnie do Berlina na handel, a czasem i „na jumę" – jak w ulicznym slangu nazywano drobne kradzieże w niemieckich sklepach. Dziś aż 45 proc. eksportu firm z województwa lubuskiego trafia do Niemiec. Żaden region Polski nie jest tak uzależniony od zamówień zza Odry. Problem w tym, że niemiecka gospodarka przegrywa konkurencję z Państwem Środka.

Chiński przemysł, napędzany zleceniami zza granicy i rosnącym apetytem rynku wewnętrznego, a do tego zasilany rządowymi subsydiami, zbudował gigantyczne moce produkcyjne w czasie, gdy Europa i USA redukowały własne, obstawiając, że w ich relacjach z Pekinem nic się nie zmieni. Autorzy opublikowanego niedawno raportu Ośrodka Studiów

USLATAR / ADOBE STOCK



Wschodnich przywołują szacunki Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych w Waszyngtonie, wedle których w 2019 r. chińskie wydatki na politykę przemysłową wyniosły co najmniej 1,7 proc. PKB, czyli ok. 250 mld dolarów. „Było to ponad dwukrotnie więcej w relacji do PKB niż w Korei Południowej – drugim państwie o najwyższym poziomie wsparcia w badanej próbie – oraz ponad dwukrotnie więcej nominalnie niż w USA". W 2023 r. – jak podaje Międzynarodowy Fundusz Walutowy – Pekin przeznaczył na ten sam cel już równowartość 4,4 proc. swojego PKB, który w tym czasie dodatkowo wzrósł o ponad 28 proc.

Chiny przestały być tanią fabryką. W wielu sektorach ich przemysł wzniósł się na poziom organizacji i kultury produkcji nie do osiągnięcia dla niedawnych europejskich czy amerykańskich mentorów. Aż 90 proc. substancji czynnych używanych na świecie do produkcji antybiotyków pochodzi obecnie z Państwa Środka. Oświetlenie? I tu Chiny dostarczają 90 proc. żarówek, świetlówek i diod kupowanych na całym świecie, a producenci pozostałych 10 proc. są zdani na chińskie technologie. Pekin położył również rękę na ponad 80 proc. światowego łańcucha produkcji fotowoltaiki, kontroluje co najmniej trzy czwarte rynku baterii i akumulatorów (a nawet więcej, jeśli dodać do tego metale ziem rzadkich niezbędne do takiej produkcji).

Teraz szturmem wdziera się do światowej motoryzacji: pomiędzy rokiem 2020 a 2025 eksport aut osobowych z Chin wzrósł z 600 tys. do 7,1 mln sztuk. Spośród 88,8 mln takich samochodów kupionych w ubiegłym roku na całym świecie, aż 27 mln wyprodukowały chińskie firmy. Dla branży motoryzacyjnej naszego zachodniego sąsiada, zatrudniającej blisko 800 tys. ludzi i sprzedającej za granicę ponad 70 proc. swojej produkcji, te liczby brzmią jak wyrok.

Bawaria kicha, Lubuskie ma gorączkę

Niemieckie stowarzyszenie VDA szacuje, że w tym roku nastąpi spadek produkcji aut na terenie Niemiec o ok. 1 proc. Grupa Volkswagen zakłada, że jej przychody skurczą się w tym roku „tylko" o 3 proc., ale na wszelki wypadek rozpoczęła już restrukturyzację, w ramach której może zwolnić do 100 tys. pracowników. BMW i Mercedesowi na koniec roku wychodzi jeszcze zysk, ale symboliczny. W sumie wartość eksportu samochodów do Chin od początku roku 2022 skurczyła się o aż 65 proc. Niemiecka motoryzacja, trawestując znane powiedzenie, już nie kicha, ale wręcz brakuje jej tchu. A to oznacza, że prędzej czy później zadyszkę złapie i Polska, której 8 proc. PKB pochodzi z produkcji motoryzacyjnej, głównie na potrzeby niemieckich koncernów.

Po pierwszej połowie ub. roku 32 proc. producentów części motoryzacyjnych w Polsce odnotowało spadek przychodów. Kolejnych 7 proc. zarobiło tyle samo, ile rok wcześniej. Biorąc pod uwagę, że w tym roku już 42 proc. polskich firm sektora *automotive* planuje redukcje personelu (rok wcześniej takie plany miało 32 proc.), trudno mówić choćby o uspokojeniu nastrojów.

Powodów do optymizmu nie ma więc około 200 tys. osób zatrudnionych w branży motoryzacyjnej. Jeszcze w 2024 r. w Radomiu zamknęła się fabryka japońskiej Toto Group, produkująca łożyska. Pracę straciło 115 osób. Tuż potem w Bielsku-Białej wypowiedzenia dostało 468 pracowników FCA Powertrain Poland, producenta silników, będącego częścią grupy Stellantis. A w styczniu ubiegłego roku w Nowej Soli końca dobiegła przygoda z motoryzacją ponad 270 osób zatrudnionych w działającej tu od 2008 r. fabryce niemieckiej firmy Voit Automotive, która dostarczała drobnych aluminiowych komponentów m.in. do Audi i BMW.

34-letni Kamil zdążył przepracować w tym zakładzie niecałe trzy lata. – Przez chwilę była nadzieja, że właściciele sprzedadzą spółkę Chińczykom, a ci przez jakiś czas produkcji nie zwiną. Albo, nie wiem, przynajmniej magazyn w Nowej Soli otworzą. Nie dogadali się, ↦

Nowa Sól z lotu ptaka



5–11 SIERPNIA 2026

↦ Niemcy wszystkich zwolnili – opowiada. – Ale przynajmniej nie w takim stylu, jak ich rodacy parę lat wcześniej.

W teatrze populizmu

Kamil ma na myśli głośną tu plajtę fabryki firmy Reuss-Seifert. We wrześniu 2019 r. ponad 250 pracowników z dnia na dzień dowiedziało się, że nie ma pracy. Zakład zaprzestał działalności, dyrekcja zapadła się pod ziemię. Zwolnionym nie wypłacono zaległych pensji ani odpraw, nie dostali nawet świadectw pracy, które otworzyłyby im drogę do zasiłku dla bezrobotnych. Tylko że wtedy klimat był nieco inny. Firmy jeszcze pchały się do Polski skuszone tanią siłą roboczą i większość porzuconego personelu przejął nowy inwestor. Teraz tak dobrze nie jest.

Kamilowi udało się ponownie zatrudnić, ale na rękę dostaje teraz 700 złotych mniej. – Polska w ruinie – mówi ze śmiechem.

Nowa Sól wciąż pamięta swój gościnny występ w teatrzyku polskiego populizmu. Latem 2015 r., u progu kampanii wyborczej, miasto odwiedziła Beata Szydło. Kandydatka PiS na premiera zorganizowała pamiętną konferencję prasową w ruinach tamtejszej fabryki nici „Odra", żeby zilustrować, jak wygląda ta „Polska w ruinie", którą partia Kaczyńskiego uczyniła wówczas osią swojej kampanii.

Wielu Nowosolan poczuło się takim porównaniem dotkniętych. „Pokazać nasze miasto, pokazując tylko pozostałości po zakładzie zamkniętym 20 lat temu, to jak powiedzieć o Einsteinie, że chodził rozczochrany" – mówił „Newsweekowi" właściciel firmy, która w budynkach dawnej fabryki nici miała biuro.

W jesiennych wyborach najwięcej, bo aż 31,17 proc. głosów zdobył jednak właśnie PiS. Nowa Sól, jak reszta Polski, miała dość zaciskania pasa.

Uwolnieni z koszmaru

W biurze niezależnego senatora Wadima Tyszkiewicza jedną ścianę pokrywają dyplomy i wyróżnienia, które zdobył w latach 2002-2019, zasiadając w fotelu prezydenta Nowej Soli.

– Jestem dumny z tego, co wspólnie z Nowosolanami osiągnęliśmy – zapewnia. – Dobrze wykorzystaliśmy czas, który dała nam tu historia. Wie pan, że Nowa Sól była ostatnim miastem powiatowym w regionie, które wybudowało basen? Wszystkie wolne środki inwestowaliśmy w rozwój, w infrastrukturę. Siedemnaście lat pracowałem tu jako prezydent i – mówię to z wielkim uznaniem dla współobywateli – przez ten czas nie musiałem się mierzyć z populistycznymi pomysłami, na które nie byłoby nas stać. Mieszkańcy długo pamiętali, z jakiego koszmaru się wspólnie uwolniliśmy.

Pod koniec 1990 r., niecały rok po starcie reform Balcerowicza, **w Polsce pracy nie miało już milion osób – więcej niż obecnie.** Centralny urząd do walki z bezrobociem powstał kilka miesięcy później.

W grudniu 2003 r., pierwszym pełnym roku urzędowania Tyszkiewicza w magistracie, bezrobocie w powiecie nowosolskim osiągnęło nienotowany nigdzie indziej w Polsce poziom 36,2 proc. W samej Nowej Soli sytuacja była niewiele lepsza. Pracy nie miało 5244 mieszkańców, czyli blisko 34 proc. ludności w wieku produkcyjnym.

II wojna światowa oszczędziła miasto. W latach 70. ubiegłego stulecia niemal całe centrum wciągnięto na listę zabytków jako cenny zespół architektoniczno-urbanistyczny. W ten sposób obiektem prawnie chronionym stały się jednak również Nadodrzańskie Zakłady Przemysłu Lniarskiego „Odra", spadkobierca XIX-wiecznej fabryki nici rodziny Gruschwitzów. Przy ul. Wrocławskiej, gdzie mieściło się przedsiębiorstwo, czas się zatrzymał.

– Pamiętam, że pod koniec lat 70. przyjechali tu Brytyjczycy. Chcieli nawiązać współpracę – wspomina Edward Gramont, założyciel nowosolskiego teatru eksperymentalnego Terminus a Quo, który w latach 1976-1979 działał na terenie „Odry". – Obejrzeli hale pełne XIX-wiecznych jeszcze maszyn, no i doszli do wniosku, że to musi być jakieś eksperymentalne muzeum, w którym odtworzono warunki pracy z epoki rewolucji przemysłowej.

W lata 90. „Odra" wchodzi jeszcze jako działająca fabryka, ale nie radzi sobie z konkurencją. W 1997 r. zakład zaprzestaje produkcji i zwalnia całą załogę, ponad 3 tys. osób. Upada też drugi największy pracodawca w mieście, Dolnośląskie Zakłady Metalurgiczne „Dozamet" zatrudniające około 3,5 tys. osób. W ciągu kilkunastu miesięcy w niespełna 40-tysięcznej Nowej Soli znika około 10 tys. miejsc pracy.

Pani Krystyna Targosz, 77-letnia emerytka, odpoczywa na ławce opodal starostwa powiatowego. Czy pamięta upadek „Odry" i „Dozametu"?

– Ja bym, proszę pana, wiele dała, żeby tego nie pamiętać. Układ tu często był taki, że żona pracowała w „Odrze", a mąż w „Dozamecie". Myśmy akurat mieli łatwiej, bo ja miałam etat w urzędzie, a mąż pracował na kolei. Ale w bloku obok bez pracy zostało małżeństwo z ciężko chorą córką. Jego jakiś czas później znaleźli na torach. Żona z córką dokądś wyjechały, ponoć do rodziców.

– Pamiętam z tamtego czasu ludzi, którzy codziennie dojeżdżali do pracy do Grodziska, ponad osiemdziesiąt kilometrów od Nowej Soli. Za 400 zł miesięcznie na rękę – dodaje Tyszkiewicz.

„Krasnaland"

W 2004 r. Polska wchodzi jednak do Unii. Trzy lata później znikają kontrole graniczne i wyjazd do Berlina, trwający z grubsza tyle samo, ile do Wrocławia, przestaje być problemem. Tyszkiewicz rozbudowuje nowosolską specjalną strefę ekonomiczną stworzoną jeszcze przez poprzednika, licząc na napływ zagranicznego kapitału. Głównie zza Odry.

– Podliczyłem niedawno, że za prezydentury odbyłem ponad dwieście negocjacji z inwestorami. Sukcesem zakończyła się zaledwie co dziesiąta. Montownię chciał stawiać u nas m.in. tajwański Asus, ale ostatecznie wybrał Czechy. W przypadku Bridgestone przegraliśmy z Węgrami, Honeywell zdecydował się na Słowację, a Mercedes postawił na Saksonię.

Początkowo Nowa Sól inwestorów wręcz odstrasza. Pewnego razu chętni do ulokowania fabryki w mieście, już po wizycie w miejscu potencjalnej inwestycji, postanawiają wyjść wieczorem na spacer. Wita ich ciemność, zapuszczone fasady budynków i puste ulice, którymi

eprasa.pl 3ae9b00924



TOMASZ GAWALKIEWICZ / FORUM

Konferencja prasowa Beaty Szydło na tle ruin dawnej fabryki nici „Odra" w Nowej Soli, 30 lipca 2025 r.

przemykają nieliczni przechodnie. Rezygnują. Na studiach z ekonomii uczą przecież o tzw. histerezie bezrobocia. Im dłużej nie masz pracy, tym bardziej tracą na aktualności twoje umiejętności zawodowe i cenne nawyki. W efekcie maleją szanse na znalezienie zatrudnienia, bo pracodawcy wolą takich kandydatów unikać.

Ale Nowa Sól się nie poddaje. Pomaga bliskość granicy. Niemcy chcą ogrodowych krasnali? Nowa Sól im ich dostarczy: tanio, solidnie i na czas. Na początku stulecia w samym mieście działa około 400 manufaktur odlewających figurki z tworzyw sztucznych, czasem w chałupniczych warunkach. W kolejnej dekadzie ich liczba spadnie do około 50, ale będą to już poważne firmy z nowoczesnymi liniami produkcyjnymi. Jedna z nich będzie się szczycić dostarczeniem pozłacanego kilkumetrowego Oscara przed Kodak Theater w Los Angeles.

Kilka lat później w nieodległym Świebodzinie stanie 36-metrowa figura Jezusa; zbudowana, rzecz jasna, z tworzyw sztucznych. Pomysłodawcą jest prałat Sylwester Zawadzki, ale przedsiębiorcy z okolicy dokładają się ochoczo, często traktując pomnik jako wotum dziękczynne za wyjście z kryzysu. W 2010 r. bezrobocie w powiecie nowosolskim po raz pierwszy od kilkunastu lat spada poniżej 20 proc. Gdy w lipcu 2015 r. Beata Szydło maluje wizję „Polski w ruinie" pośrodku ruin „Odry", bez pracy jest 17 proc. Nowosolan.

Pogodzić się z upiorem

Jeszcze w czerwcu ubiegłego roku bezrobocie w powiecie wynosiło 6,5 proc. Rok później wzrosło do 8,1 proc. To już zauważalnie więcej i od średniej wojewódzkiej (6 proc.), i krajowej (5,8 proc.), nie wspominając o sąsiednim powiecie głogowskim, w którym wskaźnik wciąż nie przekracza 5 proc.

– Paniki nie ma – Wadim Tyszkiewicz błądzi wzrokiem po swoich dyplomach na ścianie. – Ale jest już coś na kształt pełnego napięcia wyczekiwania. Nikt dziś nie wie, jak bardzo pogłębi się niemiecki kryzys i jak mocno dotknie Nową Sól.

Gedia, największy zakład motoryzacyjny w mieście, w zgodnej opinii mieszkańców jest na razie bezpiecznym miejscem pracy. Produkuje duże elementy karoserii, których nie da się łatwo i tanio sprowadzić z Chin. To samo dotyczy Jost Poland, dostawcy elementów łączących ciągniki siodłowe z naczepami, a także Erwin Hymer Group, znanego producenta kamperów. Mniej spokojni o przyszłość są pracownicy firmy Bader, która zaopatruje niemieckie koncerny motoryzacyjne w skóry i tapicerki.

Pewnym pocieszeniem, jak mówi Tyszkiewicz, jest świadomość, że traumatyczne doświadczenie bezrobocia z przełomu stuleci raczej się nie powtórzy. Gospodarka miasta nie stoi już tylko na dwóch nogach, jak wówczas, oprócz motoryzacji ma też zakłady spożywcze, meblarskie, producentów elektroniki i firmy przetwarzające tworzywa sztuczne.

Z dzisiejszej perspektywy trudno sobie wyobrazić skalę tamtego szoku. Od w pełni regulowanej gospodarki i ustroju państwowego, który penalizował bezrobocie, do wolnego rynku – Polska przeskoczyła na dobrą sprawę w ciągu jednego kwartału po wyborach w czerwcu 1989 r. W listopadzie 1990 r., niecały rok po starcie reform Balcerowicza, pracy nie miało już milion osób, a państwo było na ten dramat instytucjonalnie kompletnie nieprzygotowane. Krajowy Urząd Pracy koordynujący działania lokalnych oddziałów powstał dopiero w 1991 roku.

Liczbę tych, którzy w pierwszych 15 latach istnienia wolnego rynku doświadczyli bezrobocia, badacze szacują dziś na co najmniej 8 mln osób. W badaniu z 2003 r. CBOS nazwał to „najbardziej traumatycznym społecznym doświadczeniem ostatniego czternastolecia". Tym trudniejszym, że zamiast zrozumienia i współczucia, jego ofiary długo spotykały się z kpinami, a nawet stygmatyzacją. Tak jakby słynne „sieroty po PGR-ach", łódzkie dziewiarki, robotnicy nowosolskiego „Dozametu" czy kobiety z „Odry" niezbędni byli jako perwersyjny kontrapunkt w opowieści o sukcesie gospodarczego tygrysa Europy.

Dla wielu z nich lata 90. wciąż się nie skończyły. W 2018 r. Monika Oczkowska i Michał Myck ze szczecińskiego Centre for Economic Analysis opublikowali wyniki badania dalszych losów młodych Polaków, którzy posmakowali dłuższego bezrobocia w pierwszych latach przemian ustrojowych. W tej grupie badacze dostrzegli wyraźną nadreprezentację osób, które dwie dekady później wciąż nie były w stanie zadbać o swój ekonomiczny dobrostan. Ich zarobki i oszczędności zauważalnie odstawały od krajowej średniej, znacznie rzadziej były też właścicielami mieszkań.

Nowa Sól z upiorem bezrobocia spróbowała się przynajmniej pogodzić, organizując kilka lat temu wystawę uliczną „Po nitce do kłębka", poświęconą historii fabryki „Odra" i ciężkiemu losowi jej byłych pracownic. Możliwe jednak, że upiora uda się na dekady zapędzić dwa kilometry pod ziemię. Na przedmieściach odkryto bogate złoża miedzi, które już niedługo mają eksploatować Kanadyjczycy. Na dole pracy wiele nie będzie z uwagi na ekstremalne temperatury, ale na powierzchni powstaną tysiące nowych etatów.

©℗ MAREK RABIJ

eprasa.pl 3ae9b00924

Najtrudniejszy zawód na świecie

ANNA KORYTOWSKA

SPOŁECZEŃSTWO | Streetworkerzy codziennie docierają tam, gdzie większość z nas nie ma odwagi zajrzeć. Słuchają dramatycznych historii, pomagają budować nowe życie. Nie zawsze się udaje. Nie każdą historię da się też zapomnieć.

Nie ma dwóch takich samych dyżurów ani dwóch takich samych rozmów. Dworce, ulice, bramy, pustostany, ogródki działkowe, altanki. Dawid Turowski zna je doskonale, bo regularnie tam zagląda. Jak zaznacza, o tę regularność właśnie chodzi.

– Praca streetworkera to bycie z drugim człowiekiem w stałym kontakcie. Żeby zbudować zaufanie, żeby ktoś naprawdę się otworzył, jedno spotkanie nie wystarczy. Najpierw trzeba zdobyć szacunek. Dopiero potem człowiek usłyszy kilka prawdziwych zdań – opowiada Dawid o najtrudniejszej części swej pracy i podkreśla: – Każdy niesie swoją historię, traumy, kryzysy, doświadczenia, których często nie sposób sobie nawet wyobrazić.

Cienka granica

Każde wyjście „w teren" wygląda inaczej. Wszystko zależy od tego, w którą część Poznania się idzie.

– Najczęściej spotykam kilkuosobowe grupy. Zwykle na dwóch mężczyzn przypada jedna kobieta. Często jest to para i jeszcze ktoś znajomy, czasem większa grupa – wyjaśnia.

Historie?

– To są skrajności – mówi Dawid. Ale w wielu przypadkach wspólnym ich mianownikiem jest uzależnienie, najczęściej od alkoholu, oraz bezdomność. Często mają one dramatyczne przyczyny.

– Śmierć bliskiej osoby, załamania psychiczne, rozpad rodziny. Są ludzie, którzy po stracie partnera zaczęli pić i w ciągu kilku miesięcy stracili mieszkanie, pracę, całe dotychczasowe życie. Są młodzi, którym zmarli rodzice, nagle zostali sami i już sobie nie poradzili. Mamy też na ulicach ludzi, którzy wychodzą z więzienia z niewielką kwotą na bilet, bez żadnych perspektyw na godne życie – wylicza.

Dawid wie, jak cienka bywa granica, za którą wszystko się sypie, i jak łatwo znaleźć się w kryzysie. Sam jest „trzeźwym narkomanem", który przez kilkanaście lat zmagał się z uzależnieniem.

– Narkotyki zabierały mi praktycznie wszystko. Traciłem pieniądze, relacje – wspomina. – Dzisiaj działam we wspólnocie 12 kroków. Tam dostałem szansę na nowe życie. Dlatego dziś jestem tutaj i staram się pomóc tym, którzy o tę pomoc jeszcze nie umieli poprosić.

Na co dzień Dawid pracuje też jako kierownik Domu dla Kobiet Fundacji Dobro się Niesie. W wolnym czasie, którego nie ma za wiele, studiuje psychologię. Także dlatego, by umieć docierać do potrzebujących i skutecznie im pomagać.

Zdaniem Dawida jednym z największych mitów jest przekonanie, że osoby w kryzysie bezdomności łatwo rozpoznać. To nieprawda: wcale nie muszą wyróżniać się z tłumu i dlatego streetworkerzy uczą się dostrzegać drobne sygnały.

– Czasem wystarczą buty, zbyt zniszczone jak na resztę ubrania, zdarte od wielokilometrowych marszów. Życie na ulicy oznacza ciągłe przemieszczanie się, ciągłe poszukiwania kolejnego noclegu albo miejsca, w którym chociaż przez chwilę będzie można zostać i poczuć się bezpieczniej – tłumaczy.

Odrębny świat

Jedna osoba potrzebuje dowodu osobistego, druga nowych butów, trzecia konsultacji z lekarzem, a czwarta po prostu rozmowy.

– Wychodzę na dyżur i nie wiem, co się wydarzy. Nie wiem też, ile czasu spędzę na ulicy – mówi Miłosz Strawa, prezes rzeszowskiego Stowarzyszenia Zupełne Dobro.

Zdarza się, że dzień, który miał być wolny od pracy, zamienia się w kolejny dyżur, bo pojawia się ktoś, kto potrzebuje pomocy. – Albo dostaję telefon ze szpitala, że zwolniło się miejsce, a wiem, że znajoma osoba znajdująca się w kryzysie pilnie potrzebuje pomocy lekarskiej. Wtedy jadę tam, gdzie przebywa potrzebujący, i razem ruszamy do szpitala – opowiada.

Pracy streetworkera nie da się zamknąć w prostym harmonogramie. Osoby w kryzysie najczęściej nie przychodzą po pomoc, raczej trzeba je odnaleźć na ulicy, przekonać, wytłumaczyć, zaprowadzić. Często nie pójdą do urzędu pracy czy innej instytucji, bo wstydzą się swojego wyglądu, zapachu. Nie rozumieją urzędowych pism i wstydzą się zapytać. Bywa też, że spotykają się z nieprzyjaznym traktowaniem – tłumaczy Miłosz Strawa.

Z osobami w kryzysie bezdomności pracuje od kilku lat. Sam wcześniej jej doświadczył. – Jestem „peerworkerem", czyli osobą, która kiedyś sama żyła na ulicy. Dzięki temu łatwiej dogaduję się z podopiecznymi. Nie muszą przede mną niczego udawać, bo przecież wiem, jak jest – opowiada Miłosz.

W Rzeszowie mieszka od kilku lat. Zna już bardzo dobrze topografię miasta. Pustostany, ogródki działkowe, altany i inne miejsca, których większość mieszkańców nawet nie zauważa. Nie zawsze jest łatwo.

– Na ulicy dochodzi do konfliktów. Istnieje tam nawet pewna wewnętrzna rejonizacja. Ktoś gdzieś narozrabiał i już nie ma wstępu w dane miejsce, więc przenosi się gdzie indziej. To odrębny świat z własnymi zasadami – zaznacza. Bezdomność nie zna ani wieku, ani płci. Najmłodsza osoba, z którą pracował Miłosz, miała 19 lat, a najstarsza 70.

Z roku na rok potrzebujących jest jednak więcej; pojawiło się też zjawisko tzw. bezdomności ukrytej.

Ktoś mieszka chwilę u znajomych, później u rodziny, wynajmuje pokój na kilka dni, jeśli uda mu się coś zarobić.

– Kiedyś były to głównie osoby uzależnione od alkoholu. Dzisiaj dochodzą różne substancje psychoaktywne. Młodzi ludzie często nawet nie wiedzą, co biorą – opowiada Miłosz.

eprasa.pl 3ae9b00924



MATERIAŁY PRASOWE FUNDACJI DOBRO SIĘ NIESIE

MACIEJ BIAŁKA *z Fundacji Dobro się Niesie nie ukrywa, że praca streetworkera jest szalenie obciążająca i zostawia w sercu głęboki ślad. Bo słyszy się czasami historie niewyobrażalnie trudne, a one potrafią zostać z człowiekiem.*

Opatrzyć rany

Niezmienne pozostaje jednak to, że potrzeby osób w kryzysie bezdomności są ogromne. Jedną z najpilniejszych jest dostęp do podstawowej opieki medycznej.

– Najczęściej spotykamy się z ranami stóp, trudno gojącymi się owrzodzeniami i zakażeniami. Dwa razy w tygodniu współpracuje z nami ratownik medyczny, czyli pani Gosia. Opatruje rany, które można leczyć na miejscu, a gdy problem jest poważniejszy, staramy się kierować ludzi do szpitala. Niestety, bardzo często odmawiają pomocy – twierdzi Miłosz, po czym opowiada o znajomym z dawnych lat, któremu też posypało się życie: – Mnie udało się z tego wyjść, ale Łukasz stracił obie stopy. Do końca życia będzie poruszał się na wózku.

Na streetworkerskie dyżury Miłosz Strawa stara się wychodzić niemal codziennie.

– Próbuję zostawić sobie wolne chociaż soboty i niedziele. Mam trójkę dzieci i naprawdę trudno to wszystko pogodzić – przyznaje. Największym wyzwaniem w tej profesji nie jest jednak brak czasu dla rodziny czy zmęczenie, ale bezsilność.

– Wykonuję swoją pracę z nadzieją, że komuś uda się wyjść z kryzysu. Czasami jestem przeładowany cudzymi problemami. Ale to też nie gwarantuje sukcesu, bo nawet jeśli ktoś pójdzie na terapię i ją ukończy, często wraca w to samo środowisko i wszystko zaczyna się od nowa – tłumaczy.

Miłosz doskonale rozumie, dlaczego tak się dzieje. Z własnego doświadczenia wie, że uzależnienie to pułapka. Człowiek przestaje wtedy myśleć o czymkolwiek innym poza alkoholem i odrzuca każdą formę pomocy.

– Z tego nie wychodzi się szybko, po jednej czy dwóch terapiach. Ja spędziłem w ośrodkach około czterech i pół roku, zanim naprawdę coś zrozumiałem. Wiele razy zawiodłem też bliskich – podkreśla. To jednak nie oznacza, że nie warto próbować. Wręcz przeciwnie.

Szacunek ludzi ulicy

Maciej Białka skończył studia z resocjalizacji, ale do pracy z osobami w kryzysie bezdomności trafił przez przypadek (chociaż tych ponoć nie ma). Szukał akurat zatrudnienia, gdy zadzwonił przyjaciel i zapytał, czy nie chciałby pracować z osobami doświadczającymi bezdomności.

Tak trafił do streetworkingu. Dziś, po latach, jest także prezesem poznańskiej Fundacji Dobro się Niesie.

– W streetworkingu najbardziej chodzi mi o to, by towarzyszyć tym, którzy jeszcze nie są gotowi na zmianę. Być obok i pokazać, że kiedy będą chcieli, ktoś będzie na nich czekał – mówi. Dlatego w tej pracy tak ważna jest cierpliwość i szacunek. – Streetworker nie przychodzi do pustostanu czy namiotu jako gospodarz. Przychodzi w gości. Trzeba zapytać, czy można wejść, czy można porozmawiać. To nie jest nasz teren i powinniśmy to uszanować – zaznacza.

Szacunek to pierwszy i najważniejszy krok. Dopiero później można myśleć o zaufaniu, które buduje się miesiącami. – Wracasz, pytasz, co słychać. Czasami wypije się razem herbatę. Wiemy już, komu ją przynieść, a kto ma akumulator i sam zagotuje wodę – opowiada Białka.

I tak przy tej herbacie zaczyna się rozmowę. O pogodzie, codzienności, zdrowiu. Dopiero później przychodzą trudniejsze tematy – ale tylko wtedy, kiedy druga strona na to pozwoli.

– Nie wejdziesz dalej, niż ktoś pozwoli ci wejść w swoje życie. Dlatego streetworker też powinien mówić o sobie. O swojej pracy, ale czasem też o życiu prywatnym. Nawet o porażkach. To pokazuje, że nie jest się człowiekiem idealnym i że z różnych trudności można wyjść – zaznacza.

Są jednak osoby, którym nie da się pomóc. Nie dlatego, że nie chcą, ale raczej z tego względu, że po wielu latach ulicznej bezdomności zmiany w psychice są już zbyt głębokie. Takie osoby również trzeba wspierać: tam, gdzie same czują się bezpiecznie, czyli w pustostanach, szałasach, namiotach.

Maciej Białka nie ukrywa, że praca streetworkera jest szalenie obciążająca i zostawia w jego sercu głęboki ślad. Bo słyszy się czasami historie niewyobrażalnie trudne, a one potrafią zostać z człowiekiem.

– Siedem lat temu bardzo się tym przejmowałem. Wracałem z głową pełną problemów ludzi, których spotykałem. Nie wiedziałem, jak je rozwiązać, i to mnie przytłaczało. Z czasem nauczyłem się, że nie mam wpływu na wszystko – przyznaje.

■■■

Dziś najbardziej wzrusza go, gdy widzi człowieka po pięciu czy sześciu latach. Gdy wie, z jakiego miejsca startował, co przeszedł, zanim trafił do fundacji. Gdy widzi przed sobą kogoś, kto zdołał się podnieść i stał się inną osobą. – Wtedy wiem, że ta praca naprawdę ma sens i że my naprawdę ratujemy tym ludziom życie. ©

eprasa.pl 3ae9b00924

Grand lady z dala od baniek

KRZYSZTOF KATKOWSKI, BIOGRAF JADWIGI STANISZKIS:

SYLWETKA | Zaimponowała mi jako nonkonformistka, bezczelna publicystka i intelektualistka, która była ciągle w kontrze. Takich osób potrzebujemy też dziś.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: W 2016 r. Jadwiga Staniszkis ma ostatnią dużą publikację, a Ty masz lat...

KRZYSZTOF KATKOWSKI: ...piętnaście. Chodzę do gimnazjum, a moje poglądy pewnie wahają się między tym, co dzisiaj jest Konfederacją lub PiS-em a czymś, co jest Partią Razem (*śmiech*).

A gdy ona wycofuje się z życia publicznego w roku 2021...

...ja mam już lat dziewiętnaście, więc jestem na drugim roku socjologii. I po raz pierwszy widzę prof. Staniszkis, którą przyprowadza jeden z wykładowców.

Ale Staniszkis ani wtedy, ani później nie była dla mnie punktem odniesienia. Nie zacząłem też pisać biografii, by oddać jej hołd.

To co ktoś z pokolenia Zet, kto określa siebie jako socjalistę, zobaczył w urodzonej podczas wojny socjolożce, kojarzonej w III RP z prawicą?

Żyjemy – i żyliśmy dekadę oraz dwie dekady temu – w społeczeństwie prawicowym, a Jadwidze Staniszkis zdarzało się popierać i PiS, i Platformę.

A odpowiadając na pytanie, prof. Staniszkis – którą trudno zaszufladkować do „prawicy" czy „lewicy" – zaimponowała mi jako nonkonformistka, bezczelna intelektualistka, która była ciągle w kontrze.

Zacznijmy od jej czerwonej szminki. Skąd ona się wzięła?

Z biografią Staniszkis jest taki problem, że trudno cokolwiek ustalić na pewno. Sama tworzyła swój mit, w ramach którego m.in. powstała opowieść o pochodzeniu tejże szminki. Otóż w czasach wczesnej młodości gnała na spotkanie z młodym ukochanym i wpadła pod ciężarówkę, a po skaleczeniu została blizna. By ją zakryć, Jadwiga stosowała intensywną szminkę.

Nie wiadomo, czy to prawda, ale znaleźli się po wydaniu mojej książki tacy, którzy w to powątpiewali. Jedni mówili, owszem, o bliźnie, ale na skutek przemocy, której ofiarą Staniszkis padła ze strony Ireneusza Iredyńskiego. Inni podnosili, że kolizja z ciężarówką rzadko kończy się jedynie blizną na wardze... Na pewno to był jej symbol, wyróżnienie. To dlatego Piotr Sztompka nazywa ją w tej książce „grand lady of Polish sociology".

Nawiasem mówiąc, wpadanie pod ciężarówki to może być dobra metafora jej życia. Fascynacja stalinizmem w okresie nastoletnim. Wiara w partie III RP.

Ryzykowne związki, które źle się kończyły.

To była kobieta wyzwolona, a jak na kobietę kojarzoną z prawicą – bardzo wyzwolona. Jeden z moich prawicowych rozmówców w części, która nie przeszła przez autoryzację, opowiadał, że czuł się przy niej niekomfortowo – np. gdy mówiła, z kim sypiała.

To też część odpowiedzi na pytanie, skąd zainteresowanie Staniszkis – bo jest postacią pełnokrwistą.

Tu paradoks: kobieta niezależna, silna, a równocześnie tkwiąca w przemocowych związkach.

W książce celowo cytuję psycholożkę, która te wątki medyczno-psychologiczne ucina, przypominając, że nie da się – i nie wolno – diagnozować na odległość. I ja też niewiele piszę o scenach przemocy w związku Jadwigi Staniszkis np. z Iredyńskim. Chociaż ona sama publicznie mówiła, że była ofiarą przemocy.

A gdybym miał odpowiedzieć na to – pozorne moim zdaniem – pęknięcie między reputacją silnej kobiety a popadaniem w takie a nie inne relacje uczuciowe, to bym opowiedział o kobiecie... zdumionej światem. Ona sama pisze w autobiografii o tej przemocy tak, jakby ją analizowała z boku, przyglądając się innym osobom. Mówi nawet i pisze o zjawisku przemocy jako „sposobie komunikacji", której warto się przyglądać. To oczywiście przerażające z punktu widzenia ofiar, ale Staniszkis tak właśnie na to patrzyła. To był umysł do bólu analityczny, który wszystko przetwarzał.

Mówiła, że jest w spektrum autyzmu. Rodzina i znajomi opowiadają o tym w Twojej książce z dystansem, przypisując jej różne zachowania chłodowi emocjonalnemu.

Mnie jako socjologa – podobnie zresztą jak ją – interesuje to, co zewnętrzne. Socjologia to nauka opisowa, a psychologia to raczej – z tego stanowiska wychodzę – nauka praktyczna, to jest taka, gdzie badania służą głównie budowaniu siatki pojęciowej dla praktyków.

Zatem nie wiem, czy była w spektrum, ale fascynuje mnie, jak ona tym wątkiem grała. Budowała w ten sposób swoją pozycję niezależności, osobności. Ciekawe, że osoby, którym o tej swojej autystyczności mówiła, to byli głównie ludzie ze świata zawodowego. Nawet jej krewni mówią mi: „Widziałam, jak Jadzia opowiadała o swoim autyzmie w wywiadzie". To jest formuła, której używała publicznie i w rozmowach zawodowych, na zasadzie: „odwalcie się".

Była samotna?

Gdy skończyłem pisać, byłem szczęśliwy. Moja przyjaciółka, psychoterapeutka, przeczytała książkę przedpremierowo i napisała: „Hej, to jest bardzo smutna opowieść!". A potem zapytała: „Czy u ciebie wszystko okej?". Bała się, że ja chcę zamanifestować tą książką jakieś kompletne zlanie się z prof. Staniszkis.

Dla mnie to jest opowieść o kimś, kto idzie własną drogą i wiele osiąga, ale też płaci cenę – samotności. Jest zawsze

eprasa.pl 3ae9b00924



ŁUKASZ OSTALSKI / REPORTER

Jadwiga Staniszkis, styczeń 2008 r.

„poza", nawet jak ktoś ją zaprasza do tego czy innego grona.

W jej tekstach jest wiele rozczarowania. Marksizm w wersji reżimowej? Szybko jako młoda dziewczyna zorientowała się, że to nie to. Walczyła o „Solidarność" – ale przecież opuściła grono ekspertów w akcie sprzeciwu wobec zapisu o „kierowniczej roli partii". Okrągły Stół i transformacja? Dla niej porażka. A potem wspomniane już partie III RP, którymi się rozczarowywała. Tak, to jest również opowieść o smutku i samotności.

Także w ostatnim okresie życia, gdy cierpiała na Alzheimera? Jest w książce scena nakreślona przez Ryszarda Bugaja: spotyka Staniszkis ubraną w płaszcz, mimo upału. Zdezorientowaną, szukającą bankomatu...

Nie była w tamtym okresie sama: opiekowała się nią najlepsza przyjaciółka, Joanna Wojciechowicz, ale też i córka, która zresztą nie chciała się wypowiadać do książki, a ja nie chciałem wchodzić głęboko w rodzinne relacje.

Nie poruszasz też kwestii wywiadu dla „Newsweeka", niecałe trzy lata przed śmiercią. Z rozmowy wynikało, jakoby socjolożka, która wcześniej odwróciła się od PiS, znowu zaczęła z partią Kaczyńskiego sympatyzować.

Powiedziała tam m.in., że Kaczyński musi uratować kraj, a demokracja nie jest najwyższą wartością. Wielu ludzi podniosło larum, że gazeta wykorzystała chorobę, by ośmieszyć socjolożkę...

Nie chcę w to znowu wchodzić, natomiast akurat fragment o demokracji jest do obronienia. Ona to moim zdaniem mówiła w sensie opisowym, nie normatywnym – dla wielu polskich polityków demokracja nie była nadrzędną wartością. Ani w Polsce sanacyjnej, ani w PRL, ani w wielu momentach III RP.

Całe jej życie to są losy tego kraju w pigułce. Zacznijmy od przed- i powojnia: młoda dziewczyna, której rodzice i dziadkowie tkwili po uszy w tradycji endeckiej, w latach 50. daje się uwieść marksizmowi.

Endecja była, poza wszystkim, ruchem modernizacyjnym, podobnie zresztą jak inne ugrupowania przedwojenne – pepeesowcy, ludowcy i piłsudczycy. To są wszystko ludzie, przy wielu różnicach, zafascynowani budową i zmienianiem kraju, który przecież w latach 20. ubiegłego wieku był w ruinie.

I ona też jest wychowana w duchu pytania: „Jak zmienić kraj na lepsze?". A równocześnie chce się od spuścizny przedwojennej rodziców odciąć, np. ze względu na endecki antysemityzm, którym gardziła. W dodatku idzie na socjologię UW; dla niej to będzie miejsce formacyjne. To był nawet przed wojną jeden z głównych ośrodków przedstawicieli lewicy.

Ale z czasem Staniszkis również od marksizmu zaczyna się dystansować. Nietrudno zgadnąć, dlaczego: w wersji radzieckiej on jest często bezbrzeżnie głupi i wulgarny, a wybitnych sowieckich filozofów z tej tradycji, jak np. Ewald Iljenkow, szczuje się w ZSRR i zabija.

Są lata 60., a młoda Jadwiga zaczyna mówić mniej więcej to, co Kuroń i Michnik – o narodzie i suwerenności. To ciekawe, jak z marksizmu wpadają w tematy kojarzone w międzywojniu z endecją, może tą mniej radykalną – bo i endecja, i polski marksizm w pewnym momencie się schodzą przez swoją obsesję na punkcie modernizacji. ↦

eprasa.pl 3ae9b00924

↦ **Po Marcu ’68 Staniszkis jest aresztowana, trafia też do więzienia.**

Tu ma miejsce epizod, z którego się będzie tłumaczyć – że mówiła służbom „za dużo”. Według mnie to nie było „twarde sypanie”, co nie zmienia faktu, iż tego żałowała – że nie była taka niezłomna jak choćby bliski jej Aleksander Smolar.

Ale i tak przecież zapłaciła za swoją działalność wysoką cenę.

Jednak, co ciekawe, Staniszkis nigdy nie budowała na tym swojego kapitału – zresztą wszyscy wtedy skupili się na sprawie Andrzeja Mencwela. Po wyjściu z więzienia pracowała doraźnie, obroniła doktorat, była blisko opozycji, ale nigdy nie stała się opozycyjną ideolożką. Jeśli budowała na czymś swój kapitał, swój mit – to raczej na osobności.

Przychodzi Sierpień ’80, Staniszkis uczestniczy w jego wydarzeniach, ale jako badaczka opisze wewnętrzne sprzeczności ruchu.

Chodzi o słynną „samoograniczającą się rewolucję”, która jest według niej hamowana przez intelektualistów, czyli właśnie osoby, które protestowały z nią w 1968 roku. Ona się wtedy od nich odcina. A robotnicy, którzy czują się kompletnie niesłuchani, powiedzą, że z nią jako jedyną z grona solidarnościowych ekspertów mogli normalnie rozmawiać.

Staniszkis zawsze mówiła, że robotnicy mogli wtedy ustanowić władzę. I tym samym przypominała, że w Polsce nigdy tej władzy nie stworzyła żadna duża grupa społeczna. Zawsze elity.

Z tego też powodu będzie krytyczna wobec Okrągłego Stołu i transformacji.

A mogła przy tym stole zasiadać: jest tam np. będący blisko niej Ryszard Bugaj. Jerzy Wiatr, ważna wtedy postać ze strony rządowej, mówił mi jednak, że Staniszkis dla żadnej ze stron nie była postacią wystarczająco ważną. Dlaczego? Bo nie reprezentowała wyraźnie ich interesu.

Robi zresztą wtedy z punktu widzenia swojego interesu rzeczy irracjonalne: rozmawia w momencie największej polaryzacji i z ludźmi PZPR, i opozycji. Znowu jest „niczyja”.

Aż do czasów AWS.

Mówi się, że wymyśliła nawet tę nazwę. Miała tam swoich politycznych ulubieńców, np. Michała Kazimierza Ujazdowskiego.

Zadam pytanie, posiłkując się cytatem z wypowiedzi jej przyjaciółki. „Co jej z tym PiS-em odbiło”?

Wcale nie uważam, by – z punktu widzenia jej światopoglądu – jej „odbiło”. Po prostu w Polsce nie było innej poważnej siły, która byłaby równie jak ona krytyczna wobec polskiej transformacji. Nie licząc Andrzeja Leppera, ale do niego Staniszkis była uprzedzona, zresztą jak prawie cała „bańka” uniwersytecka.

PiS natomiast, tak jak ona, deklarował, że jest po stronie tych, którym w czasie transformacji nie wyszło. To przekonuje Staniszkis, choć nigdy nie przyjmie partyjnej legitymacji. Być może wie, jak dużo na tej partyjnej plemienności stracili tacy naukowcy jak prof. Zdzisław Krasnodębski czy prof. Ryszard Legutko. Do lektury ich ostatnich tekstów potrzeba wiele samozaparcia...

Po jakimś czasie prof. Staniszkis odcina się od PiS-u.

Odcina się, gdy PiS zaczyna naruszać trójpodział władzy. Ona zresztą była w gruncie rzeczy bardzo antypisowska. Opowiadała się za traktatem lizbońskim, za globalizacją, za prawami osób LGBT+, za przyjmowaniem imigrantów.

Ten zestaw w połączeniu z jej różnymi zaangażowaniami pokazuje, iż dla niej nie było aż tak ważne, gdzie była, kto ją otaczał, kto ją lubił albo nie lubił – najważniejsze było to, by mówić, wyrażać opinie, analizować.

Była w latach 90. kancelowana przez mainstream, np. „Gazetę Wyborczą”?

„GW” nie kanceluje, „GW” zarządza dostępem do wiedzy – to typowe dla mediów od lat 90. Ale tak, Staniszkis w logice ich zarządzania się nie mieściła. Zresztą nieprzypadkowo Adam Michnik i Jarosław Kurski – dwaj naczelni „GW” – odmówili mi komentarza do biografii, przysyłając zresztą niemal identyczną wiadomość:

REKLAMA



eprasa.pl 3ae9b00924

„Na temat JS nie mam nic do powiedzenia".

Zadam Ci pytanie, które stawiasz Ryszardowi Bugajowi, tyle że on nie odpowiada. Czy w latach 2000. jedyną drogą dla osób, które kontestowały transformację i miały lewicujące poglądy na gospodarkę – było zwrócenie się ku Kaczyńskiemu?

Tak, bo lewica była tak słaba, że nie stanowiła alternatywy. Dlatego część tych osób, jak Bugaj, poszło za PiS-em, po czym się odeń odcięło. Polska lewica lat 90. to chowanie się, lęk przed wyrazistością.

A dziś jest inaczej?

Mamy lewicę, ale uwikłaną w zwalczanie się nawzajem. Z jednej strony jest świętsze od papieża Razem, z drugiej Nowa Lewica, która sama się oszukuje, że coś przepchnie w tym rządzie. Sympatyzuję z nimi, jest tam dużo nazwisk z mojego pokolenia, które popychają te partie w dobrą stronę. Ale ja też nie należę do żadnej partii, więc mogę sobie postękać, ba, nawet z tego się utrzymuję.

Z drugiej strony, patologią naszego życia publicznego jest niezrozumienie, że polityka nie dzieje się tylko w parlamencie. To wiedziała i powtarzała Staniszkis, i być może także dlatego unikała – mimo wielu propozycji – zaangażowania się w politykę partyjną.

Wróćmy do Ciebie, zetki o poglądach socjalistycznych. Czy patrzenie prof. Staniszkis na III RP wpłynęło jakoś na Twoje spojrzenie na ten okres?

Byłem skrajnie krytyczny, a teraz próbuję ten okres zrozumieć. Niektóre jej tezy podzielam: choćby tę, że nigdy nie mieliśmy tak naprawdę kraju budowanego przez obywateli. Jako socjolog interesowałem się m.in. tym, jak modelowe państwa opiekuńcze – np. w Skandynawii – były współtworzone przez całe grupy zawodowe albo klasy społeczne, w tym sensie, że rozwiązania wykuwały się w efekcie równoważenia interesów tych grup. Inaczej niż w Polsce, gdzie – tak w 1918, jak i w 1989 roku – nowe porządki były efektem ustaleń elit.

III RP to okres przyłączenia nas do wielkiego projektu kapitalistycznego, a także cezura wyznaczająca koniec funkcjonowania Polski jako kraju w pełni peryferyjnego. Akceptuję też konieczność dokonania transformacji, choć jestem pewien, że dało się ją zrobić inaczej. Ale nie mam do Tadeusza Mazowieckiego czy Leszka Balcerowicza żalu – byli zresztą elementami historycznego procesu.

Natomiast mam nadal problem z czymś, z czym Jadwiga Staniszkis też miała kłopot. Że ten okres transformacji, stanowiący traumę dla setek tysięcy ludzi, nie został przez nas przepracowany, tzn. że głos tych, którzy się na tę transformację nie załapali, był tłumiony. Mam też problem z tym, że architekci tych zmian nie chcą przyjąć żadnej krytyki.

Być może dlatego nie kupuję np. słynnego musicalu „1989" i mitu, który próbuje budować.

Twórcy uznali, że wtedy stało się coś doniosłego, wokół czego warto budować pozytywną opowieść. Podzielam to przekonanie.

A ja wcale nie uważam, byśmy potrzebowali takiego mitu. Uważam, że bardziej potrzebujemy przepracować historie traumatyczne, także te świeże – albo pokazywać wewnętrzną dialektykę, to jest napięcia, jakie istnieją w ramach jednego wydarzenia. No i potrzebujemy załatwiać konkretne sprawy, jak np. palącą kwestię mieszkań dla młodego pokolenia Polaków.

A nie dałoby się robić i jednego, i drugiego? Opowiadać sobie o tym, co nam się udało, równocześnie naprawiając to, co nie wyszło?

Amerykanie są specjalistami od tworzenia pozytywnych mitów – przecież „1989" to kopia amerykańskich musicali – a jednak one ich nie uchroniły przed dojściem do władzy Trumpa. Nie uważam też, by trzy i pół dekady temu dokonał się w Polsce jakiś cud.

Rozmawiasz ze mną przed komputerem w Barcelonie, jesteś po studiach w tym kraju, po podróżach, dziesiątkach bardzo suwerennych tekstów w polskich i zagranicznych mediach. Nic z tego bez 1989 roku by się nie zdarzyło.

To samo by powiedzieli moi rodzice, gdyby przysłuchiwali się naszej rozmowie – i ja to w dużej części uznaję. Ale niezależnie od tych osiągnięć III RP, pozwalam sobie – również pod wpływem Jadwigi Staniszkis – na krytycyzm w stosunku do tego, co się przez te lata w Polsce działo.

Ta książka to jest też zbiór rozmów, pytań. Jeden z recenzentów zarzuca mi, że z nikim się nie konfrontuję, że tak samo rozmawiam z Balcerowiczem, jak z Glińskim czy Wiatrem. A ja po prostu wiem, że nie jest to moja opowieść. Choć wiem równocześnie, że miała ona na mnie wpływ.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



JAKUB SZAFRAŃSKI / ARCHIWUM PRYWATNE

KRZYSZTOF KATKOWSKI (ur. 2001) jest socjologiem, tłumaczem, poetą i publicystą. Absolwent Uniwersytetu Warszawskiego i Universitat Pompeu Fabra w Barcelonie. Współpracuje – poza „Tygodnikiem" – m.in. z „Kulturą Liberalną", OKO.press i „Dziennikiem Gazetą Prawną".



Biografia „Radykalna. Wszystkie sprzeczności Jadwigi Staniszkis" ukazała się w tym roku nakładem Wydawnictwa Otwarte.

eprasa.pl 3ae9b00924

OLGA

Drenda: *Cyfrowy odruch metafizyczny*



„Ożywianie podobizn zmarłych ludzi” – to może brzmieć jak ogłoszenie dziewiętnastowiecznego ezoteryka-wynalazcy świadczącego usługi mediumiczne i spirytystyczne, coś ze stylowej powieści osadzonej w czasach „Lalki”. Usługa ta stała się jak najbardziej realna dopiero teraz, gdy powstały internetowe grupy, na których użytkownicy proszą, by niewyraźne fotografie ich zmarłych bliskich uczynić bardziej wyraźnymi, a najlepiej zanimować (z łac. *animo* – ożywiać) przy pomocy sztucznej inteligencji. Niektórzy zastanawiają się, czy można tak postępować z portretami zmarłych, czy nie ma w tym czegoś niegodnego, wreszcie – co z ochroną wizerunku przed niepożądanym użyciem. Są to zasadne pytania, zwłaszcza to ostatnie, ale ja, gdy słyszę o popularności ożywiania zdjęć, odruchowo myślę o czymś nieco innym: o zaskakująco naturalnych potrzebach i reakcjach towarzyszących korzystaniu z technologii.

Przyznaję, że nie należę do osób podekscytowanych rozwojem AI i nie śledzę szczególnie doniesień na ten temat – za bardzo wciąga mnie trójwymiarowa, żmudna, chropowata i nie zawsze pięknie pachnąca rzeczywistość. Jednocześnie uważam, że obowiązkiem człowieka myślącego jest przynajmniej próbować patrzeć na sprawy możliwie szeroko i uczciwie, nawet gdy to nie moja bajka. Dlatego też zwracam uwagę – i jest to być może jedyna rzecz, jaka mnie tu interesuje – na niespodziewane sposoby wykorzystania tej technologii: takie, które świadczą o być może naturalnej dla człowieka nieprzewidywalności. Zastosowania niezgodne z domyślnym przeznaczeniem towarzyszą licznym wynalazkom. Można podsumować ten proces myślą, że projektowanie swoje, a życie swoje, albo symboliczną ścieżką wydeptaną niedaleko „oficjalnego” chodnika. Na takie przedepty, czyli ścieżki prowadzące tam, dokąd użytkownicy wolą iść, w języku angielskim mówi się „*desire paths*” – to ładnie demonstruje rozbieżność między myśleniem projektowym a tym, jak coś będzie realnie stosowane. Rajstopa damska (tak, wiem, że mówi się „rajstopy”, ale tutaj chodzi o ich połowę, część na jedną nogę) wielokrotnie sprawdziła się jako pasek klinowy w samochodzie lub jako tzw. popkiller, czyli osłona tłumiąca szumy na mikrofonie. SMS-y miały być poboczną, marginalną funkcją telefonów, które, co oczywiste, miały służyć do dzwonienia – dopóki użytkownicy sami nie odkryli, że pisanie jest dyskretniejsze i mniej kosztowne.



Przedept, czyli swoją drogą

OLGA DRENDA

Tak jest też z LLM-ami: owszem, można przy ich pomocy programować, analizować duże zbiory danych, generować fake newsy albo tworzyć kompletnie nieczytelne menu restauracji. Ale użytkownicy sami, z własnej potrzeby znaleźli dlań zupełnie inne, nieprzewidziane zastosowanie: formę osobistego kontaktu ze zmarłymi. Chyba w najbardziej megalomańskich fantazjach, z których słyną proponenci AI, taki pomysł się nie pojawił – co nie dziwi, gdyż zastosowanie „na ukos”, tak jak ścieżki-przedepty, może wyłonić się tylko drogą oddolnego użytku przez ludzi, którzy nie zdążyli jeszcze przyzwyczaić się do instrukcji. Mimo mocno ambiwalentnych odczuć wobec samej technologii, to akurat budzi mój szacunek: niemal automatyczne skojarzenie nowych narzędzi do pośredniczenia w kontakcie z tajemnicą, z rzeczami ostatecznymi. Jest w tej natychmiastowości jakieś zdumienie i właściwe, prawie pierwotne rozeznanie, jaki może być z niej pożytek – czyli metafizyczny.

Przypomina mi to słynne nagranie głosu Józefa Piłsudskiego, który stojąc przed „dziwaczną trąbą”, bo tak nazywał fonograf, głośno zastanawiał się nad tym, że w przyszłości inni będą mogli słuchać jego oddzielonego od ciała głosu. W XIX w. jeszcze młody wynalazek fotografii zachęcał do podobnych poszukiwań: fotograf William Mumler twierdził, że potrafi uchwycić na zdjęciu obecne w pomieszczeniu dusze. Była to zwyczajna podwójna ekspozycja, a Mumlera zdemaskowano jako oszusta, ale jego klienci kierowali się jak najbardziej realną potrzebą, by zmarli nie znikali w pełni z ich świata. Współcześnie ludzie, którzy proszą o „ożywienie” starych fotografii, z pewnością nie mają tego dosłownie na myśli, ale samo skojarzenie nowych technologii z zaświatami wydaje się zupełnie odruchowe i bardzo ludzkie. Oczywiście biorąc pod uwagę wszystkie kontrowersje dotyczące praw do ochrony wizerunku i tego, czy „ożywiony” zmarły nie zostanie wykorzystany wbrew wiedzy i woli bliskich w śmieciowej reklamie, bo jak uczy historia Mumlera, nadużycie zaufania to niestety nieusuwalny cień technologicznych możliwości.

Wykorzystywanie różnych rozwiązań niezgodnie z ich domyślnym przeznaczeniem i upór, z jakim ludzie odmawiają postępowania zgodnie z instrukcją, zawsze budzi we mnie nieco nadziei. Oczywiście nie musi to wcale być korzystne, a pomysłowość nieraz prowadzi do zguby, o czym świadczy choćby długa lista niespodziewanych substancji wykorzystywanych jako środki odurzające. Niestety! Ale czy człowiek w pełni przewidywalny i programowalny to jednak niegorszy scenariusz? ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”.

eprasa.pl 3ae9b00924

TYGODNIK POWSZECHNY

„Tygodnik” na rok + 4 wydania specjalne



„Tygodnik Powszechny” to jedyny polski tygodnik społeczno-kulturalny. 30 tys. Czytelniczek i Czytelników. Najlepsze Autorki i najlepsi Autorzy. Wspólnota, która myśli samodzielnie.

Treści „Tygodnika Powszechnego” są wyjątkowe na polskim rynku prasy.

- Diagnozy społeczne z ludzką wrażliwością
- Kultura jako klucz do rozumienia świata
- Otwarte podejście do wiary i duchowości
- Bieżące wydarzenia w szerokim kontekście

OFERTA CENOWA

Tygodnik na rok + 4 wydania specjalne	InPost	cena 786 zł
	Poczta	cena 787 zł
4 wydania specjalne	InPost	cena 100 zł
	Poczta	cena 100 zł

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny”, ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków
tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00)
adres e-mail w sprawie prenumeraty: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Razem tworzymy „Tygodnik”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 3ae9b00924

REPORTAŻ

WYGLĄDASZ OSIĄGALNIE

Im więcej niepewności w naszym życiu, tym chętniej słuchamy disco polo. Od niemal czterech dekad ten gatunek muzyki jest czułym sejsmografem nastrojów, aspiracji i marzeń.

TEKST I ZDJĘCIA: MONIKA OCHĘDOWSKA



Wakacyjny program imprez rozwieszony nad wejściem do amfiteatru obiecuje zmęczonym bałtyckimi falami wczasowiczom relaks w towarzystwie Zenka Martyniuka, Michała Wiśniewskiego oraz grupy grającej covery Abby. Niekwestionowanym królem tej sceny jest jednak gwiazdor disco polo Skolim (Konrad Skolimowski), który w ciągu niespełna dwóch letnich miesięcy zaśpiewa w Międzyzdrojach sześć razy.

Bilety na jego dzisiejszy koncert, trzymając pod pachą miniaturowego pudelka, sprzedaje jedna z pracownic ochrony. Za godzinę zobaczę ją w rogu sceny skupioną na tym, by nikt z nas nie próbował rzucić czegoś pod nogi idola albo wdrapać się po schodkach wprost w objęcia Króla Latino.

Zanim jednak zaczniemy skakać w rytm jego przebojów, krzycząc wpadające w ucho teksty o gorącej miłości, możemy zrobić sobie fotkę z babcią Skolimową, znaną fanom z mediów społecznościowych wokalisty. Między zbierającymi się w pierwszych rzędach amfiteatru nastolatkami biega w złotych klapkach marki Dino uśmiechnięty Velson (Patryk Jerzak, klawiszowiec). Do robienia zakupów, niespiesznie testując mikrofony, zaprasza nas z kolei sypiący dowcipami Luxon (Łukasz Jurga, gitarzysta).

O promocjach na odzież i perfumy usłyszymy tu zresztą nie raz, choć do wydawania pieniędzy nie trzeba nikogo w Międzyzdrojach szczególnie namawiać. Do zaparkowanego na tyłach amfiteatru różowego busa z koszulkami, spodenkami, bielizną oraz zdjęciami z autografem wciąż na nowo formuje się kilkunastoosobowa kolejka. Zakupy potrwają długo – nawet po tym, jak Skolim wyśpiewa swój ostatni przebój, obiecując, że wystarczy jedno słowo, a zawsze już będzie obok nas.

Podobny ogonek klientów ustawi się do busa zaparkowanego pod Domem Kultury w Dziwnowie, gdzie zespół zagra następnego dnia. W tym roku Skolim ze swoją ekipą ma dać łącznie 571 koncertów.

My dziś tworzymy historię

Dziesięć lat temu Konrad Skolimowski dostał jedną z głównych ról w filmie Anny Jadowskiej „Dzikie róże". Potem wystąpił w kilkunastu odcinkach serialu „Dziewczyny ze Lwowa", ale widzom rodzimych produkcji znany jest głównie jako Patryk z emitowanych na TVP2 „Barw szczęścia". Choć próbował sił jako aktor w wielu polskich serialach i zagranicznych reklamach, dziś na YouTubie przedstawia się wyłącznie jako „King of Reggaeton latino from Polonia" (pisownia oryginalna).

Poza występowaniem na scenie w repertuarze łączącym disco polo z popularnymi latynoskimi rytmami, Skolim sprzedaje także podpisane swoją ksywką lody (są dostępne w Biedronkach), ma różową stację benzynową w Czeremsze na Podlasiu oraz pensjonat „Willa Drako" w Międzyzdrojach. Od 1 czerwca producent mięsa i wędlin JBB Bałdyga sprzedaje parówki, kabanosy oraz kaszankę ze zdjęciem wokalisty. Produkty można kupić w 4 tys. sklepów w całym kraju, należących m.in. do sieci Auchan, Carrefour, Lewiatan i Polo Market. Kiełbasy „Króla Smaku" można także skosztować na rodzinnych festynach, organizowanych w wybranych miejscach w kraju (ostatni „Grill u Skolima" był w Nowym Targu).

Historia sukcesów Skolimowskiego zaczyna się jednak pięć lat po filmowym debiucie. W 2022 r., po nieudanym występie w telewizyjnym konkursie muzycznym i kilku nagranych piosenkach,

eprasa.pl 3ae9b00924



Luxon, Skolim i Velson na scenie Domu Kultury w Dziwnowie, 15 lipca 2026 r.

które przechodzą bez echa, wokalista wypuszcza teledysk do utworu „Wyglądasz idealnie". Do dziś numer odtwarzany jest na YouTubie średnio 176 tys. razy dziennie. To dużo, a przecież kolejne przeboje mają jeszcze lepsze statystki. Nagrana na początku lata w duecie z Cleo (Joanną Klepko) piosenka „Lubimy" włączana jest w polskich domach mniej więcej 285 tys. razy dziennie. Z kolei udostępniony w zeszłym tygodniu utwór „Love", śpiewany z Zenkiem Martyniukiem i Reiderem, nabija 8,5 mln wyświetleń w trzy dni, wskakując na pierwsze miejsce przebojów polskiego YouTube'a.

Dlaczego tak pokochaliśmy trzydziestoletniego blondyna z Łukowa? Jedną z odpowiedzi na to pytanie znajduję podczas jego nadmorskich koncertów. Ekipa Skolima jest praktycznie na wyciągnięcie ręki: jeśli chcesz, możesz uściskać Skolimową babcię, pogadać z Luxonem, bez szczególnych problemów poprosić wszystkich o autograf. A do tego możesz wyglądać jak Skolim, kupując ubrania, które ma na sobie na koncertach, pachnieć jak Skolim, korzystając z jego kosmetyków, a nawet wpaść do niego na kaszankę z grilla.

Swojskość i dostępność – szczególnie w zestawieniu z teledyskami, na których gwiazdor prezentuje drogie zegarki i auta – może dziwić, choć nie powinna. Na tym opiera się specyfika gatunku płynnie przeskakującego między marzeniami a rzeczywistością. Przylatując do naszej wsi różowym helikopterem, Skolim nie tyle mówi, że jest jednym z nas, co obiecuje, że to my możemy być kiedyś tacy jak on. Marcin Miller, wokalista grupy Boys, precyzyjnie skomentował ten fenomen wykonawców disco polo w jednym z wywiadów: „My jesteśmy takimi muzykami, jakimi ludzie nas chcą. Osiągalnymi".

To dla naszych ludzi, którzy w życiu walczą

Choć Skolim próbował swoich sił w muzyce wiele lat wcześniej, zaskoczył dopiero numer nawiązujący do brzmień reggaetonu (jednego z gatunków muzyki latynoskiej, skądinąd rówieśnika disco polo). W nagranym do niego teledysku wielka różowa limuzyna z tancerkami odzianymi w bikini wjeżdża wprost pod Pałac Kultury – symbolicznie dając początek nowemu rozdziałowi muzyki disco ↦

eprasa.pl 3ae9b00924





↦ polo. A właściwie – trzeciej dużej fali popularności tego gatunku.

Miejsce jest symboliczne, bo to właśnie w Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki zimą 1992 r. zorganizowano Wielką Galę Piosenki Popularnej i Chodnikowej, którą uznaje się za początek boomu rodzimej muzyki dyskotekowej. To po telewizyjnej transmisji tej gali na terenach dawnych PGR-ów zaczynają się otwierać legendarne dyskoteki – Paradiso w Choroszczy, Ekwador w Manieczkach, Kaskada w Bondarach.

Muzyka disco polo rodzi się więc razem z III RP – na lokalnych bazarkach, ryneczkach i wypełnionych „szczękami" stadionach. Dlaczego tam? Nie tylko z powodu odbywającego się w tych miejscach handlu pirackimi kasetami. Bazar był po prostu miejscem spotkań ludzi, którzy musieli nagle znaleźć sobie nowe sposoby zarobkowania. A podczas ciężkiej pracy potrzebowali chwil radości.

Targowisko lat 90. udowadnia ekonomiczną operatywność sporej grupy naszego społeczeństwa, będąc jednocześnie miejscem sprzedaży podróbek, czyli produktów imitujących drogie, zachodnie marki. Przypominam sobie o tym podpatrując, jak z różowego Skolimbusa znikają kolejne pudełka z zapakowanymi w błyszczący papier perfumami „Bebecita" i „Palermo".

Disco polo dawało w latach 90., zarówno twórcom, jak i słuchaczom, poczucie przejęcia kontroli nad własnym losem, a z drugiej strony – w przeciwieństwie do kontestujących rzeczywistość rocka czy hip-hopu – pozwalało jednoczyć się w marzeniach o korzystaniu z uroków kapitalizmu. Kiedy punkowcy i raperzy wyrażali swoją niezgodę na przemiany lat 90., twórcy disco polo umacniali mit sukcesu osiągalnego dla przeciętnego Polaka (zagraniczne wakacje, własny domek i dobre auto, szczęśliwa miłość).

Disco polo to jedno z tych zjawisk, które Marcin Napiórkowski zaliczyłby, jak sądzę, w poczet naszych pozytywnych mitów. Daje nam bowiem pozytywną opowieść o świecie, która pozwala się odbić ku przyszłości (a więc w podobny sposób, w jakim używa się tej koncepcji w psychoterapii). Kto wie, czy nie jest to zresztą jeden z niewielu pozytywnych mitów wywodzących się z roku 1989, który wciąż – jak pokazuje popularność Skolima – na nas działa. „Nieważne, co mamy. Ważne, jak potrafimy się cieszyć", piszą ludzie w komentarzach pod jego teledyskami.

Kiedy się powodzi, lubimy się wozić

Leżący na skraju województwa lubelskiego Łuków, w którym w połowie lat 90. rodził się Konrad Skolimowski, w czasie PRL-u był miastem przemysłowo-usługowym o sporym znaczeniu w regionie. W latach 1960-1990 notuje trzykrotny wzrost liczby mieszkańców – nic dziwnego, otwierane są tu między innymi duże zakłady mięsne (sprywatyzowane w roku 2003) i spółdzielnia mleczarska.

Nieprzypadkowo to właśnie stąd, północno-wschodniej i centralno-wschodniej Polski, pochodzi najwięcej gwiazd disco polo. Geografia narodzin gatunku pokrywa się z obszarami, które po roku 1989 doświadczały największych zmian, ale też miały bardzo silny kapitał społeczny oparty na zaufaniu i sieciach bliskich relacji. Popularność tamtejszych zespołów grających na weselach czy dożynkach budowała się właśnie poprzez rekomendacje. Kiedy pojawiła się możliwość nagrania własnej twórczości na kasety, ogólnopolska popularność, wspierana lokalnymi siłami, była tylko kwestią czasu.

Jeśli przyjrzymy się momentom szczególnego popytu na disco polo oraz wykresom, które pokazują odsetek bezrobocia na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat, okaże się, że pierwsza fala popularności tej muzyki kończy się mniej więcej w roku 1998, kiedy bezrobocie jest rekordowo niskie (bez zajęcia pozostaje mniej niż 10 proc. Polaków). Kolejna moda na polskie disco przychodzi po roku 2008, gdy bezrobocie znów zaczyna rosnąć, a w podłączonych do internetu komputerach pojawia się YouTube, dający, jak wcześniej kasety magnetofonowe, możliwość samodzielnego upowszechniania chałupniczo montowanych piosenek.

W dorosłość wchodzi też pokolenie, które pamięta przeboje disco polo z dzieciństwa. Wiele grup wraca wtedy na scenę trochę na fali nostalgii za latami 90., a trochę jako odpowiedź na potrzebę karnawału (studenci bawią się przy disco polo np. na juwenaliach, traktując tę muzykę już nieco ironicznie). Symbolem tej fali jest namiętnie grany na weselach

eprasa.pl 3ae9b00924





Koncerty Skolima w Dziwnowie i Międzyzdrojach, 14-15 lipca 2026 r.

i studniówkach przebój „Ona tańczy dla mnie" grupy Weekend (mamy rok 2012, Polska gospodarka dostaje zadyszki, za moment bezrobotnych będzie ponad 14 proc. naszych rodaków).

Choć dziś utrzymujemy jedną z najniższych stóp bezrobocia w Unii Europejskiej (w 2024 r. wynosiła ona 5,1 proc., a na koniec zeszłego roku 5,7 proc.), przeszliśmy od problemu braku pracy do problemów związanych z jej jakością i kosztami życia. Jak wskazują autorzy raportu „Poverty Watch 2025" Europejskiej Sieci Przeciwdziałania Ubóstwu (EAPN Polska), tempo wzrostu konsumpcji uboższej części naszego społeczeństwa nie nadąża za resztą, co powiększa dystans i poczucie wykluczenia. W skrajnym ubóstwie (a jednocześnie poza radarem ośrodków pomocy społecznej) żyje ok. 2 mln osób.

Zatem gdy gwiazdy mainstreamowej telewizji podpisują się pod hasłem, że „sukces to decyzja" (słynna wypowiedź Julii Wieniawy w programie Kuby Wojewódzkiego), Skolim odwiedza sklepiki mięsne w Łosicach, Nasutowie czy Ratułowie, by – jak czytamy na łamach „Wiadomości spożywczych" – „wesprzeć polskich przedsiębiorców". Czy to przypadek, że swoją stację benzynową otwiera na Podlasiu? Jak mówią dziennikarzom portalu NewsDiscoPolo jej pracownicy, szybko stała się ona centrum życia lokalnej społeczności: „Czeremcha odżyła, bo wcześniej niewiele się tu działo". Kiedy „jedni leżą pod chmurką, Ty pracujesz", czytam w komentarzach pod jego piosenkami. Albo: „Skolim pokazuje, jak łączyć występy z biznesem, a przy tym wspiera Polskę".

Według badaczy disco polo filozofię gatunku określały dotąd cztery wartości – miłość, pieniądze, zabawa i optymizm. Skolim pomysłowo dorzuca do tego zestawu coś, z czego jako naród jesteśmy szczególnie dumni: pracowitość.

Latino day! Z miasta do miasta

Pamiętacie piosenkę „Despacito" Louisa Fonsi, przebój roku 2017? To właśnie on stał się wyznacznikiem momentu, w którym reggaeton przekroczył granice Ameryki Łacińskiej, trafiając także pod polskie strzechy.

Badacze z uniwersytetu w Medellín (Kolumbia) w czasopiśmie „SCIentific RESearch and Information Technology" (SCIRES-IT) opublikowali dwa lata temu tekst o genezie popularności tanecznego gatunku, którym inspiruje się Skolim. Czytamy w nim, że sukces reggaetonu przypada na okres pandemii, kiedy świat pogrążony był w izolacji i lęku. Muzyka kojarzona z tańcem i fizyczną bliskością staje się dla wielu namiastką normalności. Jej energetyczny rytm pozwala zapomnieć o ograniczeniach i poprawia nastrój – czy nie podobnie jak disco polo?

Podobnie jak nasza muzyka taneczna w latach 90., tak reggaeton dla milionów Latynosów stał się w tamtym czasie przestrzenią radzenia sobie z frustracją i wyrażania nieskrępowanej seksualności (proszę o tym pamiętać, słuchając przepełnionych erotyką, a momentami wulgarnych, tekstów Skolima). Kontrowersyjna muzyka, zyskując aurę autentyczności, stała się głosem tych, którzy nie mieli dotąd własnej reprezentacji – piszą kolumbijscy badacze.

Co ciekawe, jednym z fundamentów sukcesu reggaetonu jest upowszechnianie marzenia o pokonaniu drogi „od zera do milionera". Artyści podkreślają swoje pochodzenie z ubogich dzielnic, a ich spektakularna kariera ma udowadniać dostępność społecznego awansu. To jedna z najważniejszych opowieści wpisanych w tożsamość gatunku: wykonawcy stają się dla słuchaczy ucieleśnieniem marzeń o wyrwaniu się z biedy i zdobyciu lepszego życia, pozytywnym mitem.

Dlatego kiedy po raz kolejny słyszę, jak Skolim upewnia nas w rytmie latino, że wyglądamy idealnie, mam wrażenie, że w tekście jego piosenki przegląda się tańcząca dla niego pod sceną Polska. Tu i teraz jesteśmy wystarczająco dobrzy i zaradni, po raz kolejny damy sobie radę. A przynajmniej obecność Skolima pozwala nam w to uwierzyć.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

Śródtytuły w tekście są fragmentami piosenki pt. „Lubimy", nagranej przez Skolima i Cleo. Podczas pisania korzystałam z książki Bogusława Skowronka i Natalii Zaborowskiej „Disco polo. Analiza lingwistyczno-kulturowa" (Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Pedagogicznego, Kraków 2021).

eprasa.pl 3ae9b00924



Amerykańska rodzina z tradycyjnym indykiem w Święto Dziękczynienia, lata 60. ub. wieku

PIGUŁKA, SEKS I LATO MIŁOŚCI

Farmakologiczna antykoncepcja dała Amerykankom szansę na wyzwolenie się z roli gospodyni domowej. Do tej rewolucji, seksualnej i społecznej, przyłożyło się też kilku mężczyzn.

MARTA ZDZIEBORSKA

eprasa.pl 3ae9b00924

Jest 9 maja 2020 roku, sześćdziesiąta rocznica zatwierdzenia pigułki antykoncepcyjnej do obrotu w USA. Radio publiczne NPR opowiada historię 78-letniej Carole Cato, która wspomina, że zanim dopuszczono tę metodę antykoncepcji, ona i jej rówieśniczki żyły w ciągłym strachu. Nigdy nie były pewne, czy seks nie zakończy się niechcianą ciążą.

Carole miała więcej szczęścia niż jej koleżanki, które wpadły i siłą rozpędu wyszły za mąż, zamykając się w czterech ścianach swoich domów. Ona nie chciała takiego życia. W wieku 23 lat wyszła za mąż za wdowca. Mężczyzna miał już siedmioro dzieci, co ułatwiło parze decyzję, aby nie starać się o kolejne.

Ten pomysł na życie udało się jej zrealizować właśnie dzięki pigułce. Dzięki niej i uzyskanej w ten sposób kontroli nad swoją rozrodczością, Carole Cato poszła na studia. „To było jak zmiana o 180 stopni. Świadomość, że mam wybór, że sama decyduję o moim ciele, dała mi zupełnie nowe spojrzenie na życie" – wspominała kobieta.

Carole Cato dorastała w konserwatywnej Ameryce, gdy mówienie o seksie było tematem tabu. Do tego stopnia, że w filmach nie pokazywano kobiet w ciąży, a nawet unikano słowa „ciąża", bo to kojarzyło się z seksem. Podobnie jak widok pary małżeńskiej leżącej w jednym łóżku. Dlatego aktorzy, mężczyźni i kobiety, w filmach kładli się spać do dwóch osobnych łóżek.

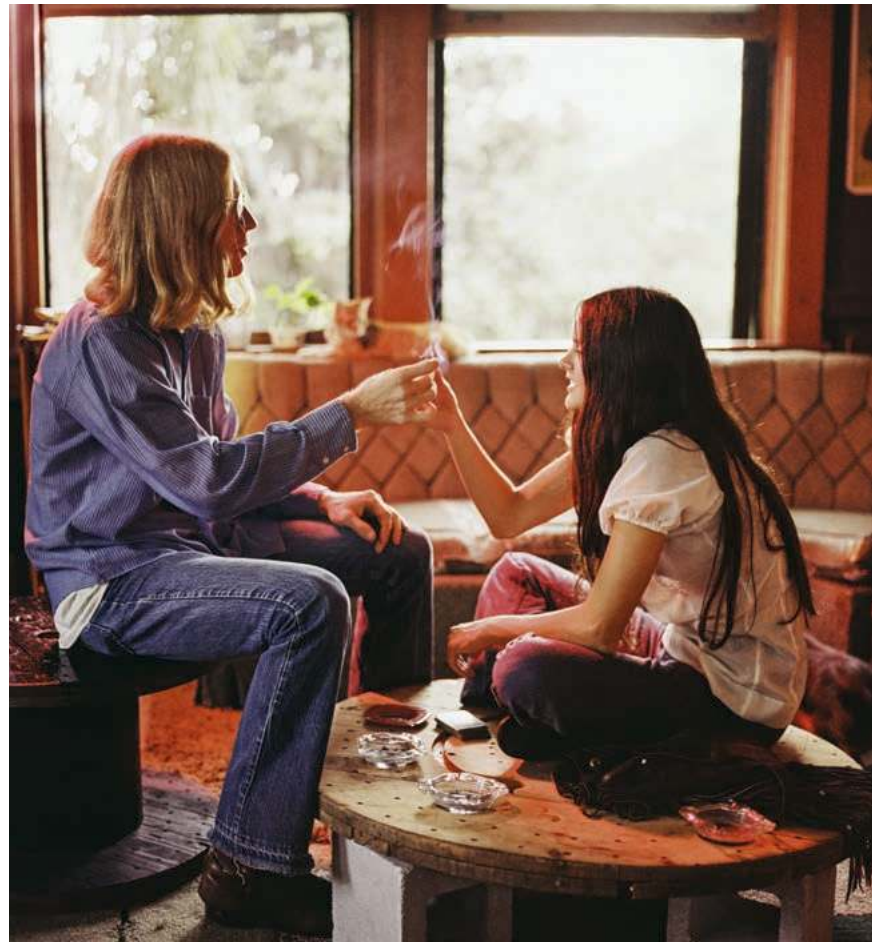
H. ARMSTRONG ROBERTS / GETTY IMAGES

Od owadów do seksu

Z tej perspektywy patrząc, obyczajowym trzęsieniem ziemi, które przygotowało grunt pod rewolucję seksualną, była nie tylko pigułka (o niej za chwilę), ale też praca pewnego biologa z uniwersytetu w Indianie.

Alfred Kinsey, badacz owadów, w 1938 r. dokonał zaskakującego zwrotu w karierze i objął kierownictwo kursu o nazwie „małżeństwo i rodzina". Podczas wykładów dla studentów starszych roczników, a także tych zaręczonych lub już po ślubie, opowiadał o anatomii i fizjologii układu rozrodczego, etapach stosunku płciowego i antykoncepcji. Z czasem zaczął prowadzić sesje indywidualne.

W ten sposób Kinsey, ekspert od owadów, przerzucił się na badania nad seksualnością Amerykanów. O częstotliwość orgazmów, seks przedmałżeński, a nawet pociąg seksualny do zwierząt pytał anonimowo swoich studentów i innych rozmówców, których początkowo szukał w okolicach Bloomington (tam mieści się uczelnia).



DENNIS HALLINAN / GETTY IMAGES

„Seksualna anarchia" rozkręcała się w najlepsze wśród młodych hipisów. Kontestując sztywne zasady moralne, żyli oni w komunach, uprawiali wolną miłość – i często brali narkotyki. Ameryka, druga połowa lat 60.

Kronikarz zachowań

Przez następną dekadę, dzięki grantom na badania, Kinsey i jego asystenci dotarli do ponad 18 tys. kobiet i mężczyzn – studentów, osób wierzących, bywalców gejowskich barów, a nawet więźniów. Kinsey twierdził, że robi to, aby uzupełnić lukę w wiedzy na temat życia seksualnego Amerykanów. „Jesteśmy kronikarzami, a nie sędziami zachowań, które opisujemy" – mawiał.

W 1947 r. naukowiec założył Instytut Badań nad Seksualnością, a rok później wydał książkę pt. „Zachowania seksualne mężczyzny". Ta opasła, ponad 800-stronicowa publikacja naukowa szybko trafiła na listę bestsellerów. W ciągu dwóch miesięcy od premiery kupiło ją ponad 200 tys. Amerykanów.

Zapewne z wypiekami na twarzy czytali, że 92 proc. mężczyzn pytanych przez zespół Kinseya deklarowało, że się masturbuje, że ponad połowa żonatych miała romans, a 37 proc. osiągnęło przynajmniej raz w życiu orgazm w trakcie kontaktu homoseksualnego.

Szczególnie to ostatnie musiało szokować w tamtych czasach. Homoseksualizm postrzegany był jako dewiacja, a zatrudnieni w rządzie federalnym geje i lesbijki tracili pracę, jeśli przełożeni dowiedzieli się o ich orientacji.

„Zniewaga dla kobiet"

Książka Kinseya spolaryzowała opinię publiczną. Podczas gdy niektórzy wychwalali go za odważne podejście do tematu, inni twierdzili, że swoimi badaniami normalizuje zachowania dewiantów. Wytykano mu też, że grupa ↦

eprasa.pl 3ae9b00924

↦ respondentów była niereprezentatywna (np. relacje więźniów mogły podbić statystyki dotyczące homoseksualizmu wśród mężczyzn).

Jeszcze większe kontrowersje wzbudził wydany w 1953 r. tom poświęcony kobietom. Badania Kinseya, z których wynikało, że Amerykanki także się masturbują, uprawiają seks przed ślubem i miewają sny erotyczne, potraktowano jako zniewagę dla godności kobiet.

Niedługo później komisja w Izbie Reprezentantów, izbie niższej Kongresu USA, wszczęła śledztwo w sprawie potencjalnych powiązań Kinseya i finansującej jego badania Fundacji Rockefellera z Partią Komunistyczną – w myśl kalkulacji, że książki Kinseya niszczą amerykańskie rodziny, a to jest cel komunistów.

Na fali tych perturbacji fundacja odcięła Kinseya od pieniędzy na badania. Naukowiec, popadając w coraz większe problemy zdrowotne, zmarł w wieku 62 lat. Odszedł 25 sierpnia 1956 r., niemal równo trzy lata po tym, jak magazyn „Time" poświęcił mu okładkę w związku z wydaniem książki pt. „Zachowanie seksualne kobiety".

Osiemnaście ciąż

Gdy na początku lat 50. XX w. Ameryka emocjonowała się badaniami Kinseya, Margaret Sanger – feministka i działaczka ruchu na rzecz kontroli urodzeń – nie poddawała się w poszukiwaniach naukowca, który opracuje skuteczny doustny środek antykoncepcyjny.

Jej starania napędzała rodzinna historia: matka Margaret Sanger zmarła w wieku zaledwie 50 lat, mając za sobą aż osiemnaście ciąż, z których siedem zakończyło się poronieniem. Margaret Sanger naoglądała się też cierpień kobiet, gdy jako pielęgniarka przyjeżdżała do tych z powikłaniami po nielegalnej aborcji.

Na początku lat 50., gdy była już po siedemdziesiątce, Sanger poznała na nowojorskim przyjęciu idealnego kandydata do prac nad magiczną pigułką. Biolog Gregory Pincus nie miał nic do stracenia: wyrzucony w 1937 r. z Uniwersytetu Harvarda za dokonanie kontrowersyjnego jak na tamte czasy zapłodnienia *in vitro* u królików, funkcjonował na marginesie świata akademickiego.



ALPHA HISTORICA / ALAMY / BE&W

Margaret Sanger (1879-1966) – feministka i działaczka na rzecz praw kobiet

Praca Pincusa nad pigułką antykoncepcyjną nabrała tempa, gdy pieniądze na badania wyłożyła Katharine McCormick: biolożka i sufrażystka z fortuną odziedziczoną po mężu. W 1953 r. odwiedziła laboratorium Pincusa w Shrewsbury w stanie Massachusetts i wypisała mu pierwszy czek na 40 tys. dolarów.

Zgoda z zastrzeżeniami

Gdy eksperymenty potwierdziły, że progesteron zatrzymuje owulację u zwierząt, Gregory Pincus musiał znaleźć sposób, jak przetestować pigułkę na kobietach.

W tym celu zaprosił do swojego zespołu badawczego Johna Rocka, ginekologa prowadzącego klinikę leczenia niepłodności. Rock nadawał się do współpracy, bo w swojej klinice podawał pacjentkom progesteron, mając nadzieję, że tymczasowe zatrzymanie owulacji ułatwi organizmowi regenerację i łatwiej będzie potem zajść w ciążę.

Pincus i Rock, pod płaszczykiem badań nad płodnością, przetestowali pigułkę na pierwszych 50 kobietach w Massachusetts – stanie, który zakazywał wtedy stosowania jakichkolwiek form antykoncepcji. Z tego powodu testy na szerszą już skalę przeprowadzono w Portoryko, a potem na Haiti i w Meksyku.

W końcu w 1957 r. Federalna Agencja ds. Żywności i Leków (FDA) dopuściła do obrotu w USA pigułkę o nazwie Enovid. Z zastrzeżeniem, że środek może być stosowany jedynie w leczeniu niepłodności i zaburzeń miesiączkowania.

Pod koniec 1959 r. z pigułki korzystało już ponad pół miliona Amerykanek, z czego część z nich zapewne „nagle" zaczęła mieć problemy z nieregularnym okresem. Dziwnym trafem nie odstraszało ich ostrzeżenie na opakowaniu, iż lek blokuje zajście w ciążę.

Ostatecznie 9 maja 1960 r. FDA zezwoliła na sprzedaż pigułki już jako środka antykoncepcyjnego.

Spór z Watykanem

Wraz z tym sukcesem swojej misji nie zakończył John Rock – katolik, który uważał, że Kościół powinien zezwolić na użycie pigułki. Była ona bardziej precyzyjną metodą niż „kalendarzyk", polegający na wyznaczaniu dni płodnych i niepłodnych na podstawie długości cyklu menstruacyjnego.

Rock przekonywał, że pigułkę należy uznać za metodę naturalnej regulacji poczęć, gdyż zawiera hormony obecne już w układzie rozrodczym kobiety i „jedynie" przedłuża czas, w którym można uprawiać seks bez ryzyka zajścia w ciążę.

Swoje racje Rock wyłożył w wydanej w 1963 r. książce pod przydługim tytułem: „Czas nadszedł. Propozycje katolickiego lekarza w sprawie zakończenia sporu wokół antykoncepcji" [polski przekład ukazał się w 1966 r. pt. „Czas nadszedł", nakładem Państwowego Zakładu Wydawnictw Lekarskich – red.].

Rok później Rock podpisał międzynarodową petycję wzywającą Watykan do rewizji nauczania Kościoła w sprawie kontroli urodzeń. Gdy jednak w 1968 r. papież Paweł VI ogłosił encyklikę „Humanae vitae", potwierdzającą zakaz stosowania „sztucznych" metod antykoncepcji, Rock ponoć przestał chodzić do kościoła.

Paradoksem jest, że przed wynalezieniem pigułki Rock uczył swoje pacjentki, jak stosować metody zgodne z nauką Kościoła. Jednak w swojej pracy naoglądał się – podobnie jak Margaret Sanger – tylu problemów związanych z nieplanowanymi ciążami, że chciał dać kobietom bardziej niezawodne metody. Tak jak Sanger wierzył też, że pigułka jest dobrą odpowiedzią na galopujący w latach 50. XX w. przyrost ludności na całym świecie.

eprasa.pl 3ae9b00924

Kobiety szturmują uczelnie

John Rock nie zdołał zmienić podejścia Kościoła katolickiego. Za to razem z Gregorym Pincusem podarował Ameryce prawdziwy dynamit społeczny.

Według danych cytowanych przez Planned Parenthood (organizacja działająca na rzecz praw reprodukcyjnych kobiet), do 1965 r. już co czwarta zamężna kobieta poniżej 45. roku życia używała pigułek. W sprawie antykoncepcji Amerykanki nie musiały już polegać na mężach i bardziej zawodnych prezerwatywach. Zniknął też problem z użyciem błony dopochwowej, innej stosowanej wtedy metody antykoncepcji.

Większa kontrola nad własną rozrodczością dała kobietom szansę na pójście na studia i planowanie kariery – o czym właśnie mówiła Carole Cato z Karoliny Południowej. Dzięki antykoncepcji kobiety rzadziej przerywały też naukę przed uzyskaniem dyplomu. Badanie Lawrence'a Katza i Claudii Goldin, ekonomistów z Harvardu, wykazało, że młode Amerykanki, mając pigułkę, później wychodziły za mąż i częściej aplikowały na kierunki studiów postrzegane wtedy jako typowo męskie: prawo, medycynę, biznes.

Radość z seksu

Poza tymi aspektami społecznymi był jeszcze ten zwykły, życiowy: pigułka zwyczajnie pozwoliła cieszyć się seksem także kobietom.

Według analizy Charlesa F. Westoffa, socjologa i demografa z Uniwersytetu Princeton, w latach 70. XX w. małżeństwa uprawiały seks częściej niż w poprzedniej dekadzie. Według Westoffa wpłynął na to nie tylko dostęp do pigułki, ale także inne metody antykoncepcji, jak wkładka domaciczna i wazektomia w przypadku mężczyzn.

Choć i tutaj było we wczesnym okresie pewne ograniczenie: na wprowadzeniu pigułki do sprzedaży na początku skorzystały tylko małżeństwa. Umocowała to decyzja Sądu Najwyższego USA, który w 1965 r. orzekł, że pary po ślubie we wszystkich 50 stanach mają konstytucyjne prawo do antykoncepcji.

Dopiero siedem lat później, w osobnym orzeczeniu, Sąd Najwyższy rozszerzył te przepisy także na singli. Choć niektóre stany jeszcze przed tym przełomowym wyrokiem zezwalały niezamężnym kobietom na dostęp do pigułki.



ADOBE STOCK / MONTAŻ „TP"

Na amerykańskiej prawicy wciąż są zwolennicy ograniczania dostępu do antykoncepcji. **Ten spór w USA ciągle trwa.**

„Gorsza od bomby"

W tamtej konserwatywnej Ameryce pigułka, podobnie jak wcześniej książki Alfreda Kinseya, wzbudziła zarazem duży sprzeciw. W 1966 r. magazyn „U.S. News and World Report" dywagował, czy dostępność tej formy antykoncepcji dla kobiet w wieku rozrodczym może prowadzić do „seksualnej anarchii".

Dwa lata później na łamach „Reader's Digest" pisarka Pearl S. Buck przestrzegała wręcz, że pigułka antykoncepcyjna „może mieć potencjalnie bardziej niszczycielski wpływ na społeczeństwo niż bomba atomowa".

Jedną z najbardziej znanych krytyczek pigułki, ale z medycznego punktu widzenia, była pisarka i aktywistka Barbara Seaman. W książce z 1969 r. pt. „Argumenty lekarza przeciwko pigułce" dowodziła, na podstawie wypowiedzi kobiet i lekarzy, że doustne środki antykoncepcyjne, zawierające wtedy duże dawki estrogenu, są zagrożeniem dla zdrowia. Np. mogły przyczynić się do zawału serca, udaru mózgu, zakrzepów krwi czy nawet nowotworu.

W 1970 r. w Senacie USA wszczęto przesłuchania na temat bezpieczeństwa stosowania pigułki antykoncepcyjnej. W efekcie wprowadzono nakaz, aby na opakowaniach zamieszczać ostrzeżenie o potencjalnych skutkach ubocznych.

Lato Miłości w Monterey

Gdy konserwatyści straszyli „seksualną anarchią", ta rozkręcała się w najlepsze wśród młodych hipisów. Kontestując sztywne zasady moralne, żyli oni w komunach, uprawiali wolną miłość – i często brali narkotyki. Wiele tzw. dzieci-kwiatów pochodziło z klasy średniej i nie chciało iść utartym torem, jak ich rodzice, którzy cenili sobie dobrobyt i stabilną pracę.

Bunt młodych napędzało też uwikłanie Stanów w wojnę w Wietnamie. Hipisi sprzeciwiali się powszechnemu poborowi do wojska i głosili takie hasła jak „Czyńcie miłość, nie wojnę" czy „Kochajcie się, nie wojujcie".

Symbolem ich stylu życia stało się słynne Lato Miłości – muzyczna i obyczajowa rozpusta, która rozpoczęła się w czerwcu 1967 r. od festiwalu rockowego w Monterey. Do tego miasta w Kalifornii ściągnęły wówczas dziesiątki tysięcy nastolatków z całego kraju. Odurzeni narkotykami, uprawiali seks, zmieniając partnerów jak rękawiczki – co bez wątpienia niektórym ułatwił także dostęp do pigułki antykoncepcyjnej.

Po co ci mąż?

Matkami i ojcami rewolucji seksualnej, która dała wolność także hipisom, byli: ginekolog-katolik, dwóch biologów i dwie feministki. Ale swoją cegiełkę do tego procesu dołożyła też Helen Gurley Brown. Na łamach opublikowanej w 1962 r. książki „Seks i singielka" zachęcała Amerykanki do niezależności finansowej, robienia kariery i eksperymentowania z seksem przed ślubem.

„Uważam, że małżeństwo to zabezpieczenie na najgorsze lata życia. Natomiast w tych najlepszych nie potrzebujesz męża. Oczywiście mężczyźni na każdym kroku się przydają, ale w większych ilościach są często mniej wymagający emocjonalnie i o wiele zabawniejsi" – pisała Gurley Brown (sama wzięła ślub w wieku 37 lat). Ponoć napisała tę książkę za namową męża, producenta filmowego.

Bestseller „Seks i singielka" wyniósł ją na stanowisko naczelnej magazynu „Cosmopolitan", który pod jej kierownictwem przeszedł metamorfozę. Z pisma o prowadzeniu gospodarstwa domowego ↦

eprasa.pl 3ae9b00924

↦ stał się poradnikiem dla kobiet, jak planować karierę i modnie się ubrać. Oraz, rzecz jasna, jak cieszyć się seksem.

Gdy w 1965 r. Gurley Brown zaczęła zarządzać redakcją, tytuł miał niecałe 800 tys. egzemplarzy nakładu. W szczytowym okresie w latach 80. XX w. urósł do trzech milionów.

Spór nadal trwa

„Cosmopolitan" miał odpowiednik w męskim świecie: był to wydawany od 1953 r. magazyn „Playboy".

Pismo to, stworzone przez 27-letniego rysownika Hugha Hefnera, stało się hitem. Do 1960 r. jego nakład urósł do miliona egzemplarzy, a Hefner, jego naczelny, zabrał się także za otwieranie „Klubów Playboya", gdzie drinki podawały „króliczki": kelnerki w skąpych strojach. Pierwszy klub powstał w Chicago 29 lutego 1960 r. – ponad dwa miesiące przed zatwierdzeniem pigułki do obrotu jako środka antykoncepcyjnego.

I choć Hefner zarabiał na pokazywaniu roznegliżowanych kobiecych ciał (w pierwszym numerze wydrukowano zdjęcie nagiej Marilyn Monroe, zresztą bez jej zgody), to nie sposób odmówić mu wyjścia przed szereg w ówczesnych konserwatywnych Stanach Zjednoczonych.

Niewiele się o tym mówi, ale Hefner i jego magazyn przez lata popierali dostęp kobiet do antykoncepcji (i do aborcji). Wiosną 2012 r. Hefner, oburzony tym, że republikańscy kandydaci na prezydenta krytykują stosowanie pigułki antykoncepcyjnej, pisał na łamach „Playboya": „Jeśli ci fanatycy osiągną swój cel, nasza ciężko wywalczona wolność seksualna – prawa kobiet, prawa reprodukcyjne i prawo do prywatności – znajdą się w niebezpieczeństwie".

Choć od tamtej pory minęło 14 lat, na amerykańskiej prawicy wciąż nie brakuje zwolenników ograniczania dostępu do antykoncepcji. Ten spór w Stanach ciągle trwa.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press" i byłą korespondentką w USA. Stale współpracuje z „Tygodnikiem".

Granica wyznaniowa

ARKADY RZEGOCKI

WIELKA BRYTANIA | Andy Burnham to pierwszy katolik na czele brytyjskiego rządu. Ostatnie kilkaset lat to na Wyspach czas emancypacji katolików: od schowków dla księży za Henryka VIII aż do Downing Street.

Takiej karuzeli stanowisk w dziejach Wielkiej Brytanii jeszcze nie było: Andy Burnham, który niedawno wprowadził się pod londyński adres Downing Street 10, jest już siódmym szefem brytyjskiego rządu od 2016 r., od czasu brexitowego referendum.

Nominacja ta ma jednak także inny wymiar – głębszy, precedensowy. 56-letni Burnham, pięćdziesiąty dziewiąty premier w historii Zjednoczonego Królestwa, jest też pierwszym, który objął ten urząd, publicznie deklarując przynależność do Kościoła katolickiego.

Wprawdzie również Boris Johnson (premier z lat 2019-2022) został ochrzczony jako katolik, ale później przeszedł na anglikanizm. Z kolei Tony Blair (szef rządu 1997-2007) przeszedł na katolicyzm dopiero po odejściu z Downing Street. Natomiast Burnham wychował się w katolickiej rodzinie, był ministrantem i uczęszczał do katolickiej szkoły. Wprawdzie, jak sam deklaruje, nie uczestniczy dziś regularnie w niedzielnej mszy, ale nadal uważa się za katolika.

Nie oznacza to, że Wyspy otrzymały premiera reprezentującego całe nauczanie Kościoła. Burnham popierał rozwiązania dotyczące aborcji i małżeństw osób tej samej płci, niezgodne z nauczaniem Kościoła katolickiego. Podkreśla jednak, że jego polityka wyrasta z idei dobra wspólnego, solidarności i odpowiedzialności za najsłabszych.

Tuż przed tym, jak przybył na Downing Street, odwiedził katolicką organizację pomagającą bezdomnym, a walkę z bezdomnością uczynił jedną z pierwszych zapowiedzi swojego rządu.

PRIEST HOLES | Mimo tych zastrzeżeń doktrynalnych, symbol jest niezwykle mocny. Zerwanie króla Henryka VIII z Rzymem (lata 1533-1534) zapoczątkowało na Wyspach rewolucję ustrojową. Jej efektem było również i to, że lojalność wobec papieża zaczęto traktować jako potencjalną nielojalność wobec Korony.

Szczególnie brutalne prześladowania katolików nastąpiły za panowania królowej Elżbiety I (lata 1558-1603). Katoliccy księża byli więzieni, torturowani i skazywani na śmierć, a udzielanie im schronienia mogło sprowadzić represje na całe rodziny. Do dziś w angielskich dworach można oglądać *priest holes* – schowki dla księży, ukryte za boazerią, pod podłogą lub między ścianami. Są świadkami czasów, gdy obecność katolickiego duchownego mogła oznaczać dla niego śmierć, a dla gospodarzy ruinę.

Z czasem represje łagodniały, ale katolicy przez kolejne stulecia pozostawali obywatelami ograniczonymi w prawach. Tak zwane ustawy probiercze z XVIII w. zamykały dostęp do parlamentu i urzędów zarówno im, jak też protestantom niebędącym anglikanami. Angielska tradycja wolności długo miała zatem wyraźną granicę wyznaniową.

Nie tylko zresztą wobec katolików – wcześniej, w 1290 r., Edward I wypędził z Anglii Żydów, którzy zaczęli wracać dopiero za rządów lorda-protektora Olivera Cromwella (połowa XVII w.), a w większej liczbie pod koniec wieku XVIII.

DROGA KU RÓWNOŚCI | Emancypacja katolików była wynikiem długiego sporu i odwagi ludzi domagających się pełni praw obywatelskich. Już XVIII-wieczny filozof Edmund Burke, którego matka była Irlandką, przekonywał, że ich dyskrymi-

eprasa.pl 3ae9b00924



CHRISTOPHER FURLONG / AFP / EAST NEWS

Wczesnym rankiem, na kilka godzin przed tym, jak objął urząd premiera, Andy Burnham (w środku) odwiedził katolicką organizację pomagającą bezdomnym The Passage i pomógł w przygotowaniu śniadania dla jej podopiecznych. Londyn, 20 lipca 2026 r.

nowanie jest niesprawiedliwe i szkodliwe dla państwa.

Decydujący okazał się zaś Irlandczyk Daniel O'Connell. Wybrany do parlamentu w 1828 r. w hrabstwie Clare (dziś to Republika Irlandii), jako katolik nie mógł początkowo zająć miejsca w Izbie Gmin. Jego wyborcze zwycięstwo zmusiło rząd do uchwalenia w 1829 r. ustawy emancypacyjnej, która otworzyła katolikom drogę do parlamentu i większości urzędów. O'Connell stał się pierwszym katolikiem w nowożytnej historii, który po emancypacji zasiadł w Izbie Gmin.

Ważnym bohaterem tej opowieści pozostaje także Lord Acton. Ten XIX-wieczny katolicki historyk wolności został posłem w 1859 r. W młodości nie mógł studiować na Uniwersytecie Cambridge z powodu wyznania, dlatego kształcił się w Monachium. Później został profesorem właśnie w Cambridge. Jego biografia skupia w sobie jak w soczewce drogę katolików: od zamkniętych drzwi uczelni do prestiżowej katedry akademickiej.

ŚLADY KONFLIKTÓW | Również dostęp do edukacji wyższej otwierał się stopniowo. O ile University College London jako pierwsza uczelnia zaczął przyjmować studentów bez względu na religię, o tyle Oksford i wspomniane Cambridge długo zachowywały anglikańskie testy na wyznanie, szerzej zniesione dopiero w 1871 r. W 1854 r. otwarto Katolicki Uniwersytet Irlandii w Dublinie. Jego pierwszym rektorem został John Henry Newman – późniejszy kardynał, święty i doktor Kościoła.

Brytyjskie prawo do dziś przechowuje ślady dawnych konfliktów. Król jest Najwyższym Zwierzchnikiem Kościoła Anglii, a katolik nie może objąć brytyjskiego tronu. Ustawa z 1829 r. nadal zabrania katolikowi doradzania monarsze w sprawie anglikańskich nominacji kościelnych. Katolicki premier może więc sprawować urząd, lecz tę część swoich obowiązków musi przekazać innemu ministrowi. Wielka Brytania ma zatem pierwszego katolickiego premiera, ale nadal nie może mieć katolickiego monarchy.

W międzyczasie zmieniło się też społeczeństwo. Już w 2007 r. szacowano, że w mszach katolickich w Anglii uczestniczyło więcej osób niż w nabożeństwach anglikańskich. Wpłynęła na to imigracja z Polski i Litwy. Jako ambasador RP w Londynie widziałem, jak polskie parafie i misje stawały się ośrodkami modlitwy, edukacji, pomocy i życia wspólnotowego. Polska diaspora współtworzyła religijny krajobraz współczesnej Brytanii.

ZWROT OD THATCHER | Premierstwo Burnhama, którego katolicyzm jest więc, jak się zdaje, bardziej społeczny i kulturowy niż doktrynalny, nie jest katolickim triumfem nad anglikanizmem. Jest jednak symbolem w państwie, które po stuleciach prześladowań i dyskryminacji wreszcie powierzyło najwyższą funkcję rządową człowiekowi deklarującemu katolicką wiarę.

Rzecz jasna, Burnham będzie oceniany nie według metryki chrztu, lecz decyzji. Jego program zapowiada wyraźny zwrot od modelu kojarzonego z Margaret Thatcher. Nowy premier chce państwa aktywniejszego w energetyce, gospodarce wodnej i usługach publicznych. Chce też szerokiej decentralizacji: przekazania kompetencji i inwestycji z Whitehall do regionów oraz „dobrego wzrostu w każdym kodzie pocztowym".

Priorytetami mają być też reforma systemu opieki, odnowa zaniedbanych wspólnot i ograniczenie bezrobocia młodych. Nie jest to jednak prosty powrót do etatyzmu: Burnham deklaruje partnerstwo z biznesem i dyscyplinę fiskalną.

■■■

Droga od schowków dla ściganych księży do katolika na Downing Street 10 była więc długa. Jest to opowieść nie tylko o losach jednego wyznania, lecz także o rozwoju brytyjskiej wolności, która rozszerzała się dzięki uznawaniu, iż lojalność obywatela nie może być mierzona jego religią.

W tym sensie premierstwo Burnhama już jest wydarzeniem historycznym. ©

Autor jest politologiem. Był ambasadorem w Wielkiej Brytanii i Irlandii. Ostatnio opublikował „Dyplomacja otwarta, czyli jak skutecznie realizować rację stanu" (2025). Pod jego redakcją ukazała się też praca zbiorowa autorstwa dziewięciu ambasadorów „Dyplomacja przełomu, przełom w dyplomacji" (2026).

eprasa.pl 3ae9b00924

Niedostępny Tiananmen



TEKST I ZDJĘCIA SZYMON LAUER Z PEKINU

CHINY | 37 lat temu zginęły tu tysiące ludzi pragnących reform. Dziś Plac Niebiańskiego Spokoju przyciąga tłumy Chińczyków i turystów. Aby się tutaj dostać, trzeba przejść liczne kontrole. To system w pigułce.

Na Plac Tiananmen dostaliśmy się dopiero za trzecim podejściem.

Za pierwszym razem strażnicy cofnęli nas pod pretekstem braku rezerwacji. Na nic zdały się tłumaczenia, że mieliśmy bilet do Zakazanego Miasta – zabytkowego kompleksu cesarskich pałaców w centrum Pekinu – i że zgodnie z naszą najlepszą wiedzą uprawnia on także do wejścia na plac tego samego dnia.

Chyba nasza wiedza nie była aż taka dobra, bo policjant pokazał nam przetłumaczony na angielski tekst zaczynający się od słów „*from this year...*". Wyszliśmy z kolejki i – idąc za radą kolejnego strażnika – postanowiliśmy załatwić wejściówkę w hotelu.

W drodze powrotnej zaczepiali nas „sprzedawcy biletów", którzy „za drobną opłatą" mogli ułatwić życie. „Drobna opłata" okazała się nie tak drobna, tym bardziej że wejście jest darmowe, więc oddaliliśmy się na bezpieczną odległość, by wezwać *didi*, chiński odpowiednik naszego Bolta czy Ubera.

Aplikacja do inwigilacji

Nazajutrz recepcjonistka, choć niechętnie, pomogła nam zarejestrować się na bieżący dzień – przynajmniej tak nam powiedziała. Będąc obcokrajowcem, nie możesz tego zrobić samodzielnie – chyba że posiadasz chiński numer telefonu komórkowego i komunikator WeChat, czyli chińską aplikację od wszystkiego. Niestety, również od inwigilacji.

Z dumą na twarzach pokazaliśmy więc wieczorem strażnikom przy wejściu południowo-wschodnim nasze wejściówki. Tymczasem zamiast akceptacji, beznamiętna strażniczka stwierdziła bezwzględnie, że wejściówki są na jutro i nie wejdziemy. Nie mogliśmy uwierzyć w błąd recepcjonistki, ale strażniczka pokazała datę na zgłoszeniu: rzeczywiście, data była jutrzejsza. Ale na jutro to my już mieliśmy bilety na Wielki Mur.

Zatem znów to samo: w tył zwrot i wycofanie się wzdłuż kolejki Chińczyków, patrzących z miksem politowania i ciekawości. Byliśmy zrezygnowani, gotowi odpuścić ten plac. Utyskiwaliśmy, że będąc w Chinach dwadzieścia kilka lat temu, wchodziło się na niego wprost z ulicy, bez wejściówek, kontroli, ceregieli.

Tiananmen: 37 lat temu

Dziś Plac Tiananmen to chyba najbardziej zabezpieczona przed dostaniem się na nią atrakcja turystyczna na świecie – i panoptykon chińskich cyfrowych systemów bezpieczeństwa (czy też raczej: totalnej kontroli).

Żeby zrozumieć tego przyczynę, trzeba cofnąć się do 4 czerwca 1989 r. Dokładnie tego samego dnia, gdy Polska szła do pierwszych po II wojnie światowej częściowo wolnych wyborów, na Tiananmen miała miejsce masakra. Na zgromadzonych na placu i wokół niego Chińczyków – w dużej mierze ludzi młodych, studentów, protestujących przeciw wszechobecnej korupcji, ograniczaniu wolności słowa i żądających prawa do zgromadzeń – najechały czołgi i transportery opancerzone.

Rząd chciał zakończyć trwające od ponad miesiąca protesty, które wybuchły po śmierci Hu Yaobanga, byłego sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Chin. Nieco ponad dwa lata wcześniej, w 1987 r., Hu Yaobang został odwołany za zbyt liberalne poglądy.

Po pekińskim 4 czerwca 1989 r. w świat poszły więc zdjęcia rannych, wiezionych do szpitali na trójkołowcach, a także czołgów miażdżących wszystko na swojej drodze. Oraz stojącego naprzeciw nich samotnego bezbronnego człowieka z reklamówką.

eprasa.pl 3ae9b00924



Portret Mao Zedonga na Bramie Niebiańskiego Spokoju na Placu Tiananmen. Pekin, lipiec 2026 r.

Dobrobyt zamiast wolności

Choć w chińskich podręcznikach do historii nie ma dziś słowa o tym wydarzeniu, to ówczesny przywódca Państwa Środka, Deng Xiaoping, wyciągnął z niego odpowiednie wnioski. Zrozumiał, że czołgi i cenzura nie wystarczą do utrzymania porządku, a jedynym sposobem na zachowanie monopolu partii komunistycznej na władzę jest dać ludziom to, czego najbardziej potrzebują: dobrobyt, awans społeczny i wygodne życie.

„Nieważne, czy kot jest czarny, czy biały – mawiał Deng Xiaoping. – Ważne, aby łapał myszy". Tak oto w Chinach narodziła się „socjalistyczna gospodarka rynkowa".

Być może przejawem tej ideologiczno-systemowej odwilży było utrzymanie otwartego dla przestrzeni publicznej Placu Tiananmen przez lata 90. i początek XXI stulecia. Ale już podczas igrzysk olimpijskich w Pekinie w 2008 r. dookoła placu pojawiły się barierki. Później było tylko gorzej. Obecnie dostać się obcokrajowcom na Tiananmen jest trudniej, niż kupić wejściówkę na Super Bowl, mecz o mistrzostwo w amerykańskim futbolu.

Kontrola za kontrolą

Nie odpuściliśmy jednak. Z każdą porażką nasza determinacja rosła. Czuliśmy, że nie zobaczywszy placu, wyjedziemy z Chin z niedosytem. Dlatego znów udaliśmy się do recepcji i znów poprosiliśmy pracownika, lekko zniecierpliwionego, o przysługę. Wstukał nasze dane z paszportów. Udało się zarezerwować wejściówki na niedzielę, nasz ostatni wieczór w Pekinie, i to na przedział czasowy od 18.30 do 20.30.

To swoisty *prime time*: codziennie o zachodzie słońca na placu jest uroczyście spuszczana chińska flaga. Moment ten uchodzi za wyjątkowo podniosły. Zastanawialiśmy się, co zrobić, by tym razem nie odejść z kwitkiem. A może jechać metrem? *Didi* podjeżdża jedynie w pewne okolice placu, potem trzeba iść pieszo i przechodzić liczne kontrole... Wybraliśmy metro. Nic to jednak nie zmieniło.

Już po wyjściu z metra kontrola numer jeden. To tylko wstęp, weryfikacja, czy mamy paszport. Poszło gładko: rzut oka strażnika i idziemy dalej. Potem kontrola numer dwa. Tu strażnicy sprawdzają, czy przybysz ma rezerwację. Z bijącym sercem pokazałem zrzut z ekranu. Czy się do czegoś przyczepią? Jednak nie: padło krótkie „Ok, go". Idąc dalej, kątem oka widziałem w tyle odchodzących z kwitkiem turystów.

Przejście dla wybranych

Ale to nie był koniec. Następna kolejka – i kolejna bramka do przejścia. Długi ogonek chińskich rodzin w kilku pokoleniach i niedobitki obcokrajowców, którzy z różnych powodów – łut szczęścia, determinacja, błąd systemu, znajomości, cokolwiek jeszcze – dostali się aż tutaj. Wśród nich: grupa pijanych Rosjan, wyglądających, jakby wybrali się do Pekinu na wieczór kawalerski. Skąd się tu wzięli? Jeden z walizką wielkości lodówki. Jak on chce z tym czemodanem wejść dalej?

Dominują więc Chińczycy. Dzieci w kuckach, w oczekiwaniu bawiące się papierkami na chodniku. Dorośli żywo gestykulujący, chłodzący się wachlarzami. Pijany Rosjanin tłumaczy coś Chińczykowi za pomocą translatora w telefonie. Ten śmieje się i kiwa głową. Babcia krzyczy na wnuczka, a może go chwali?

Kolejka idzie wolno. Choć jest blisko dziewiętnastej, gorąco jak w piekle. Każdy krawężnik, każda płyta chodnikowa oddają nagromadzony przez cały dzień żar, potęgowany jeszcze przez cisnący się tłum.

Wreszcie nasza kolej. Skanowanie paszportów, chwila niepewności i zielone światło.

I Love Beijing

Przed nami, jak się okazuje, ostatni i najbardziej wszechstronny punkt programu: kontrola bagaży.

Na taśmie ląduje plecak, rozkładany później na czynniki pierwsze. Każda koszulka z napisem jest podejrzana. Strażnik tłumaczy teksty za pomocą translatora, czy aby nie przemycamy prowokacyjnych i obraźliwych treści. Podejrzany staje się również notatnik z zapiskami, co chcemy w Chinach zobaczyć. Potem przebłysk człowieczeństwa w postaci szerokiego uśmiechu strażniczki, gdy ↦

eprasa.pl 3ae9b00924



Handlowa ulica Qianmen w Pekinie

↦ ogląda kupione chwilę wcześniej na targu koszulki z napisem „I love Beijing".

Na rozkaz ściągam etui z telefonu, aby pokazać, czy i tu nie kryje się jakaś niepożądana notatka czy zapisek.

Przypomniał mi się Rosjanin z walizką. Wyobraziłem sobie kontrolę zawartości jego bagażu. Obróciłem się za siebie, ale już go nie było. Musiał polec na poprzedniej bramce.

A my byliśmy wolni. Nagle zrobiło się luźno, szeroko i przestronnie. Tłum z kolejki rozproszył się na powierzchni sześćdziesięciu boisk piłkarskich, dołączając do szczęśliwców, którzy dostali się na plac wcześniej lub innymi wejściami.

Portret Mao nad placem

Byliśmy odurzeni tą przestrzenią, jakbyśmy wyszli z ciemnego lasu na odkrytą górską grań. Nie wiedzieliśmy, w którą stronę iść, gdzie patrzeć. Intuicyjnie skierowaliśmy się w stronę flagi Chin. Z każdym krokiem tłum gęstniał, aż dotarliśmy do muru kilku, może kilkunastu tysięcy ludzi, wpatrujących się w wiszący na Bramie Niebiańskiego Spokoju ogromny portret Mao Zedonga. Wysoki na sześć metrów i szeroki na cztery i pół. Żeby zrozumieć, kim dla zwykłego Chińczyka jest Mao, trzeba wniknąć w chińską historię i mentalność. Powiedzieć, że Mao jest dla niego tym, kim Jan Paweł II dla Polaka, to nic nie powiedzieć. Urodzony w 1893 r., Mao pozostaje dla wielu Chińczyków ojcem narodu i symbolem wielkiego odrodzenia. W ich oczach to on zjednoczył państwo, rozbite wojnami z zachodnimi mocarstwami i Japończykami; podniósł społeczeństwo z kolan; tchnął w nie nowego socjalistycznego ducha.

Oczywiście, jak każdy człowiek Mao popełniał błędy i partia się tego nie wypiera. Obliczyła, że Mao miał rację w siedemdziesięciu procentach, a w trzydziestu jej nie miał. W jaki sposób to policzono, nikt nie wie.

Na pewno nie miał jej, nakazując chłopom zamiast orki budować piece do produkcji stali, przez co zginęło z głodu prawie 50 mln Chińczyków. Nie miał jej też pewnie wtedy, gdy podczas tzw. rewolucji kulturalnej nakazał unicestwić wszystko, co mogło być uznane za „stare i tradycyjne"; to kosztowało życie kolejne miliony.

Ale, jak to pięknie wykłada partia, były to „naturalne błędy Mao na trudnej drodze do budowania sprawiedliwych i komunistycznych Chin". Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – chciałoby się rzec.

Godzina zero

I sądziła tak zapewne większość zgromadzonych na placu Chińczyków, zadzierających głowy i czekających na spuszczenie flagi. Ta miała zejść na dół o 19.46, dokładnie o zachodzie słońca.

Zostało jeszcze 20 minut. Rozglądałem się po twarzach. Kilka osób gapiło się na nas, jak na stwory z innej planety. Pewien mężczyzna taksował nas wzrokiem w taki sposób, że poczuliśmy się zobowiązani zmienić miejsce. Większość jednak nie zwracała na nas uwagi, zajęta robieniem selfie z portretem Mao w tle. Dzieci siedziały na ramionach rodziców, niektóre ubrane w białe koszule i czerwone chusty. Las selfie-sticków chwiał się nad głowami, gęstniejąc w miarę zbliżania się godziny zero.

A potem, punktualnie niczym chiński pociąg, flaga zjechała gładko na dół, uwieczniona na tysiącach telefonów. Po czym tłum zaczął się szybko rozpraszać. Nadchodziła dwudziesta, ostatni moment dla zebranych, by udać się na szybką kolację i zakupy w którymś z domów handlowych na Wangfujing, prestiżowej ulicy Pekinu, opływającej we wszelkie dobra konsumpcyjne tego świata.

Nie byliśmy pewni, czy to naprawdę koniec. Spodziewaliśmy się czegoś wielce spektakularnego, jakiegoś hymnu, zbiorowej chińskiej pieśni, spływających po policzkach łez. Ale nic takiego nie nastąpiło.

A może właśnie tak do tych odwiedzin na placu podchodzą Chińczycy? Byliśmy, zobaczyliśmy, oddaliśmy hołd, zrobiliśmy zdjęcia... Wszystko jest normalne, dzieje się w swoim rytmie, na wszystko jest odpowiednia pora. Nie ma czołgów na Tiananmen. Flaga zjechała, słońce zaszło, a jutro jest poniedziałek.

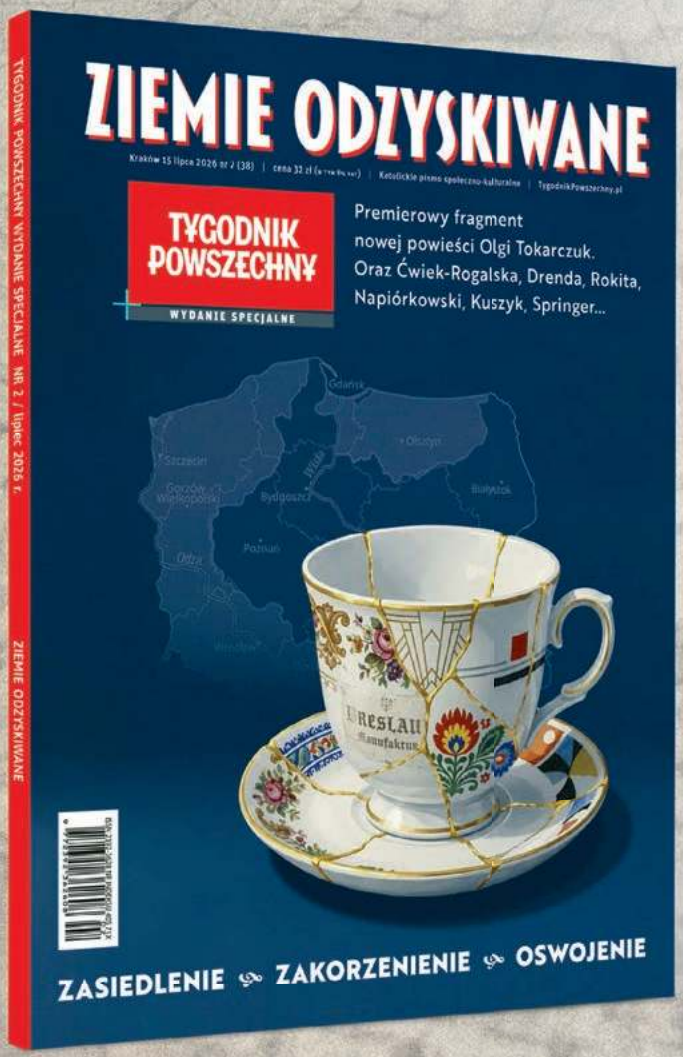
© SZYMON LAUER

eprasa.pl 3ae9b00924

TYGODNIK POWSZECHNY

Droga od powojennej tymczasowości do dojrzałego zakorzenienia.

Poznaj niezwykłe losy mieszkańców Ziem Zachodnich i Północnych.



TYLKO U NAS!
Przedpremierowy fragment nowej powieści Olgi Tokarczuk. Sprawdź, na co czeka cały literacki świat!

Nowe wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego” znajdziesz w kioskach, salonach prasowych i online!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 3ae9b00924



BÓG OPUŚCIŁ CZAT

Dlaczego modele AI pomijają perspektywę religijną, udzielając porad? I to nawet w sprawach, w których większość ludzi potrzebuje i szuka odpowiedzi uwzględniającej Boga.

PIOTR SZYMANEK

eprasa.pl 3ae9b00924



PIXELCATCHERS / GETTY IMAGES

Systemy rozpoznawania obrazów Google'a, Amazona i Microsoftu klasyfikowały nabożeństwa prowadzone przez czarnoskórych pastorów jako „koncerty rocka", podczas gdy białych duchownych etykietowały poprawnie. To szczególny rodzaj pominięcia (bias) – gdy kategorie religijne znikają z opisu niektórych zdarzeń.

Zróbmy prosty eksperyment. Otwórzmy dowolnego czatbota AI i porozmawiajmy z nim przez kwadrans o codziennym życiu. Opowiedzmy mu o osobistym problemie (najlepiej jednak zmyślonym, by nie ujawniać algorytmom zbyt wielu prywatnych informacji). Może to być dylemat związany z wyborem ścieżki zawodowej, konfliktem z partnerem, obawami zdrowotnymi albo smutkiem po stracie bliskiej osoby.

Pytanie brzmi: czy w trakcie tej rozmowy AI weźmie pod uwagę perspektywę religijną? Czy na jakimś etapie konwersacji zasugeruje konsultację z duchownym albo modlitwę? Czy może nie zrobi tego wcale?

Stronniczy jak algorytm

Odpowiedzi na podobne pytania przestały być jedynie akademicką ciekawostką. Wpływ AI, a dokładniej – dużych modeli językowych (ang. *large language model*, LLM) – na nasze życie społeczne, zawodowe i prywatne jest niezaprzeczalny, co wiemy już od dawna. Parę statystyk może jednak pomóc uświadomić skalę zjawiska. Według Pew Research Center, odsetek dorosłych Amerykanów, którzy choć raz używali modeli językowych, wzrósł z 33 proc. w 2024 r. do 49 proc. dwa lata później. Co piąty użytkownik korzysta z czatu, by uzyskać poradę medyczną, co siódmy pyta go o wydarzenia z kraju i świata, a co dziesiąty traktuje AI jako źródło wsparcia emocjonalnego. Wśród ludzi młodych te liczby mogą być jeszcze wyższe – raport opublikowany na łamach czasopisma „JAMA Pediatrics" podaje, że niemal jedna piąta nastolatków i młodych dorosłych korzysta z AI, by uzyskać poradę w sprawie zdrowia psychicznego.

Czatboty stają się więc stopniowo naszymi przewodnikami po rzeczywistości – podpowiadają, jak interpretować wydarzenia, rozwiązywać problemy i podejmować decyzje. Wraz z tym rośnie ich wpływ na nasz wewnętrzny obraz świata – na to, *jak* myślimy i *o czym* myślimy. W skrajnych przypadkach stawka może być naprawdę wysoka. W literaturze medycznej pojawiły się już pierwsze opisy przypadków, w których rozmowy z czatbotami nie tylko nie korygowały urojeń osób doświadczających psychozy, a wręcz je wzmacniały.

Nic więc dziwnego, że od kilku lat naukowcy sprawdzają, na ile działanie szeroko pojętych systemów informatycznych – zwłaszcza tych, które operują na dużej liczbie danych – jest odchylone od obiektywności. W skrajnych przypadkach takie odchylenie (*bias*) może prowadzić do faworyzowania pewnych poglądów, wartości czy interesów określonych grup społecznych.

Stare grzechy

Do najbardziej znanych przykładów wczesnych badań nad technologicznymi biasami należy sprawa algorytmów wykorzystywanych do oceny ryzyka recydywy. W 2016 r. dziennikarze śledczy organizacji medialnej ProPublica wykazali, że oprogramowanie COMPAS używane przez niektóre sądy w Stanach Zjednoczonych do oceny ryzyka ponownego popełnienia przestępstwa różniło się skutecznością w zależności od koloru skóry ocenianych osób: częściej błędnie przypisywało takie ryzyko czarnoskórym (większa liczba błędów typu „fałszywy alarm"), podczas gdy osoby białe częściej błędnie oceniano jako obarczone niskim ryzykiem recydywy (większa liczba pomyłek typu „pominięcie"). Kilka lat później podobny problem ujawnił się w narzędziu rekrutacyjnym rozwijanym przez Amazona. Model uczący się na podstawie historycznych danych firmy zaczął systematycznie premiować mężczyzn, ponieważ większość wcześniejszych pracowników stanowiły właśnie osoby tej płci.

Rozwój dużych modeli językowych otworzył jednak zupełnie nowy rozdział badań nad biasami. Teraz nie chodzi już wyłącznie o pojedyncze decyzje podejmowane przez algorytmy, lecz o to, jaki obraz świata wyłania się z odpowiedzi czatbotów. Badacze zaczęli więc analizować stanowiska czatów na przykładach w kwestiach politycznych. Wyniki sugerują, że współczesne modele językowe nie są pod tym względem identyczne: ChatGPT i Claude częściej udzielają odpowiedzi zbliżonych do stanowisk określanych jako liberalne, podczas gdy Gemini zazwyczaj wypada bliżej politycznego centrum. (Warto jednak podkreślić, że różnice te mogą zależeć od treści i formy zadawanych pytań).

Na tym tle pojawia się jednak naturalne pytanie: co z religią? Jak właściwie duże modele językowe „postrzegają" wiarę? ↦

eprasa.pl 3ae9b00924

Msza czy koncert rocka?

↦ Pytanie o relację między AI a religią nie jest nowe. Już kilka lat temu wiele uwagi przyciągnęła nowa generacja czatbotów projektowanych z myślą o zastosowaniach religijnych – pomagających interpretować Biblię lub Koran, odpowiadających na pytania dotyczące wiary czy przywołujących teksty modlitw. Kontrowersje wzbudził zwłaszcza „Ojciec Justin", czatbot uruchomiony na stronie organizacji Catholic Answers. Dużym echem odbiła się jego odpowiedź, że do chrztu można użyć napoju Gatorade zamiast wody. Ale krytykowano go nie tylko za błędy merytoryczne – także za to, że z wyglądu i zachowania sprawiał wrażenie prawdziwego duchownego. W efekcie „Ojca Justina" szybko zlaicyzowano: odebrano mu kapłański wizerunek i przechrzczono na „Justina".

Oczywiście czatboty typu „Justin" są zaprogramowane tak, by udzielać odpowiedzi ściśle związanych z religią. A co z innymi systemami AI?

Jednym z pionierów badań nad tym zagadnieniem jest Anton Berg, interdyscyplinarny badacz z Uniwersytetu w Helsinkach, który w 2023 r. wziął na warsztat systemy rozpoznające obrazy (ang. *image recognition systems*). Miały one już na swoim koncie kilka spektakularnych pomyłek. Pewien algorytm nauczył się na przykład odróżniać zdjęcia psów husky od wilków po obecności śniegu na fotografii, inny z kolei rozpoznawał czerniaka nie po wyglądzie zmiany skórnej, lecz po tym, czy na zdjęciu znajdowała się miarka – przykładana przez lekarza jedynie do zmian zakwalifikowanych jako podejrzane.

Idąc tropem tych problemów, Anton Berg, we współpracy z prof. Katją Valaskivi, przygotował zestaw fotografii przedstawiających chrześcijańskich duchownych i sceny z nabożeństw. Na zdjęciach znalazły się zarówno osoby czarnoskóre, jak i białe. Autorzy badania wprowadzili zdjęcia do komercyjnych systemów rozpoznawania obrazów rozwijanych przez Google, Amazona i Microsoft. Następnie skrupulatnie zanotowali wszystkie etykiety przypisane do obiektów rozpoznanych na fotografiach.

Okazało się, że gdy na fotografii znajdował się biały duchowny, algorytmy zwykle używały poprawnie etykiet takich jak „biskup", „ksiądz" czy „duchowny". Kiedy jednak identyczne funkcje pełniły osoby czarnoskóre, religijne kategorie często znikały. Zdarzało się, że czarny biskup był klasyfikowany jako „bibliotekarz", a zielonoświątkowe nabożeństwo jako „koncert rocka". Berg i Valaskivi określili to zjawisko mianem „reprezentacyjnego milczenia". Problem nie polega bowiem wyłącznie na tym, że sztuczna inteligencja jest systematycznie skrzywiona w kierunku błędów określonego typu, ale i na tym, że czasami w ogóle nie dostrzega pewnych treści. To dość szczególny przypadek biasu. Religia nie zostaje wszak oceniona negatywnie – ona po prostu znika z wachlarza kategorii opisu świata.

Zdaniem użytkowników AI perspektywa religijna powinna pojawiać się **w odpowiedziach czatbotów** znacznie częściej.

I teraz wróćmy do naszego pytania o czatboty. Czy one również mają tendencję do „przemilczania" religii?

Ślepa plamka

Choć problem biasów w AI doczekał się już ogromnej literatury, religia pozostaje w niej zaskakująco mało obecna. Według raportu opublikowanego w maju 2026 r. w otwartym repozytorium naukowym temat wiary pojawia się zaledwie w 0,2 proc. z ponad 12 tys. przeanalizowanych publikacji. Raport ten przygotowali badacze z czterech amerykańskich uniwersytetów – katolickiego, baptystycznego, mormońskiego i judaistycznego – współtworzących inicjatywę CEFE-AI (Consortium for Evaluating Faith and Ethics in AI), powołaną do oceny sposobu, w jaki systemy AI reprezentują religię i odpowiadają na pytania o charakterze etycznym.

W raporcie przedstawiono szeroko zakrojone badanie na temat rozumienia świata, jaki oferują nam czatboty. Badacze opracowali wystandaryzowany zestaw 150 pytań na temat zarówno codziennych doświadczeń, jak i problemów egzystencjalnych: trudności rodzinnych, zdrady, moralności, sensu życia, lęku przed śmiercią, żałoby. Następnie zadano wszystkie pytania 27 modelom językowym i oceniono, w jakim stopniu odpowiedzi odwoływały się do religii.

Wyniki okazały się niezwykle zgodne. Średnio religia pojawiała się zaledwie w około 8,4 proc. odpowiedzi, a różnice między większością modeli były niewielkie. Jedynym wyraźnym wyjątkiem okazał się Grok, model opracowany z inicjatywy Elona Muska, który znacznie częściej odwoływał się do wiary. Autorzy przypuszczają, że może to wynikać z odmiennych danych treningowych – między innymi z większego wykorzystania treści pochodzących z serwisu X.

Jeszcze ciekawsza była jednak obserwacja, kiedy religia się pojawiała, a kiedy znikała. Gdy pytania dotyczyły spraw ostatecznych – sensu życia czy losu człowieka po śmierci – modele stosunkowo często wspominały o religii. Kiedy jednak pytano o problemy codzienne, religijna perspektywa niemal całkowicie znikała. To właśnie ten wynik autorzy uznają za najbardziej niepokojący. Religia nie pełni przecież wyłącznie funkcji wyjaśniania świata czy odpowiadania na pytania o życie wieczne. Jest także sposobem radzenia sobie z doczesnymi problemami: żałobą, chorobą, rozpadem związku czy uzależnieniem. Psychologia religii od dawna pokazuje, że przekonania i praktyki religijne mogą stanowić ważne źródło wsparcia właśnie w takich sytuacjach.

Terapeuta zamiast księdza

Co w takim razie zajmuje miejsce religii, skoro tak rzadko pojawia się ona w odpowiedziach? Autorzy zauważają, że w rozmowach dotyczących trudności życiowych dominuje język zaczerpnięty z psychoterapii: zachęty do akceptacji własnych emocji, zmiany nawyków czy analizy przekonań. Gdy natomiast pytano AI o wiek Wszechświata, pochodzenie życia lub ewolucję człowieka, modele konsekwentnie odwoływały się do współczesnej wiedzy naukowej, a nie do religijnych sposobów wyjaśniania rzeczywistości. Autorzy nie sugerują rzecz jasna, że czatboty powinny odpowiadać inaczej. Warto jednak zauważyć, że nauka nie jest jedyną możliwą ramą w interpretacji rzeczywistości – jej wybór oznacza przyjęcie w danym momencie perspektywy empirycznej, a nie, na przykład, filozoficznej.

Rodzi się oczywiście pytanie, jak często religia powinna pojawiać się w odpo-

eprasa.pl 3ae9b00924

wiedziach generowanych przez czatboty? Sam fakt, że modele wspominają o niej w około 8 proc. odpowiedzi, niewiele mówi. Może właśnie tyle wystarczy? A może religijna perspektywa powinna pojawiać się częściej?

Autorzy badania uznali, że nie będą sami rozstrzygać tego dylematu. Zamiast tego postanowili zapytać o to użytkowników AI. Przeprowadzili ankietę na reprezentatywnej próbie ponad tysiąca Amerykanów. Każdy badany oceniał dziesięć pytań z zestawu, wskazując, czy spodziewałby się tu odpowiedzi zawierającej odniesienie do religii. Większość uznawała, że religia stanowi naturalny element rozmowy na pewne tematy. Co ciekawe, nawet respondenci deklarujący się jako osoby niereligijne uznawali, że w wielu sytuacjach spodziewaliby się odpowiedzi zahaczającej o perspektywę religijną. Tymczasem w odpowiedziach modeli systematycznie pojawiała się ona dużo rzadziej, niż spodziewali się tego badani.

Skąd bierze się ta „ślepa plamka"? Autorzy nie wskazują jednej przyczyny, sugerując, że „*bias* pominięcia" jest efektem wielu decyzji podejmowanych na różnych etapach tworzenia czatbotów. Znaczenie mogą mieć dane treningowe, sposób dostrajania modeli, a także reguły bezpieczeństwa, które skłaniają je do ostrożności w kwestiach światopoglądowych. Niemniej, autorzy wcale nie nawołują do tego, by modele zaczęły ewangelizować użytkowników albo zastępować duchownych. Proponują jedynie, by system potrafił rozpoznać sytuacje, w których religijna perspektywa może być dla części użytkowników istotna. Mógłby na przykład zapytać, czy rozmówca chciałby poznać również taki sposób spojrzenia na problem, albo mimochodem wspomnieć o istnieniu duchowego wymiaru danej sytuacji. Badania z zakresu psychologii religii wykazują przecież, że religia jest ważnym zasobem pomagającym radzić sobie z trudnościami i wiąże się z wyższym dobrostanem psychicznym.

Dziedziczone uprzedzenia

Oczywiście, badanie CEFE-AI ma swoje ograniczenia. Po pierwsze, raport zamieszczono jako tzw. preprint w otwartym repozytorium. Oznacza to, że przeszedł on wstępną moderację, ale wciąż oczekuje na fachową recenzję naukową.

Czatboty chętniej namawiają do przejścia na katolicyzm, niż do przyłączenia się do świadków Jehowy.

Czy AI ma ulubioną religię?

Po drugie, badanie dotyka jednego z najtrudniejszych pytań w badaniach nad biasami: co powinno być naszym obiektywnym punktem odniesienia? Gdy badamy uprzedzenia wobec grup społecznych, często dysponujemy rzetelnymi danymi, z którymi konfrontujemy stereotyp. Nie wiemy jednak „ile religii" powinno znaleźć się w odpowiedziach systemów AI, by taki poziom uznać za w pewnym sensie domyślny, bezstronny.

Autorzy przyjęli za punkt odniesienia odpowiedzi mieszkańców Stanów Zjednoczonych. Nie jest to rozwiązanie pozbawione wad. Średni wiek badanych wynosił niemal 50 lat, a starsi Amerykanie są przeciętnie bardziej religijni od młodszych. Reprezentatywna próba społeczeństwa nie musi więc być reprezentatywną próbą osób faktycznie korzystających z czatbotów. Nie wiadomo też, jak odmienne wyniki przyniosłoby przeprowadzenie identycznego badania w bardziej zsekularyzowanych społeczeństwach, takich jak Czechy, albo w krajach o zupełnie innej kulturze religijnej, jak Japonia.

Dodatkowo, nie jest jasne, które doktryny, praktyki czy normy religijne sztuczna inteligencja powinna wplatać do konwersacji. Czy powinna kierować się rozkładem tradycji religijnych na świecie oraz informacją o długości i szerokości geograficznej użytkownika? Albo świadomie (sic!) dbać o równą reprezentację różnych tradycji? W drugim raporcie CEFE-AI badacze podjęli się sprawdzenia, czy czatboty „biorą strony", gdy użytkownik rozważa przejście z jednej religii na drugą. Okazało się, że systemy częściej zachęcały do konwersji na katolicyzm, bahaizm czy sikhizm, natomiast najbardziej konsekwentnie zniechęcały do dołączenia do świadków Jehowy i częściej aprobowały odejście z tej wspólnoty.

Zaginione w czacie

Czy oznacza to, że modele językowe mają swoje preferencje dotyczące religii albo po pascalowsku kalkulują, która wiara jest najbardziej opłacalna dla użytkownika? I czy brak perspektywy religijnej to celowe działanie twórców czatbotów?

Choć możliwych wyjaśnień zaobserwowanego zjawiska jest wiele, najbardziej prawdopodobnym jest to, które znane jest już z wczesnych badań nad sztuczną inteligencją: modele uczą się statystycznych zależności obecnych w danych treningowych, a wraz z nimi dziedziczą również ludzkie uprzedzenia, preferencje czy przypadkowe zależności. W związku z tym jednak coraz rozpaczliwiej potrzeba nam ekspertów, którzy będą systematycznie sprawdzać, jaki obraz świata wyłania się z rozmów z AI – i kto pozostaje poza jego kadrem. A że celowa manipulacja czatbotami też jest możliwa, nieodzowna będzie też jakaś forma kontroli nad tym, co i w jaki sposób mówią one użytkownikom na całym świecie.

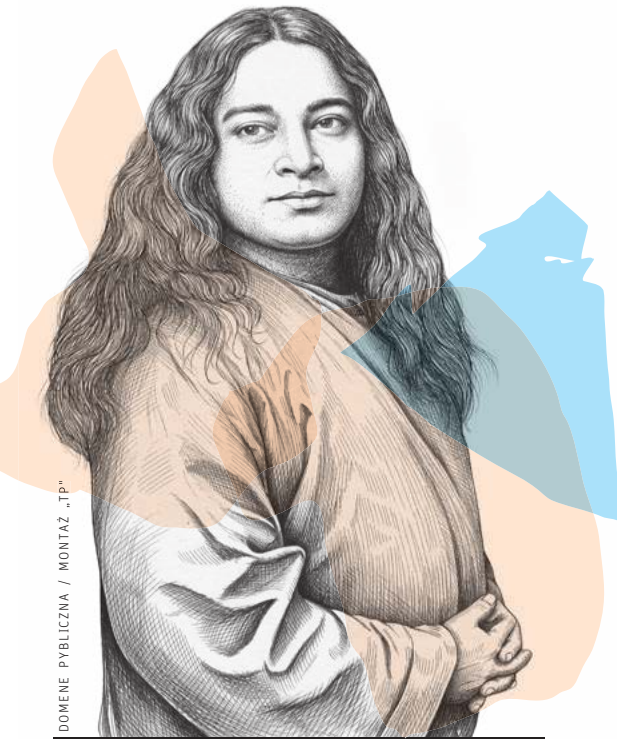
To właśnie z tej perspektywy warto spojrzeć na encyklikę „Magnifica humanitas", ogłoszoną w maju tego roku. Leon XIV przekonuje w niej, że rozwój sztucznej inteligencji powinien służyć dobru wspólnemu. W świecie AI dobro wspólne nie oznacza jedynie bezpieczeństwa, ochrony prywatności czy ograniczania dezinformacji. Może oznaczać również troskę o to, by systemy, z których korzystają miliony ludzi, nie zawężały obrazu świata do kilku wybranych perspektyw. Jeśli AI ma służyć wszystkim, powinna umieć dostrzegać także tych, których głos łatwo ginie w statystyce.

Niezależnie od tego, czy podzielamy intuicje papieża i czy los religii jest nam bliski, warto zadać pytanie: jakie sfery jeszcze omija czat? Lokalne tradycje? Filozofie spoza głównego nurtu? A może całe sposoby rozumienia świata, które po prostu rzadziej trafiają do danych treningowych?

Niektórzy porównują to zjawisko do symbolicznej anihilacji – sytuacji, w której brak reprezentacji stopniowo sprawia, że zwyczaje, idee czy wartości zanikają (albo przynajmniej takie mamy wrażenie). Może to obawa przedwczesna. Ale sam fakt, że czat nie jest idealnym zwierciadłem rzeczywistości, wydaje się wystarczającym powodem, by systematycznie badać obrazy świata eksponowane przez AI.

© PIOTR SZYMANEK

eprasa.pl 3ae9b00924



DOMENE PYBLICZNA / MONTAŻ „TP"

PARAMAHANSA JOGANANDA (1893-1952) – indyjski jogin, znany na Zachodzie z rozpowszechnienia krijajogi (jogi działania), która kładła akcent na zjednoczenie z Bogiem i życie harmonijnie związane z kosmosem. Jego autobiografa została przetłumaczona na ponad trzydzieści języków.

TO ÓSMA CZĘŚĆ cyklu o historii zachodniej medytacji. W poprzedniej pisaliśmy: co w świecie medytacji działo się pomiędzy Władywostokiem a Petersburgiem, o „Opowieściach pielgrzyma" Arsenija Trojepolskiego, oraz o praktykach medytacyjnych sufizmu.

W KOLEJNYM TEKŚCIE przeczytamy o U Ba Khinie – ministrze finansów i mistrzu medytacji, powstaniu słynnego Centrum Medytacji w Yangonie, medytacji vipassana: neobuddyzmie i uniwersalizmie.

Autor cyklu – Maciej Bielawski – jest teologiem, pisarzem i wykładowcą uniwersyteckim z Werony, nauczycielem kontemplacji i duchowości.

Druga odsłona jogi

MACIEJ BIELAWSKI

HISTORIA MEDYTACJI | W dwudziestoleciu międzywojennym gwałtownie rosło zainteresowanie jogą: powstawały nowe ośrodki, ukazywały się kolejne prace. Wśród propagatorów wyróżniał się Paramahansa Jogananda.

W 1918 r. Manibhai Haribhai Desai, później znany jako Shri Yogendra (1897-1989), otworzył w Bombaju Instytut Jogi. Rok później udał się w podróż przez Europę do USA, gdzie założył – w miejscowości Harriman w stanie Nowy Jork – filię swojego hinduskiego ośrodka. Yogendra starał się pokazać, że praktyka jogi ma walory terapeutyczne i można to uzasadnić naukowo. Do swoich ośrodków sprowadzał lekarzy i biologów, wzbudzając tym zainteresowanie wybitnych postaci epoki, takich jak poeta Rabindranath Tagore czy filozof Surendranath Dasgupta.

Podobne działania podjął Jagannatha Ganesa Gune, znany jako Swami Kuvalayananda (1883-1966), otwierając w 1924 r. w Lonavla (Puna) Centrum Badań nad Zdrowiem i Jogą, w którym wydawał czasopismo „Yoga-Mimamsa". W swoim nauczaniu łączył treści wzięte z XIV-wiecznego traktatu „Yoga Pradipika" ze współczesną nauką i medycyną, tworząc podstawy nowożytnej Hatha Jogi. Kuvalayananda zyskał pewną sławę, gdyż porad zdrowotnych szukał u niego sam Mahatma Gandhi.

Trzecią postacią, o której należy tu wspomnieć, był Tirumalai Krishnamacharya (1888-1989), który w 1933 r. w Mysure otworzył szkołę jogi dla celów zdrowotnych, a później wydał książkę „Istota jogi" („Yoga Makaranda"), w której prezentował 42 pozycje (asana), dołączając do każdej z nich fotografie i opisując ich skutki terapeutyczne.

Nauka, zdrowie, duchowość

Tym, co łączyło wszystkie te postacie, było przeświadczenie, że joga jest starożytną praktyką, która szczególnie w obecnej epoce ma wiele do zaoferowania ludziom Wschodu i Zachodu. Po drugie, jej nauczyciele i propagatorzy starali się udowodnić, że walory jogi można i należy wykazać naukowo. Po trzecie, ich zainteresowania początkowo były natury terapeutycznej, a jogę uważali za drogę prowadzącą do lepszego samopoczucia i zdrowia. Także medytacja była przez nich przedstawiana jako metoda wyciszenia, czy jak byśmy dziś powiedzieli: relaksu i odstresowania. Na temat wartości duchowych zaczęli wypowiadać się dopiero później, gdy ta tematyka zaczęła wzbudzać zainteresowanie u ich adeptów. Na przykład Yogendra swój „Przewodnik po medytacji jogi" wydał dopiero w 1983 roku.

Istotne jednak było to, że obraz skupionej i siedzącej w postawie kwiatu lotosu postaci zaczął przebijać się do coraz szerszej publiczności, a także przeświadczenie, że joga nie jest egzotycznym i starożytnym wymysłem, ale także pożyteczną praktyką dostępną dla wszystkich, niezależnie od wieku, pochodzenia czy przynależności religijnej – a medytacja stanowi jej integralną część.

Nowa droga

Jakościowo inne podejście do jogi i medytacji zaprezentował w tym czasie Paramahansa Jogananda (1893-1952). Pochodził z Uttar Pradesh i pierwotnie nazywał się Mukunda Lal Ghosh. Wyrósł w bra-

eprasa.pl 3ae9b00924

mińskiej rodzinie, w której panował klimat duchowy, a rodzice z oddaniem poddawali się wpływowi wybitnych nauczycieli, takich jak choćby Lahiri Mahaśaya (1828-1895). Mukunda od młodości wykazywał zainteresowania duchowe i jeszcze w trakcie studiów w Kalkucie zaczął pobierać nauki u Sri Yukteswara Giri (1855-1936). Potem został mnichem, przyjął imię Joganandy i poświęcił się poszukiwaniom duchowym i medytacji, którymi zaczął się dzielić w założonej przez siebie szkole.

Stał się na tyle znany, że w 1920 r. zaproszono go do Bostonu na Kongres Religijnych Liberałów, gdzie jego nauczanie i postać wzbudziły tak duże zainteresowanie, że z coraz większym powodzeniem zaczął propagować swoje nauki w Nowym Świecie i jeszcze w tym samym roku założył organizację Self-Realization Fellowship, która bardzo szybko otworzyła sporych rozmiarów centrum w Los Angeles, działające do dziś. Osobisty urok Joganandy, jego nauczanie i oparcie w dobrze skonstruowanej organizacji znacznie przyczyniły się do wzrostu zainteresowania medytacją w USA i na innych kontynentach.

Joganandа w swoim nauczaniu, wpisującym się w tradycję tak zwanej krijajogi, czyli jogi działania, kładł nacisk na zjednoczenie z Bogiem i życie harmonijnie związane z ewoluującym kosmosem. Punktem kardynalnym tego systemu i procesu była medytacja. Bezproblemowo łączył hinduizm i chrześcijaństwo, nauki ścisłe i psychologię, mistyków i filozofów. Myślę, że wielkie zainteresowaniem, które zyskiwał, przynajmniej po części wynikało z jego optymistycznego podejścia do rzeczywistości oraz eklektyzmu łączącego różne tradycje religijne, co pozwalało bez większych dyskusji obalać narosłe przez wieki mury i podziały. Według Joganandy dzięki medytacji człowiek jednoczy w sobie ciało i ducha, pogłębia poznanie, poszerza świadomość i jednoczy się z Bogiem. Uważał, że medytacja jest czymś naturalnym dla człowieka. Jego wskazówki dotyczące samej praktyki były proste: należało w spokoju i bezruchu oddać się koncentracji, skupiając się na oddechu i mantrze.

Paramahansa Joganandа o medytacji

Medytacja to najbardziej praktyczna nauka na świecie. Większość ludzi oddawałaby się medytacji, gdyby rozumiała jej wartość i doświadczyła jej dobroczynnych skutków. Ostatecznym celem medytacji jest osiągnięcie świadomego poznania Boga i wiecznego zjednoczenia duszy z Nim. Jakie spełnienie mogłoby być bardziej celowe i pożyteczne niż wykorzystanie ograniczonych ludzkich zdolności do złączenia się z wszechobecnym i wszechmocnym Stwórcą? Uświadomienie sobie Boga obdarza medytującego błogosławieństwem pokoju, miłości, radości, mocy i mądrości Pana. (...)

Najpierw praktykuj obecność Boga w życiu codziennym. Lepiej jest medytować głębiej niż dłużej, z umysłem biegającym tu i tam. Jeśli nie podejmiesz wysiłku, aby kontrolować umysł, on będzie robił, co mu się podoba, bez względu na to, jak długo będziesz siedzieć, by medytować.

Joganandа, cytaty o medytacji, źródło: yogananda.com.au

Zachód odkrywa jogę

Nic dziwnego, że joga odkrywana, przerabiana i propagowana w okresie międzywojennym przez Hindusów cieszyła się coraz szerszym zainteresowaniem ze strony ludzi Zachodu. Jedni po prostu zostawali adeptami wschodnich nauczycieli, inni wprowadzali jogę w sferę własnych poszukiwań i narracji. Wcześniej obowiązkowym punktem odniesienia w tym temacie były prace Maksa Müllera (1823-1900), na czele z jego wiekopomnym esejem „The Six Systems of Indian Philosophy" (1899). Na uwagę zasługuje także publikacja sir Johna George'a Woodroffe'a (1865-1936), który pod pseudonimem Arthur Avalon wydał książkę „The Serpent Power. The Secrets of Tantric and Shaktic Yoga" (1919), opisującą drogę rozwoju duchowego po szczeblach „centrów energetycznych" (czakr). Była to tak zwana Jogi kundalini.

W tym czasie jogą zainteresował się także Carl Jung, który rozpoczął cykl wykładów na jej temat, później wydanych pod tytułem „Psychologia jogi kundalini" (1932). Nawet jeśli sam nie praktykował jogi czy medytacji, jego refleksje znacznie przyczyniły się do lepszej i szerszej recepcji obydwu tych dyscyplin. Podobny efekt miały prace Jakoba Wilhelma Hauera (1881-1962), takie jak „Praktyka jogi w starożytnych Indiach" (1922) oraz „Joga i droga zbawienia" (1932). Warto też wspomnieć o dwóch książkach Mircei Eliadego (1907-1986): „Psychologia hinduskiej medytacji" (1933) oraz „Joga, esej na temat początków mistyki hinduskiej" (1936).

Dzięki takim autorom, obeznanym z myślą i mentalnością Zachodu, dokonała się prawdziwa recepcja odległych w czasie i przestrzeni rozważań na temat jogi. To, co dalekie, stawało się bliskie. Być może najważniejszym elementem tej recepcji była interpretacja jogi, jej metafizyki i epistemologii, by nie powiedzieć – duchowości i mistyki, w obrębie i za pomocą kategorii właściwych antropologii zachodniej, silnie naznaczonych typowym dla tej epoki psychologizmem. Oczywiście, był to też rodzaj redukcji, ale to ograniczenie czyniło jogę bardziej strawną dla myśli zachodniej i tym samym przyczyniało się do jej absorpcji w obrębie zachodniej kultury. Autorzy tych prac zazwyczaj nie byli gorliwymi praktykami czy propagatorami medytacji, jednak stworzyli rodzaj bazy czy też intelektualnego horyzontu, który im sprzyjał. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP NA STRONIE „TYGODNIKA"

Skąd się wzięła moda na medytację w krajach Zachodu?

Historia medytacji XX wieku – wszystkie odcinki cyklu do przeczytania na:

Tyg-Pow.pl/historia-medytacji

eprasa.pl 3ae9b00924

Do Polski na misje

MARCIN CHODUŃ

KOŚCIÓŁ W POLSCE | Liczba powołań w naszym kraju konsekwentnie spada. W polskich parafiach coraz częściej pracują księża z zagranicy.

Pierwszego dnia w Polsce ksiądz Fransiskus Laka nigdy nie zapomni. Gdy w październiku 1999 r. wyszedł z hali na Okęciu w Warszawie, poczuł, że długo tu nie wytrzyma. Powód? Straszliwy ziąb. – Było zaledwie siedem stopni – opowiada ze śmiechem.

Trudno się dziwić młodemu chłopakowi z Indonezji. W jego kraju chłodny dzień oznacza dwadzieścia pięć stopni Celsjusza. Ale dziś, po dwudziestu siedmiu latach pobytu w Polsce, żadna pogoda nie jest mu straszna. W środku zimy potrafi wyjść na zewnątrz w samym T-shircie odgarniać śnieg albo nosić drewno do pieca. Duchowny zadomowił się w wiosce Brzegi nieopodal Zakopanego, gdzie od dwóch lat jest proboszczem. A na Podhalu długie, śnieżne i mroźne zimy wciąż się przecież zdarzają.

Ksiądz Laka, werbista, nie jest jedynym duchownym z zagranicy, który pracuje w Polsce. Liczba księży obcokrajowców zwiększa się z roku na rok. To odpowiedź na rosnący deficyt rodzimych kapłanów. Luki kadrowe mają uzupełnić zagraniczni klerycy, których polskie diecezje coraz chętniej zapraszają do swoich seminariów.

Puste roczniki

Zaproszenia kierowane są głównie do Afryki. Przykładowo, w seminarium w Kielcach przebywa obecnie dwóch alumnów z Republiki Środkowoafrykańskiej i siedmiu z Angoli. Również w seminarium tarnowskim studiował w minionych latach kleryk z Republiki Środkowoafrykańskiej (wyświęcony na diakona w 2024 r. w Szynwałdzie).

Diecezja ełcka robi to wręcz programowo. W 2023 r. bp Jerzy Mazur ogłosił, w liście odczytanym w kościołach, że w celu rozwiązania problemu braku księży będzie zapraszać kleryków z Afryki do tamtejszego seminarium diecezjalnego. A ci, w zamian za kształcenie w Polsce, mają po święceniach przynajmniej przez kilka lat pracować na Mazurach. Do tej pory wystarczało wsparcie księży emerytów. Teraz jednak deficyt jest dużo większy, kuria rozważa nawet zmniejszenie liczby nabożeństw czy łączenie parafii. Stąd pomysł na zagraniczną pomoc. – Księża w Polsce coraz częściej pracują tak długo, jak pozwala im zdrowie – mówi ks. prof. Andrzej Kobyliński, etyk z UKSW w Warszawie. – Nie zmienia to jednak faktu, że za kilka lat odczujemy krach kadrowy, bo polskie seminaria coraz mocniej świecą pustkami.

Z powodu braku chętnych w ostatnich latach połączono lub zlikwidowano kilka ośrodków seminaryjnych. W jedną instytucję połączono seminaria we Wrocławiu, Legnicy i Świdnicy. Co w rzeczywistości oznacza przeniesienie dwóch mniejszych ośrodków do metropolii. Podobny los spotkał kleryków z seminarium kaliskiego, którzy muszą pobierać nauki w Częstochowie. Z kolei alumnów z Elbląga przeniesiono do Olsztyna. Zamknięto też ośrodki w Łowiczu i Bydgoszczy. A zawieszono edukację w seminariach w Drohiczynie i Sandomierzu.

Ks. prof. Andrzej Kobyliński: – Zmiany następują w tak zatrważającym tempie, że na chwilę obecną trzeba by zamknąć kilkanaście seminariów. Weźmy choćby diecezję płocką. To, co się dzieje w tamtejszym seminarium, można nazwać wystawianiem kleryków na psychiczną próbę. Bo skoro studiuje w nim aktualnie trzynastu kleryków na siedmiu rocznikach, to znaczy, że mamy roczniki puste albo z jednym czy dwoma alumnami. Skutkiem jest ogromna samotność. No bo jak można w wielkim gmachu przetrwać w pojedynkę siedem lat?

Symbolem zachodzących zmian jest według ks. Kobylińskiego właśnie diecezja ełcka: – W tym roku został tam wyświęcony na diakona tylko jeden kleryk. Z Togo – kraju nad Zatoką Gwinejską w Afryce Zachodniej.

Polska – ostatni wybór

Diakon ma na imię Roger i przyjechał do Polski kilka lat temu z innym alumnem z Togo, który jednak z powodów osobistych postanowił wrócić do kraju. – W naszym seminarium studiuje obecnie siedmiu kleryków, trzech z nich pochodzi z Afryki. Oprócz Rogera mamy jeszcze dwóch, z Ghany – mówi kanclerz ełckiej kurii ks. dr Marcin Maczan. Jednak według ks. Maczana obecność afrykańskich kleryków w ełckim seminarium to odpowiedź nie tylko na deficyt księży.

– Ksiądz biskup Jerzy Mazur, który sam przez kilka lat pracował w Ghanie oraz piastował w przeszłości w ramach Konferencji Episkopatu Polski funkcję przewodniczącego Komisji ds. Misji, zna realia diecezji misyjnych. Dobrze wie, że zawsze przyda się im pomoc w kształceniu kleryków. Więc te dwie myśli się połączyły: wykształcenie kapłana dla macierzystej diecezji afrykańskiej oraz jego posługa w Polsce w okresie 8-10 lat po święceniach. Wszystko zgodnie z zapisami w umowach, które biskup ełcki zawarł z afrykańskimi hierarchami.

A umowy są różne. Niektórzy kapłani wracają krótko po święceniach do swoich rodzimych diecezji – choćby seminarzyści z Kielc. Inni zostają na długie lata, jak ks. Fransiskus Laka, którego pobyt w naszym kraju jest co trzy lata przedłużany przez prowincjała zgromadzenia.

Polska nie była jego pierwszym wyborem. Każdy z kleryków Misyjnego Seminarium Księży Werbistów w Pieniężnie, do którego uczęszczał Fransiskus, miał krótko przed święceniami podać trzy kraje, w których chciałby posługiwać. Ks. Laka wymienił Ekwador, Nikaragwę i dopiero na ostatnim miejscu – Polskę.

Zwykle wybór w takich sytuacjach pada na którąś z pierwszych propozycji, ale ówczesny prowincjał zasugerował inaczej. Choć oferta go zaskoczyła, Fransiskus zgodził się i nigdy tej decyzji nie żałował. Pierwsze cztery lata spędził w parafii w Pieniężnie, potem wrócił do seminarium, gdzie piastował stanowisko prefekta kleryków (odpowiadającego za

eprasa.pl 3ae9b00924



ARCHIWUM PRYWATNE

Ks. Fransiskus Laka z ministrantami i lektorami, parafia w Brzegach, 2025 r.

porządek w seminarium). W tym okresie odwiedził wiele parafii z rekolekcjami – zjeździł całą Polskę wzdłuż i wszerz. Następnie przez siedem lat był wikariuszem w Chludowie pod Poznaniem. A w 2024 r. został proboszczem parafii pw. św. Antoniego w Brzegach na Podhalu.

– Przyjechałem dokładnie ósmego grudnia – więc niemal od razu kolęda, czyli odwiedzanie ludzi w ich domach. Przyjęli mnie naprawdę bardzo ciepło. Często mi pomagają – pokazują, jak palić w piecu, zostawiają jedzenie pod drzwiami. Uczę się od nich pracowitości, pokory, cierpliwości, wiary. Góry to trudny teren – trzeba naprawdę hartu ducha, by przetrwać.

Polska stała się jego domem. Czuje się tu bezpiecznie – mimo narastającej w Polsce niechęci wobec obcokrajowców, widocznej przede wszystkim w przestrzeni publicznej i sieci (statystyki MSWiA potwierdzają, że w latach 2024-2025 łączna liczba zgłoszonych przestępstw z nienawiści w Polsce wzrosła o ponad 50 proc. – z 760 do blisko 1200 przypadków). – Ja nigdy do tej pory nie spotkałem się z żadnym wrogim zachowaniem skierowanym w moją stronę – mówi ks. Fransiskus.

Regularnie odwiedza swoją ojczystą wyspę Lembatę, ale wielu rzeczy w Indonezji nie jest już w stanie zaakceptować. Choćby organizacji mszy świętej: gdy ma się zacząć, dajmy na to, o siódmej rano, to wierni przychodzą przed dziewiątą. Nie rozumieją, dlaczego Fransiskus widzi w tym problem. Albo podróż autobusem – gdy kierowca przejeżdża obok swojego domu, to zwykle robi przerwę, by zjeść obiad i pobawić się z dziećmi. – A pasażerowie czekają cierpliwie i nikogo ta sytuacja nie dziwi – śmieje się Fransiskus.

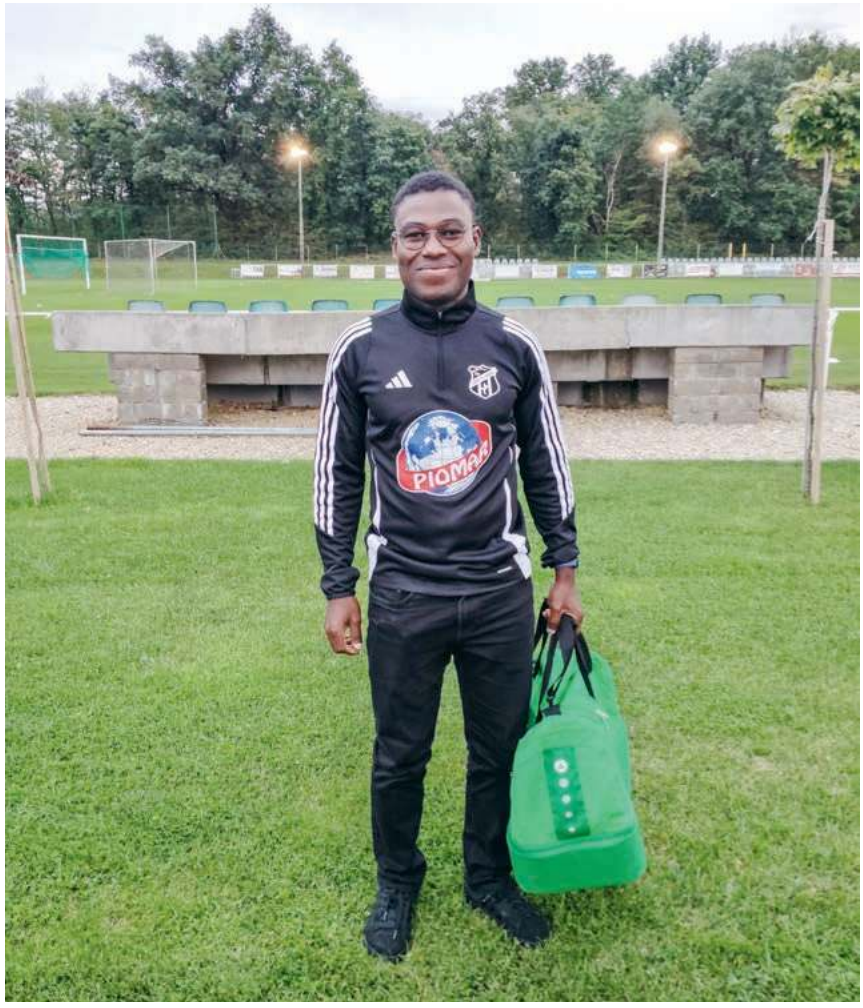
Ksiądz piłkarz z Togo

Nieco krócej w Polsce pracuje ks. Romuald Mawakina Tchilabalo Mozou pochodzący z Togo. Jego pobyt w naszym kraju jest regulowany na tej samej zasadzie, jak w przypadku ks. Laki – kontraktem międzydiecezjalnym, przedłużanym co trzy lata. Romuald jest tu zaledwie siedem lat, a mówi nienaganną polszczyzną, praktycznie bez śladu obcego akcentu. Po przyjeździe do Polski intensywnie uczył się języka – przez siedem miesięcy, od poniedziałku do soboty, po siedem godzin dziennie: – Od początku wiedziałem, że jeśli nie będę się mógł dobrze komunikować z wiernymi, to nie zbuduję z nimi żadnej relacji.

Urodził się w wiosce Kaza niedaleko miasta Sotouboua. Jego ojciec był nauczycielem języka francuskiego w miejscowej szkole podstawowej. Pewnie dlatego jego pierwszym językiem był francuski. Kabije, języka etnicznego w północnym Togo, mały Romuald nauczył się dopiero w późniejszych latach. Rodzina jest katolicka. A sąsiedzi? Mieszanka, jak wszędzie w Togo: większość to muzułmanie, ale jest też trochę katolików i animistów.

Rodzina Mozou jest bardzo religijna. Codziennie wspólnie się modlili i właśnie wtedy mały Romuald zetknął się po raz pierwszy pośrednio z Polską: co wieczór wraz z rodzicami, dwiema siostrami i dwoma braćmi odmawiał koronkę do Bożego Miłosierdzia siostry Faustyny. Polska kojarzy mu się również z Janem Pawłem II – był to jak dotąd jedyny papież, który odwiedził Togo. ↦

eprasa.pl 3ae9b00924



MARCIN CHODUŃ

Ks. Romuald Mawakina Tchilabalo Mozou jest również zawodnikiem GKS Piomar Tarnów Opolski-Przywory

↦ Wielką pasją Romualda była od zawsze piłka nożna. Marzył, by zostać profesjonalnym piłkarzem. Zaniedbywał przez to naukę. W końcu ojciec postawił sprawę jasno: najpierw szkoła, potem piłka.

W trakcie liceum Romuald zaczął jednak myśleć o drodze kapłańskiej. Po maturze rozpoczął naukę w seminarium w Lomé. Po trzech latach studiów – roku propedeutycznym i dwóch latach filozofii – biskup zaproponował mu wyjazd do Polski i naukę w Wyższym Międzydiecezjalnym Seminarium Duchownym w Opolu.

Jako diakon ks. Romuald Mozou odbył praktykę w Krapkowicach. Po święceniach kapłańskich w maju 2024 r. został wikariuszem w parafii pw. Przemienienia Pańskiego w Opolu (od sierpnia tego roku będzie w parafii św. Andrzeja Apostoła w Ujeździe). Pytam go, jak przyjęli go nowi parafianie.

– No cóż, na początku byli trochę zaskoczeni – śmieje się. – Ale to przecież nic dziwnego – jestem w końcu pierwszym kapłanem z Afryki posługującym w diecezji opolskiej. Przyjęli mnie jednak bardzo życzliwie. Nigdy nie spotkał mnie żaden nieprzyjazny gest czy słowo z ich strony.

KS. ROMUALD MOZOU:

Nie wiem, czy wrócę do ojczyzny, ale wszystko jest możliwe. Czuję się dobrze zarówno w Polsce, jak i w Togo.

W Polsce odradza się pasja Romualda z młodzieńczych lat: znów zaczyna grać w piłkę. Najpierw w Maciowakrzach, klubie piłkarskim w klasie B, potem w Żywocicach, już w klasie A. Obecnie jest napastnikiem GKS Piomar Tarnów Opolski-Przywory.

– Nie wiem, czy wrócę do ojczyzny, wszystko jest możliwe. Czuję się dobrze zarówno w Polsce, jak i w Togo – opowiada.

Odwrócona misja

W 2026 r. wyświęcono w Polsce 196 księży – to o 12 mniej niż w ubiegłym roku i aż o 205 mniej niż w 2013 r. Rośnie liczba diecezji, w których święcenia się nie odbyły z powodu braku kandydatów – w zeszłym roku było takich przypadków sześć, w tym roku siedem.

Ks. prof. Andrzej Kobyliński: – W Europie właściwie wszędzie mamy kryzys powołań, więc będziemy szukać księży w innych częściach świata. Mamy w zasadzie dwa obszary, gdzie możemy „łowić" kandydatów do kapłaństwa. To przede wszystkim Afryka i ewentualnie Indie, ale z doświadczeń diecezji niemieckich czy włoskich wynika, że księża z Indii trudniej odnajdują się w Europie. Ameryka Łacińska nie wchodzi w grę – tamtejszy Kościół katolicki przeżywa dramat masowych odejść wiernych do Kościoła zielonoświątkowego. Na pewno więc w przyszłości będziemy intensywnie współpracować z diecezjami afrykańskimi. To ogromna zmiana historyczna – dodaje – bo kiedyś to Polska i Europa wysyłały misjonarzy do Afryki.

Gość z podwórka

Przywory, wieś pod Opolem, boisko piłkarskie klubu GKS Piomar Tarnów Opolski-Przywory. Godzina dziewiętnasta. Trening już trwa. Ks. Romuald Mozou jest trochę spóźniony – od razu pędzi więc do szatni.

– No, Romek, robisz karne pompki – śmieją się koledzy z drużyny, gdy pojawia się na boisku.

Tak wszyscy się tu do niego zwracają: Romek. Trener drużyny, Marcin Chudala, przyznaje, że koledzy lubią sobie z księdza-piłkarza pożartować. – Czasami śmiejemy się, gdy wpatrzony w komórkę siedzi na ławce: „Co ty Romek, spowiadasz?". Szydera jest okrutna – opowiada trener.

Ale przyznaje też, że obecność Romka wpływa na drużynę. Choćby w tym, że zmalała liczba przekleństw. Nawet jeśli Romek w niczym nie daje odczuć, że jest księdzem.

– Traktujemy go jak gościa z podwórka.

© MARCIN CHODUŃ

eprasa.pl 3ae9b00924

O. WACŁAW

Oszajca:
Otwórzmy oczy



„Pan idzie z nieba, pod przymiotami ukryty chleba”, „Bądźże pozdrowiona, Hostio żywa, w której Jezus Chrystus bóstwo ukrywa”, „Jezusa ukrytego mam w Sakramencie czcić”, „Jezu w Hostii utajony”, „O, mój Jezu w Hostii skryty”, „Uderzmy w ziemię czołem, dając pokłon Najwyższemu, w sakramencie ukrytemu”, „O milcząca Hostio biała, o Światłości przesłoniona, Boski Ogniu tu zakryty (...) Rozgrzej serca mego chłód”. To jak to jest? Chleb i wino, Hostia i Kielich, zasłaniają Jezusa, czy zgodnie z rolą, jaką w liturgii pełnią „znaki widzialne”, właśnie Go odsłaniają. Hostia nie ukrywa Jezusa, lecz czyni Go widzialnym, dostępnym naszym zamysłom, gdyż tylko przez widzialne mamy dostęp do niewidzialnego. Hostia nie milczy, ale mówi, zapewnia o Jego obecności tu i teraz. Tak się Jezus z nami umówił. Tam, „gdzie dwaj lub trzej zbierają się w moje imię, jestem pośród nich”. Jezus nie żyje obok czy ponad Kościołem, ale w nim. Nie potrzebuje przychodzić, gdyż jest zawsze obecny. Ta biblijna prawda o nierozłącznej więzi, o utożsamianiu się Jezusa z Kościołem wciąż wymaga przypominania. „Czy nie wiecie, że jesteście świątynią Boga i że Duch Boży w was mieszka?”, i że „Bóg naszego Pana, Jezusa Chrystusa (...) ustanowił [Go] Głową całego Kościoła, który jest Jego Ciałem” – mówi Paweł Apostoł. Zatem Kościół jest dzisiejszym sposobem życia Chrystusa.

Skoro więc jesteśmy dziećmi Boga, to nie powinniśmy naśladować Eliasza, który spotkawszy Boga, zasłania twarz, jakby nie pamiętał wypowiedzi patriarchy Jakuba: „Choć widziałem Boga twarzą w twarz, to jednak ocaliłem moje życie”. Mimo to dzisiaj np. podczas mszy, gdy przewodniczący obrzędom pokazuje chleb i wino, niektórzy pochylają głowy, zamykają oczy, patrzą w ziemię. Dlaczego? Czyżby nie wierzyli, że Jezus jest z nami właśnie po to, żebyśmy przestali bać się Boga, gdyż jest On Jego i naszym Ojcem? A cóż by to był za ojciec, któremu dziecko boi się spojrzeć w oczy? Dlaczego na „Ojcze nasz” również zamykamy oczy albo patrzymy w sufit i sklejamy szczelnie rączki, jak mawiał papież Franciszek? Skoro Bóg jest naszym, a nie tylko moim Ojcem, to otwórzmy oczy, dłonie i ramiona, wstańmy z klęczek i popatrzmy na siebie. Dopóki na mszy nie ucieszymy się z obecności innych, dopóty nie będziemy Kościołem i nie będzie go, Kościoła, w kościele. I nie będzie w nim Chrystusa. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Miara wiary i niewiary



„Jezus, przyszedłszy do swego miasta rodzinnego, nauczał ich w synagodze, tak, że byli zdumieni, i pytali: Skądże u Niego ta mądrość i cuda? Czyż nie jest On synem cieśli? Czy Jego Matce nie jest na imię Mariam (...)? I powątpiewali o Nim. A Jezus rzekł do nich: Tylko w swojej ojczyźnie i w swoim domu może być prorok lekceważony. I niewiele zdziałał tam cudów z powodu ich niedowiarstwa” (Mt 13, 54-58). Św. Marek skomentował tę sytuację jeszcze mocniej: „Nie mógł [Jezus] zdziałać żadnego cudu (...) Dziwił się też ich niewierze” (zob. Mk 6, 5-6). Tym właśnie mierzy się niewiarę: nie tym, ile my chcemy czy nie chcemy zrobić dla Boga, ale tym, co Bóg jest (a czego nie jest) w stanie zrobić w naszym życiu! Niewiara obezwładnia Boga – nie odrzuca Jego istnienia, nie obśmiewa Jego nauczania, ale nie pozwala Mu działać we mnie! Oczywiście, Bóg jest wszechmocny. Stwierdzenie „jest/nie jest w stanie” ma charakter wyłącznie moralny. Nie jest też tak, że Bóg nie chce i nie działa w życiu osób niewierzących – oczywiście, że działa. Z całą miłością. Nie żądając od nich ani rozpoznania i uznania, ani wdzięczności. Na czym jednak polega wiara?

Nie jest ona wiedzą o Panu. Mieszkańcy Nazaretu wiedzą o Jezusie niemal wszystko – przeżył wśród nich trzydzieści lat. Znają Jego rodzinę, umiejętności, wyuczony zawód (i brak innego wykształcenia również). Ta wiedza jednak nie czyni ich wierzącymi. Wiarą nie jest też jeszcze zdumienie, z jakim słuchają głoszonego przez Jezusa Słowa, a nawet zrodzone przy tej okazji pytania co do Jego Osoby – tym bardziej że natychmiast udzielają sobie na nie odpowiedzi, zakładając, że i tak nie dowiedzą się już o Nim czegokolwiek nowego...

Nie chodzi o to, czy Słowo mnie zdumiewa lub zachwyca, tylko o to, ile jest w stanie we mnie zdziałać: zmienić, poprawić, nawrócić, odnowić. I to nie jest tak, że niewiara jest konsekwencją codziennej bliskości, zniesionego do zera dystansu i bezpośredniości. Nikt nigdy na ziemi nie był tak blisko i codziennie z Jezusem, jak Jego Matka Mariam i Jego ojciec, który uczył Go rzemiosła. Rozumieli, że właśnie codzienność i bliska relacja jest przestrzenią Jego objawienia. Nigdy nie nabrali przy Nim pewności, że wiedzą o Nim wszystko. A działał w ich życiu rzeczy niesłychane! ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

eprasa.pl 3ae9b00924

HISTORIA

ŚLADAMI ATLANTYDY

W dziewięć dni przejechali rowerami 450 km: od Kibartów na Litwie do Olsztyna.
Przebyli też kilka wieków w przeszłość.
Do świata, który zniknął: Prusów, Mazurów, Niemców.
Towarzyszyłam im w tej drodze.

GRAŻYNA MYŚLIŃSKA



eprasa.pl 3ae9b00924

Na południowym skraju Puszczy Rominckiej, dziś podzielonej między Polskę i Rosję, blisko przedwojennej granicy II Rzeczypospolitej z Prusami Wschodnimi, jest miejsce, gdzie kończy się las i zaczyna trawa. Nic więcej. Kawałek łąki, po której nie widać, że cokolwiek tu było. A było: wieś Golubie.

– Szok pomyśleć, że stała tu wieś, a teraz nie ma nic – mówi Caroline. Tego dnia leje, wieje, jest zimno, mokre loki kleją się jej do twarzy. – Chwilami pytaliśmy sami siebie, po co tu w ogóle przyjechaliśmy. A potem stajesz na tej łące i widzisz historię.

To samo miejsce zapadnie w pamięć Miriam z Hamburga: – Teraz to tylko trawa, a wcześniej była tu wieś.



GRAŻYNA MYŚLIŃSKA

Tak wygląda ta podróż. Nie gablota w muzeum, lecz pole, na którym coś było.

PODRÓŻ | Jadą na rowerach. Dziewiętnaścioro w większości młodych ludzi z Niemiec, Polski i Litwy, a także z Ameryki, Włoch, Australii i Wielkiej Brytanii. Wyprawa „*Pedalling East Prussian History*" – rowerem przez historię Prus Wschodnich. Organizuje ją berlińskie Deutsche Gesellschaft. Od miasteczka Kibarty na Litwie (leży przy granicy z Rosją) do Olsztyna: 450 km, dziewięć dni. Siłą własnych nóg, żadnych elektryków.

Prowadzą tę podróż w czasie we dwóch: Vincent Regente z berlińskiego stowarzyszenia i Markus Nowak, autor turystycznych przewodników. Chcą dotknąć historię tam, gdzie się wydarzyła. Każdy uczestnik ma przygotować referat i wygłosić go w miejscu, którego dotyczy.

Wcześniej, podczas kompletowania zespołu, na 19 miejsc wpłynęło blisko 70 zgłoszeń. Nie wystarczyło napisać „Chcę jechać". Trzeba było wyjaśnić, po co.

WARSTWY | Ziemia, po której jadą, jest jak palimpsest – dawny rękopis spisany na pergaminie, z którego zeskrobano wcześniejszy tekst. Najpierw byli tu Prusowie, lud bałtyjski. W XIII w. przyszli Krzyżacy: podbili Prusów, a przez kolejne stulecia wybijali albo wchłaniali, aż ich mowa wygasła. Została nazwa Prusy, od ludu, którego już nie ma.

Zakon przegrał konflikt z Polską i Litwą. W 1525 r. ostatni wielki mistrz zrzucił krzyżacki habit, przyjął luteranizm i stworzył świeckie księstwo – pierwsze protestanckie państwo Europy, hołdujące polskiemu królowi. Przybywali tu osadnicy z Mazowsza. Mazurzy: mówili po polsku, modlili się po luterańsku, wierni pruskiemu królowi. Po I wojnie światowej kazano tej ziemi wybierać. W 1920 r. podczas plebiscytu Mazurzy zagłosowali za Niemcami. Prawie 98 procent. Swój język to jedno, swoje państwo – drugie.

Koniec tego świata przyszedł w 1945 r. Prusy Wschodnie przecięto na pół: południe dostała Polska, Związek Sowiecki północ z Królewcem (Kaliningradem). Niemcy uciekli, lub ich wygnano. Mazurzy podzielili ich los: jednych wypędzono, inni wyjechali sami później – w PRL-u czuli się jak Niemcy. Na opuszczone gospodarstwa przybywali polscy wygnańcy z Kresów, a w 1947 r., w ramach akcji „Wisła", Ukraińcy i Łemkowie.

Golubie (historyczne Gollubien, w III Rzeszy przemianowane na Unterfelde) było jedną z pierwszych niemieckich wsi, które jesienią 1944 r. zajęła Armia Czerwona. Zrównała ją z ziemią, a cywilów, którzy nie zdążyli uciec, ↦

Po lewej: trasa do Sztynortu. Za Baniami droga weszła w aleję: lipy oraz dęby, ciasny szpaler, to pruska droga, sadzona jeszcze „za Niemca". 8 lipca 2026 r. Poniżej: poniemieckie ruiny, gdzieś na Litwie.



ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 3ae9b00924

↦ mordowała. Zostały fundamenty i zdziczałe sady. Trawa. Warstwa na warstwie, każda starta przez następną.

Golubie nie jest tu wyjątkiem. Jest regułą.

„JANTAR" | Wystartowali na Litwie, w parotysięcznych Kibartach. Z kładki nad torami widać tu szyny biegnące ku granicy z Rosją. I kościół po rosyjskiej stronie, w dawnym Eydtkuhnen, dziś Czernyszewskoje.

Sto lat temu była to jedna z wielkich stacji granicznych Europy: tu kończyły się tory Cesarstwa Niemieckiego, a zaczynały szersze, rosyjskie. Pasażerowie Nord-Expressu z Paryża do Petersburga przesiadali się z pociągu do pociągu (przenoszenie całych wagonów na inny rozstaw szyn to późniejszy wynalazek). Neoromański kościół z 1889 r. przetrwał. Z tej części miasteczka, która przypadła Sowietom, został dziś rosyjski garnizon za murem.

Ten wąski pas ma swoją nazwę: suwalski korytarz (albo przesmyk). Jedyna lądowa droga z państw bałtyckich do reszty NATO: 65 km, na których w sztabowych grach ćwiczy się dziś następną wojnę. Oni pokonują je na rowerach.

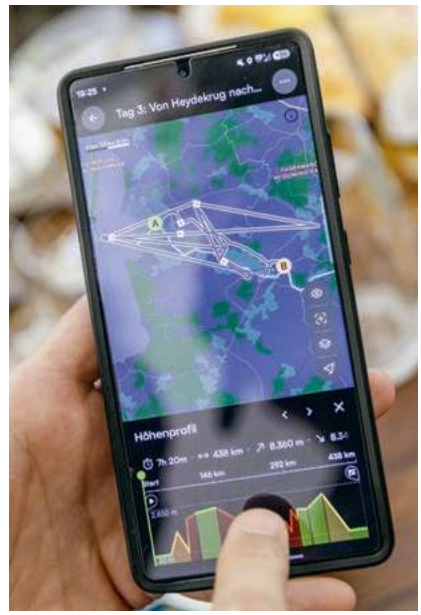
Kursuje tędy „Jantar": pociąg z Moskwy do Królewca. Przez trzy godziny, gdy jedzie przez Litwę, wagony są zaplombowane, a okna zamknięte. Litwini pilnują, by Rosjanie nie wymykali się do Unii. Szyny po obu stronach są te same, litewskie mają rosyjski rozstaw, wagonów nie trzeba przestawiać.

Ale skład i tak staje: w Kibartach. Przez zamknięte okna pasażerowie-Rosjanie patrzą na peron: na zdjęcia zrujnowanych ukraińskich miast i plakat. Napis po rosyjsku: „Putin zabija ukraińskich cywilów. Zgadzasz się na to?". Pociąg stoi tu długo.

BIEGUNY | Peter Schmidt, nauczyciel historii i religii ewangelickiej z Nadrenii-Palatynatu, najmocniej zapamięta ten początek ich podróży. Po czterdziestce, krótko ostrzyżony, mówi powoli, jak ktoś przyzwyczajony do tłumaczenia uczniom.

– Widzieliśmy prawosławną cerkiew i popa, który nie umiał po litewsku – opowiada. – Nie spotkałem się wcześniej z przypadkiem, by duchowny nie znał języka kraju, w którym pełni posługę. A obok cerkwi – groby niemieckich żołnierzy. Wszystko w jednym kadrze.

Potem jest już tylko graniczny płot.



GRAŻYNA MYŚLIŃSKA

Skutki zagłuszania sygnału GPS przez Rosjan: mapa przebytej rzekomo trasy, zapętlona w chaotyczną gwiazdę.

– Gdy byłem dzieckiem, w Europie była żelazna kurtyna – mówi Peter. – Ale zobaczyć to dziś... Litwa ma za sąsiadów Rosję i Białoruś i ich nie zna, bo to wrogowie. Żadnego kontaktu. Mieszkam w południowo-zachodnich Niemczech. Mogę wejść 10 km w las i jestem we Francji. Rozmawiam tam z ludźmi. Żaden problem.

Paradoks jest tu podwójny. Przed I wojną światową obecna strona królewiecka była niemiecka, a litewska – rosyjska. Dziś dawna strona rosyjska jest wolna, a dawna niemiecka – zamknięta na głucho i najeżona drutem. Historia odwróciła bieguny.

NOSICIELE | Małgorzata Sobolewska jest z okolic Suwałk. Jedyna miejscowa w grupie. Pamięta trójstyk granic sprzed lat. – Można było podejść do kamienia granicznego – mówi. – Dziś tonie w zasiekach.

Kiedyś tę granicę przekraczali nie tylko ludzie, ale też książki. Przez 40 lat, od roku 1864 do 1904, w carskiej Rosji nie wolno było drukować po litewsku alfabetem łacińskim – kara za powstanie styczniowe. Litewskie książki drukowano więc w Prusach i przemycano. Przez granicę nieśli je *knygnešiai* – nosiciele książek. Mogli zapłacić za to Syberią.

Laura, Litwinka, której część rodziny pochodzi z tych stron, jedzie przez krajobraz przodków. – Wyjątkowa okazja – mówi krótko. – Tym bardziej że to osobiste.

Między jedną wsią a drugą straszą stare bunkry. Rowerzyści zsiadają, robią zdjęcia. Dalej, pod Pozezdrzem, w lesie, 20 km na wschód od Wilczego Szańca, kryje się Hochwald: kwatera polowa Heinricha Himmlera, szefa SS. Betonowe miasteczko, kiedyś otoczone polami minowymi, ze sztucznymi drzewami na dachach, aby było niewidoczne z powietrza. Dziś prowadzi do niego wygodna leśna ścieżka.

RAZEM | Nazajutrz grupa ma jechać do Wilczego Szańca. – Tyle o tym czytałam na zajęciach. A teraz widzę to naprawdę, nie w podręczniku. I to wciąż stoi – mówi Luise, studentka historii z Berlina.

Luise wspomina, że Polska otworzyła się przed nią, gdy miała 15 lat, na szkolnej wymianie. W tym roku spędziła pół roku na studiach we Wrocławiu i wspomina je jak najlepszy czas. Uczy się polskiego, bo, jak mówi, to piękny język.

Dopiero na miejscu, już w Polsce, dowiedziała się, że jej własna rodzina uciekła z terenów dzisiejszej Polski. Wcześniej nikt jej o tym nie powiedział. Po studiach chciałaby pracować w muzeum, układać wystawy albo zajmować się wymianą międzykulturową.

Nie znosi Wilczego Szańca. Za to, jak bardzo się go sprzedaje. Koszulki z napisem „Wolfsschanze" wydają jej się nie na miejscu. – To nie jest tylko atrakcja turystyczna – mówi. – To miejsce z mroczną historią.

– Niemcy i Polska muszą trzymać się dziś razem – dodaje z przekonaniem.

Wrażenie robią na niej starsi Polacy, których mija po drodze. – Widzą Niemkę. Ale gdy powiem parę słów po polsku, zupełnie nie obchodzi ich, jak kiepsko mi idzie, cieszą się, że próbuję.

DZIADEK | Każdy z nich wiezie własną opowieść. Niektóre sporo ważą.

Miriam, także Niemka, ma 31 lat i robi doktorat z historii. Potargane rudobrązowe włosy, piegi, powściągliwy półuśmiech. Mówi ciszej niż reszta i dłużej waży każde zdanie. Roweru, jak mówi, nie znosi – zapisała się dla wyzwania.

– Przyjeżdżać tu jako Niemka to dziwne uczucie – przyznaje. Jej dziadek pochodzi z Gumbinnen (Gąbin; dziś Gusiew po rosyjskiej stronie). Miriam jedzie blisko jego ziemi rodzinnej i nie może do niej dotrzeć, oddziela ją granica.

Gdy w 1944 r. Sowieci się zbliżali, to on, wtedy chłopak, namówił matkę do wyjazdu. Opuścili dom późną jesienią, pocią-

GRAŻYNA MYŚLIŃSKA

ARCHIWUM PRYWATNE

ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 3ae9b00924



Sztynort: kamień ku pamięci Heinricha Lehndorffa, uczestnika spisku przeciw Hitlerowi.



W drodze, pomimo gwałtownego załamania pogody: gdzieś w okolicy Bań Mazurskich.



Uczestnicy rowerowej wyprawy przez historię: tutaj na granicy Polski oraz Litwy.

giem, docierając aż pod Hamburg. O drodze mówił potem niewiele – wolał wspominać dialekt, pojedyncze słowa, rodzinę.

Spakowali wtedy tylko walizki. A w nich – liczne zdjęcia. Szkolne, rodzinne. Z przedmiotów, które wtedy zabrali, nie przetrwało do dziś nic. Tylko te zdjęcia. I pytanie, które Miriam nosi ze sobą: co z nimi kiedyś zrobić?

Jej referat brzmiał: „Ucieczka i wypędzenie Niemców". Miriam bała się, że w mieszanej grupie padną przykre słowa. Nie padły. Pytano ją za to, jak wypędzonych przyjmowano po 1945 r. w Niemczech Zachodnich. A przyjmowano chłodno.

WSPÓŁCZUCIE | Zupełnie inną nieobecność czyta Caroline, obywatelka USA. Rudoblond loki, uśmiech od ucha do ucha. Przyjechała ze stypendium Fulbrighta, naucza angielskiego na uczelni medycznej w Łodzi. Na studiach tropiła własne żydowsko-polskie korzenie.

– Golubie poruszyło mnie chyba dlatego, że jak z większością żydowskiej historii w Polsce, został tam tylko ślad – mówi. – A warto pamiętać, nawet gdy nie ma już nic. Kiedy dowiadujesz się, jak dawne wspólnoty się przemieściły, albo jak je zniszczono, masz więcej współczucia dla żywych.

Przemieszczenie albo zagłada – jej własne słowa. Na tej samej trawie Niemka widzi wypędzenie, Amerykanka – pustkę po sztetlu. Jadą razem, koło w koło, choć historię pamiętają różnie.

Poprzedniego wieczoru przy kolacji rozmawiali o tym, jak muzea pokazują rzeczy trudne. Rozmawiali też o Jedwabnem. – To absolutnie nie był spór – zastrzega szybko Miriam. – Dla mnie to było po prostu ciekawe, bo wcześniej o tym nie wiedziałam.

Zaraz dodaje: – Konflikty w tej części Europy były zawsze. Ale zawsze było też życie obok siebie.

Małgorzata ujmuje to samo inaczej: – Staramy się opowiadać tę historię z wielu stron. Żeby każdy miał swój głos.

CMENTARZ | Bo wśród tych wszystkich znikań trafiają się miejsca, które pamiętają inaczej. W Wobałach (niem. Pabbeln) grupa zatrzymuje się przy starym cmentarzu ewangelickim. Przed 1945 r. chowano tu luteran, potem wieś stała się katolicka i cmentarz popadł w zapomnienie. Po dawnych grobach zostały betonowe obwódki w trawie – ramy bez płyt i bez nazwisk.

Kilka jednak przetrwało. W trzech zbiorowych mogiłach leży tu czterystu żołnierzy ↦

eprasa.pl 3ae9b00924

armii carskiej z I wojny światowej: dwie mogiły po stu pięćdziesięciu i jedna na stu. Jedyne groby, które się ostały, należą więc do obcych: do wroga sprzed stu lat. Obok, osobno, spoczywa też jeden Niemiec: gefreiter Hermann Neumann z 3. Pułku Kirasjerów. Nazwisko przetrwało jedno, czterystu Rosjan pochowano bez nazwisk.

Na skraju głaz. Duży, czerwonawy. Taki, jakie na dawnych pruskich cmentarzach wojennych bywały pomnikiem. Nie ma na nim liter. Kto tu trafia, bierze go za kamień pamięci. Kamień milczy, miejsce pamięta. Rachunkiem, nie imieniem.

DRZEWA | Tego dnia pogoda się załamuje. Wiatr 8 w skali Beauforta, tysiące gospodarstw bez prądu, ewakuacja kilku obozów harcerskich. Oni tego dnia jadą z Gołdapi do Sztynortu, 68 km. Na lunch stają w Baniach Mazurskich, w barze w dawnym młynie. Na banerze: „Mistrz kartaczy". Kartacz, po niemiecku *Keilchen*, po litewsku *cepelinai*, na Litwie danie narodowe. Wspólne dla kilku narodów. Jedzą je Polacy, Niemcy, Litwini, Amerykanka i Włoch.

Potem znów droga. Kto ma, ubiera kombinezon. Kto nie ma, pelerynę z folii. Ktoś jedzie w klapkach na bosych stopach, ktoś owinął buty workami. Śmieją się.

Za Baniami droga wchodzi w aleję. Lipy i dęby, ciasny szpaler – pruska droga, sadzona „za Niemca", przetrwała wszystko. Na pniach numery: 26, 46, 51. Zielone i pomarańczowe. Zielone zostają. Pomarańczowe czekają na przegląd (to zwykle wstęp do wycinki). Drzewa policzone jak eksponaty.

Jadą skrajem, gęsiego. Z zapalonymi lampkami, bo jest ciemno, choć ciągle jest dzień. Obok, po asfalcie, sunie świat: osobówki, ciężarówki z bryzgiem spod kół. Raz ciężarówka wojskowa. Do Sztynortu dojeżdżają w pełnym składzie.

ZAGŁUSZANIE | Wieczorem u „Córki Rybaka", w rodzinnej smażalni ryb przy porcie w Sztynorcie, było sucho. Namiot, girlanda żarówek. Ryba na niebieskich talerzach, frytki, piwo. Przyszli umyci, przebrani, punktualnie – jakby nie mieli za sobą całego dnia spędzonego w deszczu.

Telefon przechodził z rąk do rąk. Na ekranie mapa dnia: trasa zapętlona w gwiazdę. Zza granicy, spod Sowiecka, Rosja zagłuszała im sygnał GPS. – Nam to nie przeszkadza – mówił jeden z prowadzących – ale lotnictwu i żegludze takie zagłuszanie zagraża.



GRAŻYNA MYŚLIŃSKA ×4

MIRIAM *z Hamburga, doktorantka. Jej dziadek pochodzi z Gumbinnen (Gąbina), dziś Gusiewa w Rosji, za nową żelazną kurtyną.*



LUISE *z Berlina spędziła ostatnie pół roku na studiach we Wrocławiu i wspomina to jako najlepszy czas w życiu. Uczy się polskiego.*



PETER SCHMIDT *jest nauczycielem historii i religii. „Mamy XXI wiek, a za wschodnią granicą dzieje się to samo, co wtedy" – mówi.*



CAROLINE *jest Amerykanką, uczy angielskiego w Łodzi: „Chwilami pytaliśmy sami siebie, po co tu przyjechaliśmy. A potem stajesz na tej łące, gdzie kiedyś była wieś, i widzisz historię".*

Potem Peter wrócił myślami do wojny. – Mamy wiek XXI – mówił cicho. – A za wschodnią granicą dzieje się dokładnie to samo, co wtedy. Tyle milionów ludzi zginęło w tamtym stuleciu, a dziś znów to samo.

Trzej bracia jego babci zginęli podczas II wojny światowej. Najmłodszy miał 18 lat, na imię miał także Peter. – Dziś wisi nad nami to samo zagrożenie – mówi nauczyciel.

W 1938 r. brytyjski podróżnik Bernard Newman objechał rowerem wybrzeże Bałtyku i opisał wszystko, co po drodze zobaczył. Nie mógł przewidzieć tego, co miało przyjść rok później. Prawie sto lat i jedną wojnę później ktoś znów robi to samo – objeżdża tę ziemię rowerem i słucha ciszy zza granicznego drutu.

– Mam nadzieję, że tym razem pokój się tutaj utrzyma – mówi Peter.

KAMIEŃ | Potem część poszła do parku. Pałac rodziny Lehndorff stał nad jeziorem – pół odnowiony, pół w ruinie. Jasny szczyt, balkon, nowe drzwi. Obok naga cegła i zabite deskami okna. Na kalenicy, jak na licznych słupach, które mijali po drodze, bocianie gniazdo.

Ród siedział tu blisko pięć stuleci. W czasie II wojny jedno skrzydło zajął Ribbentrop, minister spraw zagranicznych Hitlera – kilkanaście kilometrów od Wilczego Szańca. W drugim mieszkał gospodarz, Heinrich von Lehndorff. Sąsiedzi zza ściany. Obu powieszono: Lehndorffa w więzieniu Plötzensee we wrześniu 1944 r. za spisek przeciw Hitlerowi, a Ribbentropa w Norymberdze w 1946 r. za to, że Hitlerowi służył.

Po wojnie w pałacu stała Armia Czerwona, potem za PRL-u działało Państwowe Gospodarstwo Rolne, potem nikt. Dach kładą dopiero teraz, za niemieckie pieniądze.

Przy alei kamień. Napis dwujęzyczny, polski i niemiecki. Kamień postawiono w 2009 r., w setną rocznicę urodzin Heinricha Lehndorffa. Obok kamienia płonie znicz, leżą świeże białe kwiaty.

Na kamieniu wyryto zdanie z jego listu do żony, który napisał w przeddzień egzekucji: „Nasze dotychczasowe życie stopniowo odchodzi w niebyt".

© GRAŻYNA MYŚLIŃSKA

eprasa.pl 3ae9b00924

WOJCIECH

Bonowicz: *Czekający*



Siedzą, czekają. Powszedni obrazek. Albo raczej: powszedni obrazek kiedyś. Bo teraz trzeba jednak nieco się wysilić, żeby znaleźć taką grupę. Nie mówię o czekających w kolejce przed lodziarnią albo do lekarza, nie mówię też o oczekujących na autobus czy tramwaj. Mówię o ludziach, którzy siedzą, czekając nie wiadomo na co. Którzy sami nie wiedzą i gdyby ich zapytać, nie umieliby odpowiedzieć, a nawet mogliby się zdenerwować, że ktoś pyta.

Wytracanie czasu. To właśnie próbują robić. Wytracać czas nie ot tak, po prostu, ale wytracać z godnością, może nawet pewnym namaszczeniem. Nie jak widownia, nie jak chór w greckiej tragedii, bo przecież z rzadka się odzywają. Ale jednak z godnością, z tą odrobiną napięcia, jakie powstaje zawsze, kiedy człowiek chce się wydać kimś nieco innym, jakby poważniejszym. Owszem, bywa, że między czekającymi trafi się gaduła, nawet taki – jak tutaj – który pomaga sobie rękami. Ale na ogół gadułów do czekania zaprasza się niechętnie. Czas przy nich niby szybciej schodzi, łatwiej go wytracić, człowiek nie zauważy, a już, proszę, doczekane i można iść do domu. Tyle że z gadułami siedzenie robi się jakieś takie niewygodne. Jakby się stało za czymś, a nie siedziało bez określonego celu. Albo nie, inaczej: jakby się czekało całym ciałem, ale nie głową. Bo głowa przy takim gadule zajęta, głowa przy nim jest jak pudło rezonansowe. Więc gaduła dobrze, jak na chwilę przysiądzie, ale jeszcze lepiej, jak w końcu sobie pójdzie.

Poszedł. Siedzą dalej w milczeniu, czekają. Kim są? Mogę zgadywać. Ale po ubiorze bardzo trudno dziś zgadnąć. I po twarzach również. Twarz różne rzeczy może powiedzieć: że ktoś jest zmęczony, że słońce go razi, że zapomniał się ogolić. Czasem twarz mówi: nie podchodź, a czasem przeciwnie, jakby zapraszała, żebyś podszedł. Bywa, że twarz wymyka się temu, który ją nosi, i zdradza coś, co on chciałby ukryć. Na przykład że czuje się samotny, że zrobił coś głupiego, że chce mu się płakać. No ale to nie w tej grupie. W tej grupie twarze przylegają ściśle do swoich nosicieli. Twarze czekają w takim samym skupieniu jak reszta ciała. I niewiele mówią. Nawet nie patrzą w twoją stronę, bo po co.

Siedzą, czekają, nie piją. To dziwne. Ręce mają puste, niczym niezajęte jeden tylko ćmi papierosa. No, ćmi to jest na wyrost powiedziane. Ćmić to palić powoli, nie zaciągając się mocno, palić tak, jakby się nie paliło. Ale dzisiejszych papierosów ćmić nie sposób. Jak ich nie palisz, same się palą i szybko dopalają. Kiedyś, owszem, produkowano takie, które potrafiły czekać razem z człowiekiem. Mogłeś unieść papierosa w dłoni i patrzeć, jak się żarzy, a nie wypala. Dziś we wszystkim pośpiech, więc i w paleniu. Ten jeden już trzeciego zapala, a tak jakby ledwie dwa razy się zaciągnął. Może nie palą, bo im z takim pośpiesznym paleniem nie po drodze?

Jak ktoś nadchodzi, to po prostu przechodzi – i tyle. Nie na niego czekają, więc niech idzie dalej. Kobieta pcha wózek, bardzo dobrze, niech sobie pcha i niech dziecko śpi, bo małe dziecko jest od spania. Pies biegnie, świetnie, byle nie chciał koło ławki, na której siedzą, nogi podnosić. Dwóch w średnim wieku, w marynarkach dopasowanych, pod krawatami, ze słuchawkami w uszach, coś cały czas mówią, tyle że nie do siebie. Niech idą, niech załatwiają sprawy, które mają do załatwienia. Starsza pani z reklamówką, z której wystają liście buraków i kalafior. Poradzi sobie, warzywa nie są ciężkie, chyba że ziemniaki. Nikt z siedzących zresztą tak uważnie nie lustruje, kto przechodzi i z czym. To ja się rozpraszam, ja się zastanawiam, ja się podnoszę i w takim półprzyklęku pytam: „Może pani pomóc?”. Odmawia. Większość starszych pań odmawia, nie chce, żeby obcy odprowadzał je do domu.

Siedzą, czekają. Trwają? Tego bym nie powiedział. A oni sami, czy powiedzieliby tak o sobie? Nie, w tym widoku nie ma nic trwałego. O co innego tutaj chodzi. Coś innego jest tu istotne. Nie są żadną metaforą, symbolem, nawet tego tu osiedla, na które przypadkowo zaszedłem. Ot, grupka mężczyzn w nieokreślonym wieku, raczej starszym niż średnim, ale w sumie nieokreślonym, i bez wyraźnej tożsamości. Przyjaciele? Koledzy? „Czy panowie są kolegami, czy przyjaciółmi?” Nie, oczywiście, że tak nie zapytam. Wyszedłbym na głupka. Zresztą, jakie to ma znaczenie? To, co ich łączy, nie musi być nazwane. Wszystko musi mieć nazwę? Od dawna wiem, że nie.

Chcesz wiedzieć, kim są? Na co czekają? Usiądź w pobliżu i zaczekaj tak jak oni. ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem. Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia”.

eprasa.pl 3ae9b00924



VOYZECK RADISH

Gala finałowa Nagrody POLIN 2025

NAGRODA POLIN
Dla strażników dziedzictwa

Ocalony od zapomnienia cmentarz, zawieszona tablica pamiątkowa, szkolny projekt odkrywający losy dawnych mieszkańców miasta – takie działania od lat docenia Nagroda POLIN. Motywem przewodnim dwunastej edycji konkursu jest „Dziedzictwo". Hasło podkreśla znaczenie wspólnej odpowiedzialności za zachowanie pamięci o polskich Żydach i miejscach, które przez stulecia współtworzyły krajobraz kulturowy Polski.

Dziedzictwo Żydów polskich to nie tylko świadectwo blisko tysiąca lat obecności społeczności żydowskiej na ziemiach polskich. To także ważna część historii Polski, zapisana w architekturze, kulturze, języku, lokalnych tradycjach i pamięci mieszkańców. Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN od lat przypomina, że poznawanie tej historii pozwala lepiej rozumieć współczesną Polskę oraz budować społeczeństwo oparte na dialogu i szacunku dla różnorodności.

W wielu miejscowościach materialne ślady żydowskiej obecności takie jak cmentarze, synagogi czy mykwy są dziś jedynymi świadkami niegdyś tętniącego życia. Coraz częściej jednak do tych miejsc wracają także opowieści o ich dawnych mieszkańcach. Dzieje się tak za sprawą lokalnych aktywistów, nauczycieli, regionalistów i pasjonatów historii, którzy podejmują wysiłek dokumentowania, ochrony i upowszechniania pamięci o żydowskich sąsiadach.

To właśnie oni organizują spacery edukacyjne, porządkują cmentarze, zbierają relacje świadków historii, tworzą lokalne wystawy i angażują młodzież w odkrywanie wielokulturowej przeszłości swoich miejscowości. Dzięki ich pracy pamięć o społecznościach żydowskich wraca do przestrzeni publicznej, stając się częścią lokalnego dziedzictwa i źródłem wiedzy dla kolejnych pokoleń.

Znaczenie tych działań podkreśla przyznawana przez nasze muzeum Nagroda POLIN. Wyróżnienie trafia do osób i instytucji, które poprzez swoją działalność chronią pamięć o historii polskich Żydów oraz budują porozumienie między ludźmi i społecznościami. Wśród laureatów i finalistów znajdują się zarówno organizacje społeczne, jak i indywidualni działacze, których codzienna praca często odbywa się bez wsparcia instytucjonalnego.

Działania lokalnych opiekunów pamięci pokazują, że ochrona dziedzictwa to wspólna odpowiedzialność za zachowanie historii, która współtworzy polską tożsamość. Dzięki ich zaangażowaniu dziedzictwo Żydów polskich pozostaje żywe – nie jest zamkniętym rozdziałem przeszłości, lecz ważnym elementem współczesnej opowieści o Polsce i jej różnorodności.

Zgłoszenia do Nagrody POLIN 2026 można przesyłać do 23 sierpnia 2026 roku przy użyciu formularza dostępnego na stronie internetowej Muzeum POLIN. Wystarczy kilka prostych informacji: opis działań kandydatki lub kandydata, uzasadnienie oraz dane kontaktowe osoby zgłaszającej. Zgłosić może każdy – również osoby prywatne, które chcą wyróżnić kogoś ze swojej społeczności. To dzięki nim co roku odkrywamy niezwykłych ludzi i miejsca, które zmieniają krajobraz pamięci w Polsce. ©

Laureatki i laureaci zostaną ogłoszeni 28 października 2026 roku podczas uroczystego finału konkursu w Muzeum POLIN w Warszawie.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl 3ae9b00924

Wręczenie Nagród POLIN to wydarzenie, na które czekamy przez cały rok. Siła tego projektu nie jest mierzona tysiącami sprzedanych biletów ani milionowymi zasięgami w mediach społecznościowych. Wszyscy mamy jednak poczucie, że podczas corocznej gali w sposób namacalny realizuje się nasze powołanie. Misję Muzeum POLIN można streścić następująco: chronimy i przywracamy pamięć o historii Żydów polskich, budując przez to wzajemne zrozumienie i szacunek, przeciwdziałając antysemityzmowi, dyskryminacji i wykluczeniu.

Nominowani do nagrody robią w istocie to samo. Tyle że bez instytucjonalnego zaplecza, dużych budżetów czy licznego zespołu. Nierzadko działając w pojedynkę, a czasem nawet w atmosferze niechęci, poświęcają swój prywatny czas ochronie materialnego i niematerialnego dziedzictwa polskich Żydów. Lokalne historie, które odkrywają i pielęgnują, bez ich wysiłku pozostałyby zapomniane. Aby przeszłość mogła stać się fundamentem lepszej przyszłości, potrzebni są ludzie, którzy dostrzegają wartość wspólnego dziedzictwa i podejmują trud jego ochrony.

Żadne muzeum, żaden instytut ani nawet najmądrzejsza rada nie są w stanie samodzielnie zadbać o pamięć historyczną. Dlatego honorujemy tych, którzy troszcząc się o przeszłość, dają nam w tych niespokojnych czasach nadzieję na lepsze jutro.

Dziękujemy, Drodzy Nominowani!

DARIUSZ STOLA – Dyrektor Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN

Nagroda POLIN jest przede wszystkim wyróżnieniem dla ludzi, którzy każdego dnia wykonują cichą, często niedostrzeganą pracę na rzecz pamięci o polskich Żydach. Nagroda jest jednocześnie dowodem na to, że dziedzictwo żydowskie nie należy wyłącznie do muzeów ani historyków. Jest częścią wspólnej odpowiedzialności za pamięć o Polsce – tej wielokulturowej, złożonej i niepozbawionej trudnych pytań.

Z naszego doświadczenia wiemy, że to właśnie lokalni społecznicy, nauczyciele, bibliotekarze, regionaliści i wolontariusze najczęściej są prawdziwymi strażnikami tego dziedzictwa.

Od ponad dekady spotykamy ich dzięki Programowi Grantowemu Stowarzyszenia Żydowski Instytut Historyczny w Polsce. Program powstał po to, by odnajdywać i wspierać osoby, które często bez zaplecza dużych instytucji dokumentują historię swoich miejscowości, ratują cmentarze i miejsca pamięci, prowadzą działania edukacyjne i angażują lokalne społeczności. Do tej pory wsparliśmy już ponad 300 takich inicjatyw w całej Polsce. Co szczególnie wymowne, wielu laureatów i finalistów Nagrody POLIN poznaliśmy właśnie wcześniej jako grantobiorców naszego Programu. To pokazuje, że konsekwentna praca u podstaw przynosi efekty, a lokalni liderzy z czasem stają się autorytetami inspirującymi innych.

Dlatego Nagroda POLIN ma dla nas szczególne znaczenie. Jest nie tylko wyrazem uznania dla konkretnych osób, ale także potwierdzeniem, że warto inwestować w lokalnych liderów i oddolne inicjatywy. To oni sprawiają, że dziedzictwo polskich Żydów pozostaje żywą częścią współczesności, a nie jedynie rozdziałem zamkniętym w podręcznikach historii.

PIOTR WIŚLICKI – Prezes Stowarzyszenia Żydowski Instytut Historyczny i Przewodniczący Rady Muzeum

MATERIAŁ ORGANIZATORA

POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

NAGRODA POLIN '26

NABÓR: 15.07–23.08

Wspólna instytucja kultury
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Warszawa
Stowarzyszenie Żydowski Instytut Historyczny w Polsce

Mecenas Muzeum
ORLEN

Projekt jest finansowany przez mieszkańców Norwegii i budżet krajowy
Norway grants
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich
Wspólnie działamy na rzecz bardziej zielonej, demokratycznej i odpornej Europy

Sponsor Strategiczny Muzeum
tvn | Warner Bros. Discovery

Oficjalny przewoźnik Muzeum
LOT

Współorganizator
Stowarzyszenie Żydowski Instytut Historyczny w Polsce

Mecenas konkursu i gali finałowej
Jankilevitsch Foundation

eprasa.pl 3ae9b00924

NAUKA

DOWODY NA MEDAL

Przyznawane raz na cztery lata Medale Fieldsa pozostają jednym z najważniejszych wyróżnień dla matematyków. Historia tegorocznych laureatów pokazuje, jak dziś funkcjonuje ta dziedzina.

PAULINA ROWIŃSKA



eprasa.pl 3ae9b00924

Pod koniec lipca w Filadelfii czworo młodych matematyków świętowało największy sukces w karierze. Chińczyk Yu Deng, Amerykanin John Pardon, Kanadyjczyk Jacob Tsimerman i Chinka Hong Wang otrzymali Medale Fieldsa, czyli jedno z najbardziej prestiżowych wyróżnień w matematyce, które Międzynarodowa Unia Matematyczna przyznaje co cztery lata podczas Międzynarodowego Kongresu Matematyków. Laureat lub laureatka nie może obchodzić 40. urodzin przed 1 stycznia roku kongresu; zwykle nagradzane są cztery osoby.

Tym razem nazwiska nie były wielkim zaskoczeniem – nie tylko dlatego, że na 10 dni przed ceremonią ktoś odnalazł je w danych ukrytych w internetowym programie kongresu. Nagrodzona czwórka od dawna należała do grona faworytów. Hong Wang została dopiero trzecią kobietą w 90-letniej historii nagrody, po Irance Maryam Mirzakhani (nagroda w 2014 r., trzy lata później zmarła na chorobę nowotworową) i Ukrainice Marynie Wiazowskiej (nagroda w 2022 r.). Hong Wang i Yu Deng są też pierwszymi obywatelami Chin uhonorowanymi Medalem Fieldsa.

Tegoroczni laureaci reprezentują różne dziedziny matematyki. Jedni próbują połączyć ruch bilionów cząsteczek z równaniami opisującymi gaz, inni liczą krzywe w wielowymiarowych przestrzeniach albo badają kształty o zerowej powierzchni. Czym dokładnie się zajmują?



LI RUI / XINHUA / AFP / EAST NEWS

Laureaci Medalu Fieldsa, od lewej: Yu Deng, John Pardon, Jacob Tsimerman i Hong Wang pozują do zdjęć po otrzymaniu nagrody. Międzynarodowy Kongres Matematyków, Filadelfia, 23 lipca 2026 r.

Yu Deng: między skalami

Yu Deng miał zostać profesjonalnym graczem go albo matematykiem. Jako nastolatek był o krok od zakwalifikowania się do grona zawodowców, ale przegrał trzy decydujące partie, więc skupił się na matematyce. Po kilku nieudanych próbach dostał się do reprezentacji Chin i zdobył złoty medal na Międzynarodowej Olimpiadzie Matematycznej. Już na początku studiów zainteresował się równaniami różniczkowymi cząstkowymi.

Równania te znajdują zastosowania m.in. w fizyce, gdzie opisują wielkości zmieniające się w czasie i przestrzeni, takie jak fale na wodzie, rozchodzenie się ciepła czy przepływ powietrza. Ustalenie, czy rozwiązanie takiego równania istnieje i jak zachowuje się ono po długim czasie, bywa niezwykle trudne.

W 1900 r. Niemiec David Hilbert, uchodzący za jednego z najważniejszych matematyków w dziejach, przedstawił na kongresie w Paryżu listę problemów, które miały wyznaczyć kierunek rozwoju matematyki w XX w. W swoim wykładzie zdążył opowiedzieć o dziesięciu, ale lista, która ukazała się drukiem, zawierała 23 pozycje. Szósty problem był sformułowany dość nieprecyzyjnie: Hilbert postulował, by prawa fizyki wyprowadzić z prostych aksjomatów, podobnie jak geometrię euklidesową – czyli „zwykłą", szkolną geometrię – oparto na zaledwie pięciu założeniach.

Aby doprecyzować problem, Hilbert podał przykład gazów. Chciał, by równania opisujące ich stan – np. temperaturę lub ciśnienie – można było wyprowadzić z opisu ruchów pojedynczych cząsteczek. Innymi słowy: by można było poznać makroskopowy stan substancji na podstawie mikroskopowego opisu cząsteczek.

Na poziomie mikroskopowym cząsteczkami rządzą zasady dynamiki Newtona (takie jak zasada akcji i reakcji), ale ich liczba nawet w małej objętości gazu jest tak olbrzymia, że kompletny opis zachowania całego układu – pozwalający na przewidywanie np. wszystkich zderzeń poszczególnych cząsteczek – jest w praktyce niemożliwy. Austriacki matematyk i fizyk Ludwig Boltzmann zaproponował więc inne podejście – stworzył równanie opisujące statystyczny rozkład cząsteczek. Nie mówimy więc o każdej cząsteczce z osobna, tylko o tym, jak często występują jakie prędkości w olbrzymim zbiorze cząsteczek. To jedno z najbardziej uniwersalnych równań fizyki, znajdujące zastosowanie w wielu jej dziedzinach – od fizyki subatomowej po kosmologię.

Kolejnym krokiem w realizacji postulatu Hilberta miało być przejście od równania Boltzmanna do równań Naviera–Stokesa, które opisują płyny (są nimi w fizyce zarówno ciecze, jak i gazy) w skali makro. Równania te nie mówią już o zachowaniu pojedynczych cząsteczek ani ich statystycznym rozkładzie, lecz o funkcjonowaniu płynu jako całości (dzięki temu wykorzystuje się je do opisu prądów oceanicznych, zmian pogodowych czy przepływu krwi). Ten krok – od równań Boltzmana do równań Naviera–Stokesa – udało się zrealizować, ale nieosiągalne pozostawało bardziej podstawowe przejście – od newtonowskiego opisu pojedynczych cząstek do statystycznych równań Boltzmana.

W 1975 r. amerykański matematyk Oscar Lanford dokonał częściowego przełomu, jednak jego metoda działała tylko na ekstremalnie krótkich odcinkach czasu.

Deng oraz Zaher Hani pracowali wcześniej nad turbulencją falową, czyli statystycznym opisem ogromnej liczby oddziałujących fal. Około 2018 r. zauważyli, ↦

eprasa.pl 3ae9b00924

↦ że opracowane tam metody mogą pomóc także w problemie cząsteczek. Wraz z Xiao Ma wymyślili technikę pozwalającą analizować przedziały czasu znacznie dłuższe niż te, z którymi radziły sobie wcześniejsze metody.

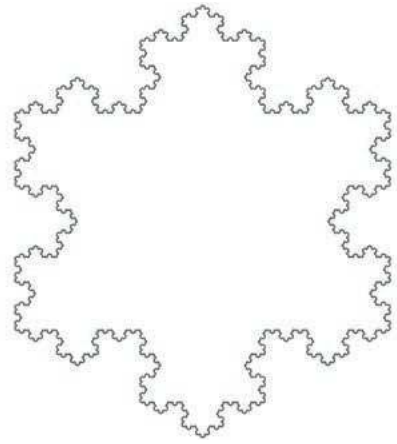
Rezultatem był liczący prawie 200 stron artykuł opublikowany przez tę trójkę w 2025 r., pokazujący, jak w pewnych warunkach można wyprowadzić równania Boltzmanna z praw dynamiki Newtona. To jeszcze nie rozwiązuje całego, szeroko sformułowanego szóstego problemu Hilberta, ale rozstrzyga jedną z jego części.

John Pardon: po sznurku do węzła

John Pardon lubi problemy, które może zwizualizować, dlatego od początku przyciągały go geometria i topologia. Jeszcze jako student opublikował artykuł w „Annals of Mathematics", jednym z najważniejszych czasopism matematycznych. Nauczył się też biegle chińskiego, bo – jak sam mówi – lubi wyzwania.

Jego słynny studencki artykuł dotyczył teorii węzłów. Wyobraźmy sobie sznurek, na którym wiążemy węzeł, a potem sklejamy końce. Można go rozciągać, zginać i przesuwać, ale nie możemy przeciąć sznurka ani przeprowadzić jednej jego części przez drugą. Teoria węzłów pyta m.in., kiedy dwa pozornie różne układy można w ten sposób przekształcić jeden w drugi.

Jednym ze sposobów opisania poziomu splątania węzła jest dystorsja. Odległość między dwoma punktami na węźle możemy zmierzyć na dwa sposoby: wzdłuż sznurka lub w linii prostej. Intuicyjnie, im bardziej jest splątany węzeł, tym większy jest stosunek tej pierwszej wartości do drugiej. Jeśli policzymy ten stosunek dla wszystkich par punktów na węźle, największa wartość jest właśnie dystorsją.



KRZYWA KOCHA jest jednym z najbardziej znanych fraktali. Choć na każdej skali ujawnia coraz bardziej skomplikowaną strukturę, nie wypełnia całej płaszczyzny, dlatego matematycznie jest więcej niż 1-wymiarowa, ale mniej niż 2-wymiarowa.

Szczególną rodzinę stanowią węzły torusowe, czyli takie, które można uformować na powierzchni obwarzanka bez przecinania sznurka. W 1983 r. Rosjanin Michaił Gromow zapytał, czy każdy taki węzeł można ułożyć w przestrzeni tak, by dystorsja nigdy nie przekroczyła wartości 100, niezależnie od liczby owinięć.

Pardon odpowiedział przecząco. Udowodnił, że niektóre węzły torusowe mogą mieć dowolnie dużą dystorsję. To odkrycie było zaskakujące, bo pokazało, że pozornie nieskomplikowane obiekty geometryczne mogą ukrywać w sobie ogromną złożoność.

Medalem Fieldsa Pardon został także wyróżniony za późniejsze prace na temat tzw. geometrii symplektycznej, która może opisywać stan poruszającego się układu fizycznego. Wszystkie możliwe stany tworzą wielowymiarową „przestrzeń fazową" o szczególnej strukturze geometrycznej, do badania której Pardon rozwinął wiele nowych narzędzi.

Jacob Tsimerman: rozmaite rozmaitości

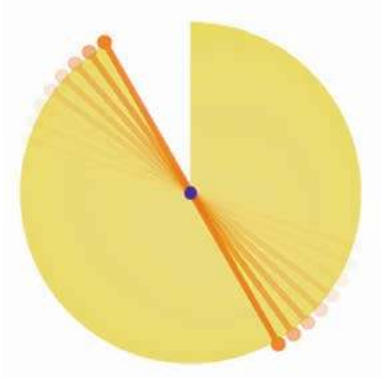
Jacob Tsimerman podszedł do swojej pierwszej olimpiady matematycznej jako dwunastolatek i większości zadań nie rozwiązał. To doświadczenie nauczyło go wytrwałości, czyli jednej z najważniejszych cech badacza. Dzięki niestrudzonym treningom w wieku piętnastu lat zdobył złoto, a rok później rzucił liceum i rozpoczął studia na University of Toronto. Gdy jego rówieśnicy dopiero szykowali się na studia, on w wieku osiemnastu lat zaczynał doktorat pod okiem Amerykanina Petera Sarnaka, laureata wielu matematycznych wyróżnień.

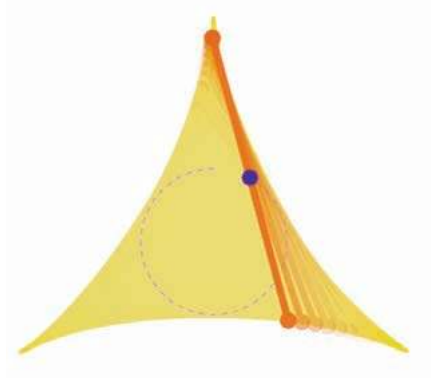
Sarnak podsuwał swojemu podopiecznemu „nierozwiązywalne" problemy, żeby przyzwyczajać go do porażek będących codziennością matematyka. W ten sposób Tsimerman poznał hipotezę Andrégo–Oorta dotyczącą skomplikowanych obiektów zwanych rozmaitościami Shimury.

Żeby zrozumieć, o co chodzi, wróćmy do szkolnego układu współrzędnych. Linię prostą może opisywać np. równanie $x+y=1$, a parabolę $x^2+y=0$. Okrąg to z kolei zbiór punktów spełniających równanie $x^2+y^2=1$. Zbiory rozwiązań takich równań, w dowolnej liczbie wymiarów, nazywa się rozmaitościami algebraicznymi.

Rozmaitości Shimury są szczególnym rodzajem takich przestrzeni. Zamiast opisywać zwykłe figury geometryczne, ich punkty odpowiadają złożonym obiektom matematycznym, na przykład pewnym krzywym lub ich uogólnieniom wyposażonym w dodatkową strukturę. Można więc myśleć o rozmaitościach Shimury jak o uporządkowanym katalogu takich obiektów, gdzie każdy punkt na rozmaitości oznacza jeden z nich.

Hipoteza Andrégo–Oorta mówi, w dużym uproszczeniu, że jeśli w jakimś fragmencie rozmaitości Shimury występuje wyjątkowo dużo tzw. punktów specjalnych, to nie jest to przypadek. Sam ten fragment również musi mieć szczególną, uporządkowaną strukturę. To trochę tak,





Ilustracja **PROBLEMU KAKEYI NA PŁASZCZYŹNIE**. Igła, której środek pozostaje nieruchomy, musi zakreślić koło, by jej końce wskazywały każdy kierunek. Ale jaką najmniejszą powierzchnię musi zakreślić, jeśli środek igły może się poruszać?

DOMENA PUBLICZNA X2

eprasa.pl 3ae9b00924

jakby w tłumie wiele osób należało do jednej rodziny – wtedy musielibyśmy przypuszczać, że jesteśmy na zjeździe rodzinnym, a nie na przypadkowym spotkaniu.

W 2014 r. para matematyków udowodniła hipotezę Andrégo–Oorta, ale tylko przy pewnym założeniu (dotyczącym prawdziwości tzw. hipotezy Riemanna, pozostającej najsłynniejszym nierozwiązanym problemem matematyki). To częsta sytuacja w matematyce: rozpoczyna się od udowodnienia czegoś tylko dla pewnego specjalnego przypadku i dopiero później udaje się znaleźć rozwiązanie ogólne. W tym przypadku właśnie Tsimerman – wraz z dwojgiem współpracowników – znalazł dowód, który nie wymagał tego założenia.

Była to przełomowa praca, m.in. dlatego, że rozmaitości Shimury odgrywają ważną rolę w tzw. programie Langlandsa, czyli jednym z najbardziej ambitnych przedsięwzięć współczesnej matematyki. Jego celem jest odkrycie głębokich związków między pozornie odległymi dziedzinami, takimi jak teoria liczb, geometria i analiza.

Mimo tak spektakularnego sukcesu Tsimerman po odebraniu Medalu Fieldsa zdecydował się na radykalny zwrot: porzucił akademię na rzecz pracy w OpenAI. Uważa, że przyszłość matematyki leży w systemach sztucznej inteligencji, które już teraz potrafią samodzielnie rozwiązywać trudne problemy matematyczne. Czas pokaże, czy ma rację, ale jego decyzja wywołała burzliwe dyskusje o roli i kształcie matematyki w kolejnych dekadach.

Hong Wang: szukanie igły w zbiorze

Gdy w lutym 2025 r. Hong Wang i Joshua Zahl opublikowali swój artykuł, matematycy z całego świata rzucili wszystko, żeby go przeczytać. Nets Katz z Rice University powiedział „Quanta Magazine", że wynik tej rangi zdarza się „raz na stulecie". Chodziło o dowód trójwymiarowej hipotezy Kakeyi, która przez pół wieku opierała się najwybitniejszym matematykom.

Historia zaczęła się od niewinnie brzmiącej łamigłówki. Wyobraźmy sobie nieskończenie cienką igłę obracającą się na płaskiej powierzchni. W 1917 r. japoński matematyk Sōichi Kakeya zapytał, jak mały może być obszar, w którym da się obrócić ją tak, by wskazała każdy kierunek – czyli żeby dokonała pełnego obrotu. Gdyby środek igły pozostawał nieruchomy, zakreśliłaby ona koło. Jeśli podczas obrotu wolno igłę przesuwać, obszar ten może być mniejszy. W latach 20. XX w. brytyjski matematyk rosyjskiego pochodzenia Abram Besicovitch pokazał, że ten obszar może mieć nawet pole równe... zeru.



MEDAL FIELDSA przyznawany od 1936 r. przez Międzynarodową Unię Matematyczną podczas organizowanego przez tę instytucję co cztery lata kongresu. Każdorazowo wyróżnianych jest od 2 do 4 laureatów, którzy nie ukończyli jeszcze 40 lat.

MATERIAŁY PRASOWE

Zerowe pole nie oznacza automatycznie pustego zbioru; odcinek też ma zerowe pole, choć składa się z nieskończenie wielu punktów. Pytanie więc powinno paść nie o pole, ale o wymiar zbioru Kakeyi.

Wymiar to właśnie ta cecha obiektu geometrycznego, o której mowa, gdy określamy coś jako „dwuwymiarowe" albo „trójwymiarowe". Co ciekawe, współczesna matematyka może mówić o obiektach, które mają wymiary ułamkowe. Przykładem są fraktale: słynna krzywa Kocha ma około 1,26, jest więc pod względem geometrycznej złożoności jakby „czymś więcej" niż zwykłą linią (która ma wymiar 1), choć wciąż nie wypełnia dwuwymiarowej płaszczyzny.

Na płaszczyźnie każdy zbiór Kakeyi ma wymiar dwa, choć jego pole może pozostać zerowe. Hipoteza Kakeyi mówi, że w przestrzeni o dowolnej liczbie wymiarów zbiór zawierający odcinek w każdym kierunku musi mieć pełny wymiar otaczającej go przestrzeni.

Na tym być może zakończyłaby się kariera hipotezy Kakeyi, gdyby nie zupełnie z nią niezwiązane badania Charlesa Fefermana w latach 70. Ten amerykański matematyk zajmował się analizą Fouriera, która rozkłada skomplikowany sygnał na proste fale o różnych częstotliwościach. Wykorzystują ją m.in. kompresja obrazów i obróbka dźwięku; zawdzięczamy jej na przykład słuchawki wygłuszające.

Fefferman zauważył, że pewna operacja stosowana w analizie Fouriera (polegająca na odrzucaniu części częstotliwości sygnału) działa dobrze w jednym wymiarze, ale w dwóch wymiarach może tworzyć niekontrolowane efekty. Skonstruował przykłady oparte na cienkich odcinkach ustawionych w wielu kierunkach, bardzo podobne do zbioru zaproponowanego przez Besicovitcha.

Dzięki tym obserwacjom hipotezą Kakeyi zainteresowali się matematycy zajmujący się analizą Fouriera, między innymi Wang. Wersja trójwymiarowa przypomina dwuwymiarową, przy czym tym razem bada się lekko pogrubione odpowiedniki igły wyglądające jak nieugotowany makaron spaghetti. Przez dziesięciolecia nikt nie potrafił udowodnić, że zbiór tych rurek wskazujący wszystkie kierunki musi mieć wymiar trzy. Dopiero Wang i Zahl, dzięki zastosowaniu nowych metod, udowodnili hipotezę w trzech wymiarach.

Pytanie pozostaje otwarte w czterech i większej liczbie wymiarów, a silniejsze twierdzenia związane z analizą Fouriera też wciąż czekają na rozwiązanie. Metody Wang już jednak zmieniły sposób, w jaki matematycy myślą o tych problemach.

I właśnie to łączy wszystkich tegorocznych medalistów. Nie tylko rozwiązali problemy ważne w ich własnych dziedzinach, ale stworzyli narzędzia, dzięki którym matematycy mogą podejść do innych wyzwań w nowy sposób.

© PAULINA ROWIŃSKA

Autorka uzyskała doktorat z matematyki w Imperial College London, ukończyła też studia z dziennikarstwa naukowego w Massachusetts Institute of Technology. Jej pierwsza książka „Mapomatyka. Jak mapy prowadzą nas i zwodzą" ukazała się w kilku krajach, w Polsce – w przekładzie Michała Rogalskiego i nakładem Wydawnictwa RN. Podczas tegorocznego Copernicus Festival „Mapomatyka" zdobyła główną nagrodę w konkursie Mądra Książka Roku.

eprasa.pl 3ae9b00924



KULTURA

DOBRE PYTANIE

ADAM MIREK, POPULARYZATOR NAUKI I TWÓRCA INTERNETOWY:

Sposobem na utrzymanie uwagi dziecka jest wciągnięcie go w przygodę. I to taką, która jest ściśle związana z nauką.

eprasa.pl 3ae9b00924



AGNIESZKA WOJTUŃ / MATERIAŁY PRASOWE

MARCIN ŻYŁA: Właściwie czemu nie został Pan nauczycielem?

ADAM MIREK: Mama mi zabroniła. Uczyła w klasach 1–3. Od dzieciństwa słyszałem, że mogę być w życiu kimkolwiek, byle nie nauczycielem.

Dlaczego?

Ponieważ to się po prostu nie opłaca.

Żałuje Pan?

Nie. Zostałem naukowcem, obroniłem doktorat z inżynierii biomedycznej. A w edukowaniu spełniam się teraz. Moja twórczość i działalność w internecie to opowiadanie o nauce. I wciąż nie lubię egzekwować wiedzy. Nie wymagam od odbiorców, żeby wszystko zapamiętali. Chcę być obok, gdy pytają. A jeśli nie znam odpowiedzi, szukamy jej razem.

Są już „absolwenci Mirka". Ci, którzy po Pana książkach czy wykładach zostali z ciekawością na dłużej.

Dostaję dużo wiadomości o tym, że ktoś zdecydował się na takie, a nie inne studia właśnie dzięki temu, że mnie oglądał. Albo że dziecko zażyczyło sobie na urodziny mikroskop, a nie smartfon. Wiem, że to górnolotnie brzmi, ale naprawdę uważam, że moją rolą jest pokazywanie piękna nauki. I zainteresowanie nią tak, aby dziecko samo potem wyszukało potrzebną informację i wiedziało, że warto pytać.

Z czym się konkuruje, pisząc o nauce dla dzieci – z rozrywką czy z nudą?

Nuda jest wskazana! Rozbudza kreatywność i uczy dobrze pytać. Problemem jest ogromna liczba bodźców, które nas otaczają i odciągają uwagę od tego, czym się zajmujemy. Ekrany i „szybka treść" obniżają ogólny poziom koncentracji. A im częściej uwagę się rozprasza, tym trudniej potem do niej wrócić. Stąd zresztą aktualna dyskusja o zakazie używania smartfonów i mediów społecznościowych przez dzieci.

Ma Pan 1,3 mln obserwujących na TikToku. To byłby chyba kłopot, gdyby się ich zakazało.

I tak, i nie. Młodzi sięgają po media społecznościowe głównie w poszukiwaniu rozrywki, a nie treści popularnonaukowych. Cieszę się, jeśli udaje mi się w to jakoś wstrzelić. Ale gdyby ich zakazano, nie byłbym zły. Korzystam z wielu form przekazu. Czasem mam wrażenie, że spotkanie, na które przyszło, powiedzmy, dwieście osób, było ważniejsze niż niejeden film z 500 tys. wyświetleń.

To jest zresztą fenomen ostatnich lat, o którym w „Tygodniku" mówił niedawno dr Tomasz Rożek – spotkania o nauce z dziećmi i młodzieżą przestały być nudnymi prelekcjami.

Dwa lata temu założyłem Fundację Poznawczą, która popularyzuje naukę „w terenie". Zaproszeń jest mnóstwo, a spotkania organizują nie tylko, jak dawniej, szkoły, biblioteki czy domy kultury. Są już nawet firmy eventowe, które, gdy urządzają np. Dzień Dziecka, koniecznie chcą, żeby był tam „mądry" element – np. warsztaty o chemii.

Jacy są dziesięciolatkowie, których Pan wtedy spotyka?

Szczerze mówiąc, nie widzę dużej różnicy między nimi a sobą z czasów szkoły. Interesują ich te same rzeczy oraz – jak zawsze – to, co jest ich codziennością. Ich świat się bardzo zmienił, więc szczegóły są inne, jednak zainteresowanie rzeczywistością pozostało na tym samym poziomie.

Spora jednak część ich rzeczywistości jest wirtualna, a ostatnio – tworzona przez sztuczną inteligencję. A Pan mówi do nich o nauce, czymś „twardym", realnym, opartym na dowodach. Fascynuje mnie takie spotkanie. ↦

ADAM MIREK jest doktorem inżynierii biomedycznej i twórcą internetowym. Zajmuje się głównie popularyzacją nauki wśród dzieci i młodzieży. Regularnie występuje w telewizji, prowadzi Fundację Poznawczą, a jego profil na TikToku ma 1,3 mln obserwujących. Trzykrotny laureat konkursu Mądra Książka Roku. Ostatnio wydał: „Ktoś tu kręci. Przygoda naukowo-detektywistyczna" (Znak Emotikon, 2026).

eprasa.pl 3ae9b00924

↦ Jest to niebywały kontrast, to prawda. I nowość naszych czasów. Dlatego staram się promować krytyczne myślenie. To nie jest tak, że żeby myśleć krytycznie, trzeba być dorosłym, który rozumie samo to pojęcie.

U najmłodszych można wspierać postawę ograniczonego zaufania wobec treści z sieci, podkreślać wartość spotkań na żywo czy materiałów przygotowanych przez ekspertów, np. książek. Wydaje mi się, że to całkiem dobra forma ochrony młodych przed dezinformacją, deepfake'ami czy treściami wyplutymi przez AI.

Fałszywa rzeczywistość nie jest atrakcyjniejsza od realnej?

Często jest. Ktoś, kto tworzy fałszywe treści, nie szanuje informacji, którą przekazuje. Jego głównym celem jest jak największy zasięg. Żeby go osiągnąć, tworzy treść bardzo emocjonalną. One klikają się bardziej, bo taka jest natura ludzka. Ciekawość, oburzenie, obrzydzenie czy inne silne emocje wygrywają z faktami.

Rozmawiam z dziećmi na różne tematy i widzę, że one są otwarte na nowe informacje. Wszystkie – albo prawie wszystkie – chcą słuchać. Jest to jednocześnie dobre i złe. Dobre, bo może do nich trafiać nowa wiedza. Złe – bo fałszywe treści mogą się w nich utrwalać. A jeśli w okresie dojrzewania ich otwartość zniknie, takie treści zostaną z nimi na dłużej.

Innymi słowy, dzieci w podstawówkach równie łatwo słuchają fake newsów, jak i wiedzy, która pozwoli im je obalać. Oczywiście, rozmaite teorie spiskowe same w sobie są atrakcyjne, bo niosą trochę buntu, a młodzi lubią o nich mówić. To ciekawe opowieści, a fakty często są suche, niezwiązane z żadną historią.

Ale nie tylko siewcy teorii spiskowych korzystają z takich narzędzi. Tak samo skutecznie mogę z nich korzystać także ja.

Urodził się Pan w 1993 roku. Już nie program „Sonda" był dla Pana wzorem opowiadania o nauce, prawda?

Były nim książki. Pamiętam „Chemiczny chaos" Nicka Arnolda, dzięki któremu zakochałem się w chemii. Przeczytałem tę książkę, zanim chemia pojawiła się w mojej edukacji. To zresztą kluczowe: zainteresować się chemią, zanim stanie się szkolnym przedmiotem.

Gdybym mógł zmienić program nauczania chemii, wyrzuciłbym z niego symbole pierwiastków i zapisy reakcji. **Bo chemia jest o tym, jak zmienia się świat.**

Potem bywa już tylko zmorą. Gdybym mógł zmienić jej program nauczania, wyrzuciłbym z niego symbole pierwiastków i zapisy reakcji. Nie one są najważniejsze. Bo chemia jest o tym, jak zmienia się świat.

Większość tych zmian to reakcje chemiczne albo procesy fizyczne. Tak też piszę o chemii w książkach. Pokazuję ją w codzienności: w kuchni, na stacji benzynowej, w ubraniach czy kosmetykach. Szkoda, że w szkole najpierw poznajemy atomy, wzory i reakcje, a dopiero na końcu dowiadujemy się, do czego to wszystko służy. Powinno być odwrotnie. Wszyscy znamy plastikowe opakowania czy sól kuchenną – to od tego warto zacząć. Tak buduję swoje opowieści.

Na podstawie książki „Bebechy" powstaje serial animowany. Od czasu „Było sobie życie" nie mieliśmy takiego programu dla dzieci o ciele człowieka. **A temat wymaga odświeżenia, bo zmienił się stan wiedzy.**

W Pana książce „Ktoś tu kręci" – właśnie o chemii – czytelnik natknie się na zadania do wykonania. Sama historia jest mniej ważna?

Absolutnie nie. Ostatnia książka to faktycznie pełna przygód opowieść naukowo-detektywistyczna. Książka opowiada o substancjach, materiałach i reakcjach, z którymi stykamy się na co dzień. Wychodzimy więc od zwykłych miejsc: kuchni, łazienki czy ogrodu botanicznego. A sposobem na utrzymanie uwagi dziecka jest wciągnięcie w historię detektywistyczną. I to taką, która jest ściśle związana z nauką, bo jednym z jej bohaterów jest właśnie badacz.

W „Bebechach", książce o ciele człowieka, było inaczej. Na swój sposób prościej. Temat był bliski dziecku, ponieważ dziecko na co dzień zadaje wiele pytań o własne ciało. Ciało je bawi, ciekawi, czasem boli.

Na wstępie przekreśliłem pomysł, żeby opisywać po kolei narządy i poszczególne układy. Postanowiłem zrobić z ciała głównego bohatera opowieści. „Opowieść" to słowo klucz, bo książka traktuje o ciele od poranka do zaśnięcia, pokazuje, co się może dziać przez cały dzień.

Ze szkolnego punktu widzenia to może wprowadzać pewien chaos – np. o układzie oddechowym opowiadam w pięciu miejscach. Ale od strony dziecięcej ciekawości to całkiem naturalne. Przysiadam się do dziecka, gdy pyta: „dlaczego burczy mi w brzuchu"? Odpowiadam, potem jemy – a więc mamy kolejny temat: zęby, ślina, trawienie. I tak po kolei, aż do kupy, która pojawi się dopiero za kilka godzin.

Co zmieniło się ostatnio w języku mówienia o nauce dzieciom?

Język nie zmienił się aż tak bardzo, pojawiała się za to nowa forma: krótkie wideo. Ono wymaga większych uproszczeń i skrótów.

Gdzie jest ich granica?

Jako osoba wywodząca się ze środowiska naukowego, która kilkanaście lat spędziła w laboratorium i wydawała teksty naukowe, myślałem, że ta granica jest dużo bliżej nauki niż codzienności. Dzisiaj uważam, że jej nie przekraczam, gdy słyszę komentarze typu: „Dlaczego nikt mi tego tak nie wyjaśnił w szkole?".

Z drugiej strony czasem odzywają się naukowcy, którzy piszą, że czegoś nie dopowiedziałem, albo że wiedza jest niepełna. I to jest dla mnie sygnał, że granica została postawiona we właściwym miejscu. Materiał jest prosty, ale nadal rzetelny.

eprasa.pl 3ae9b00924

Jak się tworzy taki film?

Odpowiem na przykładzie kotów. Koty to oczywiście władcy internetu. Gdy spadają zasięgi, wrzucam film z kotem i jest dobrze.

Załóżmy, że chcemy opowiedzieć o pionowych źrenicach tych zwierząt. Większość ludzi je kojarzy, więc to dobry punkt wyjścia. Potem trafiam na informacje, że owce mają źrenice poziome, człowiek jeszcze inne – tak zbieram kolejne wątki.

Na końcu układam z nich półtoraminutową historię – mniej więcej pół strony tekstu A4. Najważniejsze jest zawsze pierwsze zdanie. Takich krótkich filmów się nie szuka – one pojawią się na ekranie i w ciągu trzech sekund widz decyduje, czy ogląda dalej. Często wystarczy dobre pytanie: „Dlaczego koty mają pionowe źrenice?".

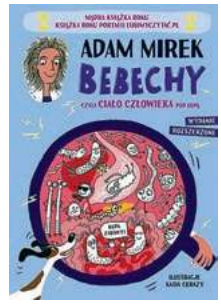
Podobnie było z filmem o laktozie. Nie zaczynałem od chemii, tylko od pytania: „Dlaczego mleko bez laktozy jest słodkie?". To prowadzi do opowieści o laktozie, glukozie, galaktozie i innych cukrach. Widz cały czas poznaje nowe pojęcia, choć ma poczucie, że ogląda odpowiedź na jedno proste pytanie. Ten film miał ponad dwa miliony wyświetleń.

Algorytmy chyba jednak nie sprzyjają takim treściom?

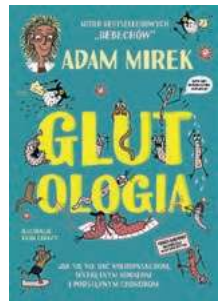
Od tematu dużo ważniejsza jest forma. Długo jej zresztą szukałem. Faktycznie jednak, schemat filmów, które są najbardziej popularne i osiągają szerokie zasięgi, da się przełożyć na pewne tematy naukowe. Można zrobić trend, na przykład na TikToku, w tematach naukowych. I to już wystarcza, żeby zwrócić uwagę odbiorcy na naukę.

Treści naukowe mają o wiele mniejsze zasięgi, ale głównie dlatego, że jest ich mniej. Jednak filmy moje i innych popularyzatorów nauki trafiają do milionów i wiem, że ludzie coś z tego wynoszą. Nie jestem tutaj po to, żeby udzielać najmłodszym korepetycji z chemii. Ale eksperymenty, które pokazuję, wykonuję ze składników dostępnych w kuchni. Jeśli chcą, mogą je powtórzyć.

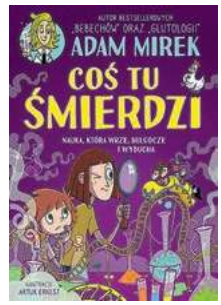
Kiedy zaczął Pan działać w internecie, był już pomysł, żeby zostać popularyzatorem nauki?



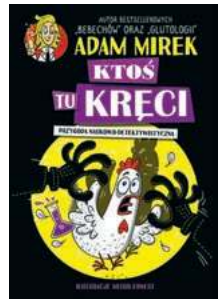
Adam Mirek, il. Katarzyna Cerazy
BEBECHY
Znak Emotikon, 2023
Mądra Książka Roku 2023



Adam Mirek, il. Katarzyna Cerazy
GLUTOLOGIA
Znak Emotikon, 2024
Mądra Książka Roku 2024



Adam Mirek, il. Katarzyna Cerazy
COŚ TU ŚMIERDZI
Znak Emotikon, 2025
Mądra Książka Roku 2025



Adam Mirek, il. Katarzyna Cerazy
KTOŚ TU KRĘCI. PRZYGODA NAUKOWO-DETEKTYWISTYCZNA
Znak Emotikon, 2026

Wtedy chciałem się tylko podzielić tym, co robię w ramach doktoratu – opowiadać o inżynierii biomedycznej. To przyciągnęło rzesze osób, które zaczęły zadawać pytania, na które czasem nie znałem odpowiedzi. Wtedy wykorzystałem swoje zasoby jako naukowiec: umiejętność kwerendy, prostego opisu. Wciąż jestem naukowcem, który o nauce opowiada, ale nie z katedry. Raczej siadamy sobie przy kawie albo na trzepaku i rozmawiamy o tym, czemu jesienią spadają liście.

Planuję teraz książkę o śnie, jednym z filarów dobrostanu. We współpracy z Breakthru Films, czyli producentem odpowiedzialnym m.in. za „Twojego Vincenta" i „Chłopów", powstaje też serial animowany na podstawie książki „Bebechy". Od czasu „Było sobie życie" nie mieliśmy takiego programu dla dzieci o ciele człowieka.

A temat wymaga odświeżenia, bo zmienił się stan wiedzy. W „Było sobie życie" prezentowano mapę języka, na której różne smaki odczuwa się w różnych miejscach. A to jest absolutny mit, który wynikł z jakichś amerykańskich badań sprzed kilkudziesięciu lat. Przed ludzkim ciałem są też nowe wyzwania, m.in. związane z pojawieniem się nowych technologii, które wpływają na koncentrację.

Trochę wygląda to tak, jakby interesowało Pana wszystko.

W pewnym sensie tak jest. I nic w tym złego.

W Ministerstwie Edukacji jest plan połączenia przedmiotów ścisłych w podstawówce w jeden blok tematyczny o nazwie „Przyroda". To bardzo dobry pomysł. Sam pokazuję w swoich działaniach, że podział na chemię, biologię czy geografię jest sztuczny. Ani w tzw. wiedzy ogólnej, ani w tym, do czego szkoła powinna przygotować praktycznie, nie ma on sensu. Specjalizacja jest konieczna na dużo późniejszym etapie, gdy prowadzi się badania.

Nawet poza szkołą często wymaga się od młodych, żeby zdecydowali się na jakąś ścieżkę kariery, pytając ich o ulubiony przedmiot. A mnie naprawdę interesowały wszystkie. Odpowiedziałbym pewnie: „otaczający nas świat". Świat jest miksem nauk.

© Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

eprasa.pl 3ae9b00924



KAROLINA JÓŹWIAK / TEATR ŁAŹNIA NOWA X2

Spektakl „Czekając na barbarzyńców", reż. Bartosz Szydłowski

Teatr niepokoju

JACEK WAKAR

KRAKÓW | Bartosz Szydłowski skłania nas do przejrzenia się w swoich nowych spektaklach: jesteśmy nielegalni czy legalni, czekamy na barbarzyńców czy odkrywamy ich w sobie?

Sytuacja na polsko-białoruskiej granicy po zmianie władzy wcale się nie poprawiła, nowi rządzący przejęli zaś retorykę poprzednich. Teatr chce na to odpowiadać, czego dowodem spektakl „Czekając na barbarzyńców" w krakowskiej Łaźni Nowej. Przedstawienie Bartosza Szydłowskiego nie jest jedynie manifestacją możliwości szybkiego reagowania na rzeczywistość, ale probierzem społecznych nastrojów. Wraz z poprzednim przedstawieniem szefa Łaźni – „Procesem Eligiusza Niewiadomskiego" – wpisuje się w wyraźny w jego nowej twórczości nurt obywatelskiego oporu.

Nie tak miało być. Kiedy machina państwa PiS rozpoczęła operację nienawiści przeciw Agnieszce Holland z powodu jej filmu „Zielona granica", stając po stronie reżyserki czuliśmy się wśród swoich. Minęły lata, a sytuacja na granicy się nie zmieniła. Nowa ekipa rządząca zapomniała o obietnicach, za to poczuła koniunkturę w powtarzaniu narracji poprzedników, czasem w celowo ostrzejszej jeszcze formie. Symbolicznym tego aktem było czasowe zawieszenie prawa do azylu. Odnawiamy zatem po wielokroć przerabianą lekcję obserwując, jak wiele musi się zmienić, aby w istocie nie zmieniło się nic.

SĘDZIA JEST KOBIETĄ | Myślałem o tym, oglądając w krakowskiej Łaźni Nowej dwa ostatnie przedstawienia Bartosza Szydłowskiego. Do „Procesu Eligiusza Niewiadomskiego" oraz „Czekając na barbarzyńców" przylgnęło określenie „teatr obywatelski", szef Łaźni Nowej się od niego delikatnie odżegnuje, podkreślając, że w swych pracach zawsze szuka metafory. Tyle że jedno nie przeszkadza drugiemu, siła politycznego przekazu nie unieważnia wycieczek ku sprawom ponadczasowym, szukania motywacji postaci w mechanizmach społecznego nacisku i skomplikowanej, choć to określenie niewiele konkretnego znaczy, ludzkiej naturze.

Po tym spektaklu nie należy spodziewać się wiernej adaptacji książek J.M. Coetzeego. Jakiś czas temu w Teatrze Współczesnym we Wrocławiu powstał szlachetny w intencjach spektakl Marka Fiedora, ale kłuł w oczy archaiczną formą dawnej alternatywy, a przede wszystkim pokazał, że „Czekając na barbarzyńców" przetłumaczyć na język sceny w wymiarze jeden do jednego chyba zwyczajnie się nie da. Wychodzi z niej wówczas natrętna dość retoryka, w lekturze przykrywana przez wyrafinowaną literacko formę. Postaci zdają się nośnikami racji, trudno tchnąć w nie prawdziwe życie, dać im bolesny konkret, mocno związać z ziemią.

Dlatego w Łaźni Nowej powstało przedstawienie jedynie inspirowane powieścią noblisty, czerpiące z niej zarys konfliktu między postaciami, ale na nowo definiujące ich relacje. W scenariuszu Krzysztofa

eprasa.pl 3ae9b00924



Spektakl „Proces Eligjusza Niewiadomskiego", reż. Bartosz Szydłowski. Teatr Łaźnia Nowa

Szekalskiego i Łukasza Drewniaka Sędzia stała się kobietą. Gra ją olśniewająco Marta Zięba, wspaniale łącząc w swojej roli temat prawa oraz uczuć i słabości. W nieubłaganych starciach z prokuratorem (Krzysztof Zarzecki) jest twarda, ale i krucha, jakby nie była gotowa na bezwzględność adwersarza. Za nim stoi mechanizm i aparat państwa, zestaw restrykcyjnych obwarowań prawnych, a jakby było trzeba – aparat odpowiednich służb. Po jej stronie są powracające senne koszmary, miłosne zapomnienia, ale przede wszystkim ciche, aczkolwiek pewne swego człowieczeństwo.

PAŃSTWO TO JA | „Czekając na barbarzyńców" z Łaźni Nowej ustawia w centrum walkę postaw Sędzi i Prokuratora. Gra go z zimnym metalicznym spokojem Krzysztof Zarzecki, uosabiając wszystkie dane z góry przywileje silniejszego, przyznane przez państwo, zagwarantowane przez prawo i miejsce na społecznej drabinie. Zarzecki jest jak zręczny manipulator, cyniczny orator bez sumienia, pewny swych przewag polityk, gotów rzucać najcięższe oskarżenia bez jakichkolwiek konsekwencji dla samego siebie.

Spektakl Szydłowskiego, choć utopiony w tu i teraz i przez to w jakimś stopniu interwencyjny, unika dosłownych odniesień do ludzi z pierwszych stron gazet, ale Stroll Zarzeckiego znalazłby intelektualnych i duchowych braci wśród polityków głównego nurtu, dobrze znanych z imienia i nazwiska. Wszystkich, którzy bezdusznie grają dramatem na granicy, wykrzykując jeden przez drugiego nośną formułę „murem za mundurem".

Świetna rola Zarzeckiego zdaje się rewersem jego potężnej tytułowej kreacji w „Procesie Eligiusza Niewiadomskiego". Jako zabójca prezydenta Gabriela Narutowicza miał w tamtym przedstawieniu wiernie odtworzoną z archiwalnych zapisów mowę obronną, przeradzającą się w podszyty brunatnym szaleństwem atak na państwo z tektury oraz jego obywateli.

Przywołanie zdarzeń sprzed wieku zaowocowało widowiskiem piorunująco aktualnym, bowiem w chorym, ale przerażająco logicznym występie Eligiusza łatwo rozpoznawaliśmy hasła z niedawnych kampanii, programy zyskujących na znaczeniu polityków, odpowiedzialnych za postępujące faszyzowanie Polski. A przy tym Zarzecki pokazywał to wstrząsająco.

Bez krzyku, mocnych gestów, akcentowania wewnętrznej maligny bohatera. Cichym, przeszywającym głosem, lekko wilgotnymi oczami, ukradkiem ocierając czoło i kąciki ust. Od doświadczania jego Eligiusza po plecach szedł zimny dreszcz. A teraz – w „Czekając na barbarzyńców" nowy Eligiusz wszedł w struktury siły. Sam sądzi, ale nie jest sądzony.

W STRONĘ ASCEZY | Ciekawe, że przed „Procesem Eligiusza Niewiadomskiego" zrealizował Szydłowski adaptację „Czerwonego i czarnego" Stendhala, wracając w ten sposób do teatru wielkiej skali spod znaku swych dawnych inscenizacji – „Konformisty 2029" i „Śniegu".

Dla rekonstrukcji procesu zabójcy Narutowicza znalazł jeszcze inną formę, mieszając dokument (wszystkie słowa są wzięte z autentycznych zapisów) z frenetycznym epilogiem, w którym dochodzi do ekstatycznego „przebóstwienia" Niewiadomskiego, z oskarżonego stającego się nowym bohaterem, ludowym trybunem zza grobu, bratem i przewodnikiem w ideologii.

Mimo że proces sądowy jest dla teatru (i kina) materią wymarzoną, a powieść Coetzeego wraz ze współczesnym kontekstem układa się w dojmującą całość, ostatnie przedstawienia Szydłowskiego zdecydowanie ciążą ku ascezie, skupiając się nie na inscenizacyjnych atrakcjach, a moralnej wykładni działań postaci.

Nie bez przyczyny ważnym odniesieniem w nowym krakowskim spektaklu jest historia Issy Jerjosa, 24-letniego Syryjczyka, zmarłego z wycieńczenia podczas kryzysu uchodźczego w polskiej strefie przygranicznej. Issa to Jezus, stąd tytuł książki Mikołaja Grynberga „Jezus umarł w Polsce". I stąd cicha konsekracja jeszcze jednego człowieka, który za swoją walkę zapłacił cenę życia.

Małgorzata Szydłowska na scenie Łaźni zbudowała tratwę i tam umieściła postaci wzięte od autora „Hańby". Tratwa jest prawdziwa, ale i metaforyczna, nie wiadomo, dokąd wszyscy nią płyniemy. Jesteśmy nielegalni czy legalni, czekamy na barbarzyńców, czy odkrywamy ich w sobie. Przed laty zrobił Bartosz Szydłowski własną wersję „Przypadku" Krzysztofa Kieślowskiego. Teraz, z ostatnimi swymi przedstawieniami, odwraca gest Filipa Mosza z „Amatora" – kieruje oko kamery na nas, każe nam przejrzeć się w tych obrazach.

I zamiast kina mamy nowy teatr moralnego niepokoju. Na nasze czasy. ©

eprasa.pl 3ae9b00924



PIOTR KOSIEWSKI

Adrián Kriška, „Where Even the Ravens Daren't Go", 2026 r.
Poniżej: dzień otwarcia Biennale Matter of Art, Galeria Narodowa, Praga, 11 czerwca 2026 r.

Biennale otwarte

PIOTR KOSIEWSKI Z PRAGI

SZTUKA | Ambicją twórców praskiego Biennale jest wyjście poza formułę tradycyjnego wydarzenia artystycznego. Służą temu nietypowe aranżacje wystaw, bezpłatny wstęp oraz zaproszenie publiczności do współtworzenia imprezy.



JONÁŠ VEREŠPEJ / MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 3ae9b00924



KATARÍNA HUDAČINOVÁ / MATERIAŁY PRASOWE

Dawid Czyczkan, prace z serii „With Ribbons and Flags", 2022-2024

Organizowane od 2020 r. Biennale Matter of Art w Pradze, jedno z najmłodszych tego typu wydarzeń w Europie, bardzo wyróżnia się na tle innych imprez: nie skupia się na znanych nazwiskach i nie przyciąga głośnymi wystawami. Przeciwnie, pokazuje twórczość mniej obecną lub niezauważaną w głównym nurcie.

W przypadku obecnej, czwartej edycji, kuratorzy praskiego Biennale poszukiwali sztuki niebędącej – jak podkreślają – jedynie profesjonalną działalnością, czy estetycznym towarem, lecz próbującej reagować na wyzwania rzeczywistości i ważkie zdarzenia. Sztuki, która „może przybierać formę protestu – jako sposób przetrwania i manifestacja życia – ale może być również intymnym gestem". Będącej odpowiedzią na opresję, wzmacniającą wyciszane głosy.

CODZIENNOŚĆ | Główną wystawę Biennale otwierają powstałe w latach 70. ubiegłego wieku filmy niemieckiej artystki Margaret Raspé. Pokazywane na niewielkich ekranach, przedstawiają domową krzątaninę: zmywanie naczyń, ubijanie śmietany, pieczenie. Zwykłe czynności, które nieustannie, niemalże automatycznie artystka wykonywała jako samotna matka trojga dzieci. To naturalnie opowieść o społecznej sytuacji kobiet i rolach, które są im zwyczajowo narzucane.

Nieopodal znalazła się instalacja Adriána Kriški. Przypomina ona fragment ogrodu otoczonego płotem zrobionym z drewnianych sztachet. Artysta zawiesił na nim tkaniny przedstawiające sceny z życia wsi, ale też diabły i inne postacie wydobyte z ludowych mitów. Często wyrzucane na margines, wykluczane.

Wszystko wydaje się tu bajkowe, nierealne, ale praca nawiązuje do rzeczywistego ogrodu, który artysta urządził na Fuerteventurze ze swym partnerem. Na uboczu hiszpańskiej wyspy powstało miejsce, w którym Kriška pracuje, będące jednocześnie przestrzenią spotkań i rezydencji artystycznych, pozwalającą artystom uciec od zgiełku miasta, natłoku informacji, odczuć i wrażeń.

POLITYKA | Jednocześnie są na Biennale Matter of Art prace bezpośrednio dotyczące bieżących wydarzeń. Rufina Bazlova wyhaftowała historie więźniów politycznych w Białorusi. Przypominają one o osobach i wydarzeniach, które chce wymazać reżim Łukaszenki. Artystka wykorzystuje tradycyjne białoruskie ornamenty oraz biało-czerwoną, zakazaną w jej kraju kolorystykę. Nazywa je „wyżywanką", łącząc białoruskie słowa „szyć" i „przeżyć".

Z kolei prace na papierze Dawida Czyczkana przedstawiają osoby lewicowe i anarchistów walczących w obronie Ukrainy. Dokonany przez nich wybór wynika z wierności wcześniejszym poglądom i przekonania, że antyautorytarna Ukraina jest możliwa. Niektóre z zaprezentowanych tu osób zginęły. Jak zresztą sam Czyczkan, który poległ na froncie 10 sierpnia 2025 r.

ODMIENNOŚĆ | Wiele jest na tym Biennale opowieści o odmienności. Bohaterem jednej z nich jest Jürgen Baldiga. W 1984 r. zdiagnozowano u niego HIV – wtedy zaczął fotografować. Dokumentował Berlin lat 80. XX w. oraz tamtejszą społeczność *queer*, subkultury, osoby pozostające na marginesie.

Bywał także fotografowany – niezwykłą serię zdjęć jego ostatnich lat życia wykonał Aaron Neuber. Baldiga robił też autoportrety, w których kreował wizerunek siebie jako geja. Na ostatnim z wykonanych – pokazanym na Biennale – przedstawił siebie z charakterystycznym nosem klauna, jako postać, która ma rozbawiać, zapewniać rozrywkę. Na twarzy klauna widać jednak wyraźne ślady choroby. To właśnie zdjęcie wybrał Baldiga do swojego nekrologu.

WYDARZENIA | Praskie Biennale jest czymś więcej niż tradycyjną wystawą sztuki. Nie mniej ważny od prezentacji konkretnych dzieł jest rozbudowany program ponad 50 wydarzeń: od warsztatów i debat po koncerty i pokazy filmowe.

W samym centrum głównej wystawy kolektyw Kroužek Intersekce stworzył przestrzeń, w której sam przygotowuje spotkania, ale udostępnia ją także innym na warsztaty i dyskusje. Praskie radio społecznościowe Shella organizuje na wystawie wydarzenia na żywo z setami DJ-skimi. Zrezygnowano nawet z wydania specjalnej publikacji poświęconej Biennale. Zamiast niej ukazało się okolicznościowe wydanie zinu „Fůd", skupiającego zaangażowanych społecznie twórców komiksów.

Wyraźną ambicją twórców imprezy jest wyjście poza ramy tradycyjnego wydarzenia artystycznego. Nie tylko sposób aranżacji głównej wystawy w Veletržním paláci odbiega od tego, w jaki jest zazwyczaj pokazywana sztuka, ale też sam wstęp na Biennale jest bezpłatny. Ma to umożliwić publiczności wielokrotny udział w wydarzeniach. Goście zostali również zaproszeni do współtworzenia imprezy.

Założony w 1998 r. indonezyjski kolektyw Taring Padi, łączący sztukę z działaniami społecznymi i politycznymi, ↦

eprasa.pl 3ae9b00924



JONÁŠ VEREŠPEJ / MATERIAŁY PRASOWE X2

Po lewej: Liliana Zeic, praca z cyklu „Korzyści z BDSM dla osób po traumie", 2026 r. Poniżej: Cezary Bodzianowski, „Herbalife", 2023 r.



↦ poprosił ochotników o wykonanie figur, które można wykorzystać na protestach. Znalazły się one na praskim Biennale, ale po jego zakończeniu wrócą do twórców: będą mogły być wykorzystane w akcjach ulicznych.

POSTSZTUKA | Polski krytyk i teoretyk sztuki Jerzy Ludwiński pisał przed laty, że „dzisiaj nie zajmujemy się już sztuką. Po prostu przegapiliśmy moment, kiedy przekształciła się ona w coś zupełnie innego, coś, czego nie potrafimy już nazwać. Jest jednak rzeczą pewną, że to, czym zajmujemy się dzisiaj, posiada większe możliwości".

„Postsztuka" – bo tak ją określił – nie miała być końcem sztuki jako takiej, lecz jej zmianą. Adaptacją do zmieniającego się świata i postawieniem znaku równości między sztuką i rzeczywistością.

Minęło co prawda ponad pół wieku od napisania przez Ludwińskiego tych słów, ale okazują się one bardzo aktualne – termin „postsztuka" zrobił zresztą w ostatnich latach zawrotną karierę. Praskie Biennale, pragnące tak bardzo konfrontować się ze współczesnością, do przeszłości sztuki wielokrotnie się odwołuje.

Znalazły się na nim nie tylko prace Margaret Raspé, ale też m.in. Ştefana Bertalana, jednej z najważniejszych postaci rumuńskiej neoawangardy. Zobaczymy też dzieła tworzącego niezwykłe futurystyczne wizje przyszłości Ukraińca Fedira Tetianycza czy Nosrata Karimiego, jednego z pionierów irańskiej animacji.

Samo Biennale odbywa się także w przestrzeniach poza Pragą, m.in. w Pardubicach, 90-tysięcznym mieście położonym godzinę drogi pociągiem od stolicy Czech. W tamtejszej GAMPA – Galerii Miejskiej zbudowanej na terenie dawnych Młynów Winternitza – skupiono się na twórczości artystek i artystów, między innymi pochodzących z Polski.

POLACY | Na wystawie zobaczymy m.in. prace Cezarego Bodzianowskiego i Liliany Zeic. Nasi rodacy są tu jednak szerzej obecni: jednym z kuratorów Biennale został związany z łódzkim Muzeum Sztuki Jakub Gawkowski, a w Veletržním paláci prezentowane są prace Nadii Markiewicz i Cezarego Poniatowskiego.

Bodzianowski w swych rzeźbach wykorzystuje... torebki herbaty. Delikatne i niewielkie, poplamione, zazwyczaj wyrzucane natychmiast po użyciu. Artysta tworzy z nich niewielkie obiekty, których używa do zaaranżowania scenek. Dziwacznych, trochę absurdalnych. Przekształcone w poetyckie przedmioty torebeczki po herbacie zostają przez niego ocalone. Stają się dziełami sztuki, a jednocześnie z trudem poddają się rygorom rynku, który jest w stanie wchłonąć już niemalże każdą aktywność artystyczną.

Kuratorzy imprezy zrezygnowali z wydania specjalnej publikacji poświęconej Biennale. Zamiast niej ukazało się **okolicznościowe wydanie „Fůd", zinu skupiającego twórców komiksów.**

Z kolei Liliana Zeic wykorzystuje intarsję, technikę bardzo trudną, pracochłonną, wymagającą ogromnej precyzji i cierpliwości. Tworzy drewniane panele, na których przedstawia rośliny i ludzi, przede wszystkim kobiety, nagie, czasami samotne, ale też odprawiające tajemnicze rytuały. To prace mówiące o erotyzmie, pożądaniu. Zeic nie unika przy tym tematów trudnych, a nawet kontrowersyjnych. Na Biennale znalazły się m.in. jej prace z cyklu „Korzyści z BDSM dla osób po traumie", w których stawia pytanie o to, czy spychane na margines i uznawane za tabu praktyki erotyczne mogą wspierać proces zdrowienia.

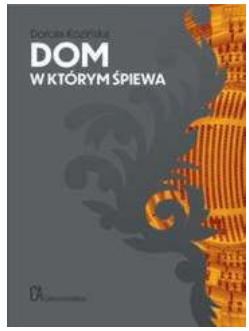
Prace Zeic wydają się skrajnym przeciwieństwem herbacianych dzieł Bodzianowskiego. Jednocześnie świetnie się dopełniają. Największą zaletą Biennale Matter of Art jest chyba właśnie nieustanne przypomnienie, że nadal jest tu miejsce na bardzo różne wybory artystyczne. I na naszą ciekawość tego, co odmienne.

© PIOTR KOSIEWSKI

BIENNALE MATTER OF ART w Pradze trwa do 13 września. Wstęp jest bezpłatny.

eprasa.pl 3ae9b00924

▪ *Dorota Kozińska*
DOM, W KTÓRYM ŚPIEWA
Centrum Architektury



Koncertowe wędrówki, w których wychodzi się z roli turysty – wędrówki z ogromną wartością dodaną – są podróżami niemającymi sobie równych. I to może być pierwszy wniosek, który uderzy czytelnika książki Doroty Kozińskiej. „Dom, w którym śpiewa" nie jest bowiem wynikiem pieczołowitego zbierania materiału do zrealizowania założonego celu. Jest rezultatem fascynacji wszystkim, co wiąże się z przeżywaniem oper nie tylko jako arcydzieł muzyki, ale i kultury – czyli także ich oprawą, miejscem w przestrzeni i miejscem w życiu odbiorców tej sztuki. Następnie uzupełnionym owym pieczołowitym zbieraniem materiału, by opowieść była precyzyjna i pełna treści. 31 portretów europejskich teatrów operowych z różnych względów bliskich sercu autorki to oczywiście „case studies", i jako takie przydadzą się każdemu, kto chce w jakikolwiek sposób myśleć o architekturze czy przestrzeni teatralnej. Jednocześnie jednak układają się w narrację – prowadzi ona czytelnika przez ewoluujące sposoby patrzenia na teatr operowy i jego zróżnicowane znaczenie dla odbiorców na przestrzeni czterech stuleci istnienia tego gatunku, w bardzo różnych środowiskach kulturowych. Narracja to indywidualna, historia jednak przeziera przez tę wędrówkę. Pojawia się nie tylko dzięki obecności niektórych najsłynniejszych i najważniejszych scen, ale i przy mniejszych, które okazują się reprezentantami jakiegoś nurtu. Choć więc brak tu np. wzorcowego San Carlo z Neapolu, albo ważnej Semperoper w Dreźnie – to jednak widownia na planie podkowy znajduje omówienie w idealnym dziele Giuseppe Galli da Bibieny, Teatrze Margrabiów w Bayreuth, a scena romantyczna ma swą reprezentację choćby w paryskim Palais Garnier. Jest i La Scala, i La Fenice, i Covent Garden, i Teatr Wielki w Warszawie, lecz może najciekawsze okazują się portrety teatrów mniej emblematycznych – zwłaszcza w Anglii i w Niemczech, choć przecież zalicza się do nich i spektakularny gmach Opery w Atenach. Autorka zabiera nas więc w podróż nie podręcznikową, nie encyklopedyczną, lecz... czysto operową. Opis każdej kolejnej sceny jest niczym kompletny akt dzieła. Istotne jest przedstawienie nie tylko historii budowy, ale samego znaczenia teatru zarówno dla publiczności historycznej, jak i – co nie mniej ważne – dla współczesnej. A także dla indywidualnego odbiorcy – samej autorki. Znikają wtedy i sprawne opisy konstrukcji, i okrągłe zdania, jakimi architekci uwielbiają uzasadniać swoje często nieczytelne w inny sposób koncepcje. Pojawiają się kaczki edredony, dzielące przestrzeń z gośćmi wynurzającej się z zatoki Opery w Oslo, ścieżki prowadzące do najwyraźniej bajkowego budynku Grange Park Opera w sielskiej scenerii angielskiej countryside, „escherowskie" odwrócone schody z brutalistycznego budynku-rzeźby w Sankt Gallen, albo odległy widok Akropolu, z tarasu teatru Stauros Niarchos, którym Renzo Piano „przywrócił" łączność Aten z morzem. Opera obejmuje widza nie tylko sceną i muzyką, ale całą swoją przestrzenią. Także, gdy się w nią wczytać.
© JAKUB PUCHALSKI


CDA S.A.

▪ **KAPITAN BOMBA „WIELKI POWRÓT"**
YouTube
scenariusz i reżyseria: Bartosz Walaszek

Mówiliśmy już Pasikowskim, Sapkowskim i Żulczykiem, a od niespełna dwudziestu lat na polszczyznę swój cień rzuca także Bartosz Walaszek. Nasi znajomi ze szkoły i akademika oglądali kręcone po partyzancku pod banderą Z.F. Skurczu filmowe klasyki, takie jak „Wściekłe pięści Węża" czy „Sarnie żniwo". Najprawdopodobniej wszyscy trafialiśmy również na jakieś obsceniczne, ale podejrzanie celnie oddające polską rzeczywistość cytaty z licznych animacji dla dorosłych, wyprodukowane przez Walaszka i jego Git Produkcję. Przez ostatnie dekady wyobraźnię Polaków kształtowały tytuły takie jak „Koleś Git", „Koń Rafał" czy wreszcie – najważniejszy ze wszystkich – przebój 4fun.tv, „Kapitan Bomba". Gdy 12 lipca na oficjalnym kanale Walaszka pojawił się „Wielki powrót", czyli 30-sekundowa produkcja o nowych przygodach kultowego bohatera, fani nabrali nadziei na więcej.
Nie ma się co dziwić. Przygody Tytusa Bomby, kapitana Gwiezdnej Floty walczącego ze „złymi kosmitami, którzy opanowali galaktykę Kurwix", zaczynały jako topornie animowane w technice wektorowej, trwające minutę-dwie miniaturki w konwencji czarnej komedii *science fiction*. Za wulgarnym humorem czaiła się bezbłędna satyra na polską rzeczywistość z przełomu pierwszej i drugiej dekady XXI w. Wiele mówiło się tu o cwaniactwie, biedzie, hipokryzji władz, obśmiano spory wokół żałoby po katastrofie smoleńskiej.
Sam Bomba parodiował bohaterów kina akcji XX w. Przede wszystkim jednak Walaszek i jego bohater pomogli nam pobawić się rodzimą prześnością. Długie lata staraliśmy się ją wymieść, zwłaszcza z dużych miast, a w produkcjach Walaszka uderzała ona ze zdwojoną siłą, dając się lubić. Nawet po tym, jak 4fun.tv zamknięto, a kwestie praw do marki stały się niejasne i twórca musiał się zająć innymi projektami w podobnym tonie („Blok Ekipa", „Porucznik Kabura", „Egzorcysta", znany też jako „Bogdan Boner: Egzorcysta"), fani pytali z utajoną życzliwością „Walaszek, grubasie, kiedy nowy Bomba?". Czas pokaże, czy udzielona 12 lipca odpowiedź to jednorazowy wyskok czy faktycznie „Wielki powrót".
© HUBERT SOSNOWSKI

eprasa.pl 3ae9b00924

Wakacje z potworami

ANITA PIOTROWSKA

FILM | „Kandydaci Śmierci" to zarazem zapis powstawania niskobudżetowych horrorów i poruszająca dokumentacja chłopackiego dorastania.

Czasem poleje się z ekranu zbyt dużo czerwonej farby, przekrzywi się gumowa maska, a obraz gubi ostrość – nie szkodzi! Młodzi bohaterowie filmu Macieja Cuskego przez kilkanaście lat kręcili pod okiem reżysera bardzo niskobudżetowe horrory, gatunek szczególnie deficytowy w polskim kinie. Oglądała je w internecie garstka widzów, choć dzisiaj pewnie znajdzie się ich więcej. O filmowej serii „Kandydaci Śmierci" powstał bowiem dokument pod tym samym tytułem, który na festiwalach gromadzi tłumy, chwyta za serce, wyzwala salwy śmiechu i rozpala debaty aż do świtu.

Trudno byłoby znaleźć współczesny polski film dotykający tylu silnie unerwionych miejsc równocześnie. Czyli zdrowego dorastania i dobrego ojcostwa, międzypokoleniowej komunikacji i zwykłego kumpelstwa, wrażliwej męskości i odnalezienia się we wspólnej pasji. Wreszcie – coraz większej tęsknoty za życiem analogowym, w którym wakacje stają się małą szkołą przetrwania i ekscytującą zabawą na łonie natury, lecz także wolnością od życia *online* i po prostu byciem razem.

Między innymi dlatego – żeby odspawać dorastającego syna od komputera – Cuske zabierał Staszka wraz z dwójką kumpli i czarną suczką Frunią na letnie wypady z kamerą. Zamiast być zombiakami grającymi dzień i noc w gry RPG, zaczęli kręcić filmy o zombiakach i o innych straszliwych stworach. A reżyser nie tylko kierował tą amatorską produkcją, ale również utrwalał tamte chwile – z planów zdjęciowych w lasach i wiejskich chatach, z wieczorów przy ognisku, pluskania się w rzece i zimnych poranków w namiocie. „Kandydaci Śmierci" stanowią więc zapis tego, jak rok po roku powstawały te wakacyjne symfonie grozy. Przede wszystkim jednak są poruszającą dokumentacją chłopackiego dorastania.

Właśnie to zestawienie uchwyconej na gorąco letniej przygody (i przyrody) z upływającym czasem działa najmocniej. Widzimy, jak Adi, Rafał i Staszek powoli przestają być beztroskimi chłopcami, a film zmontowany został przez Katarzynę Orzechowską w taki sposób, że bohaterowie zmieniają się dosłownie na naszych oczach. I nie tylko fizycznie – bo coraz trudniej znaleźć im czas czy dawny filmowy zapał, a drogi niegdysiejszych kumpli z piaskownicy powoli się rozchodzą.

Mimo to, wraz z nadejściem kolejnego lata, zostawiają za sobą na chwilę swoje prace, studia, dziewczyny, żeby znowu filmować swoje potwory. Oczywiście wraz z „panem Maciejem", który coraz bardziej melancholijnie przygląda się podopiecznym – za każdym razem może to być ostatnia odsłona „Kandydatów". Od początku reżyser opowiada nam tę historię własnym głosem, przy okazji odsłaniając w niej także siebie.

Dlatego dokument Cuskego staje się czymś więcej niż kinem o zaraźliwej pasji do kina. Wylogowani ze zwykłej codzienności młodzi bohaterowie naprawdę ze sobą rozmawiają, podobnie jak syn z ojcem. Wobec ostentacyjnej sztuczności tych wszystkich inscenizacji z zombiakami i kosmitami, na tle łobuzerskich akcji, przekomarzanek, powtarzanych w nieskończoność dubli, intymne pogaduchy, odbywane na różnych etapach życia, rozbrajają swą szczerością. Okazuje się, że można w takim nieustawionym męskim kręgu mówić otwartym tekstem o przyjaźni i miłości, o seksie czy o śmierci. I jeszcze to uczciwie zarejestrować. Ów międzypokoleniowy dialog znajduje dopełnienie w rozmowach telefonicznych Maćka z chorym na demencję ojcem i opiekującą się nim matką. Tak, wszyscy jesteśmy „kandydatami śmierci".

Operując materią o takiej „łatwopalności", bez trudu można było przekroczyć jakieś granice – ekshibicjonizmu czy sentymentalizmu, na przykład w bardzo



MATERIAŁY PRASOWE

emocjonalnej scenie, kiedy ojciec czyta Staszkowi swój dziennik z czasów narodzin syna. Lecz ogólny ton tej opowieści jest raczej ciepło-szorstki. A potraktowany nielinearnie dystans czasowy nadaje tym zwierzeniom narracyjnego oddechu. Nieustanne przenikanie się twarzy młodszych bohaterów z dzisiejszymi przestaje koncentrować się w pewnym momencie na samej ich przemianie i zanurza nas w kontinuum życia – efekt rzadki do osiągnięcia w dokumencie.

Cuske, jako się rzekło, kieruje też kamerę na siebie. Robił to już wcześniej, prawie dwie dekady temu, w filmie „Pamiętaj, abyś dzień święty święcił", zrealizowanym w ramach telewizyjnego cyklu „Dekalog... po Dekalogu". Sfilmował wówczas rodzinne przygotowania do pierwszej komunii swego syna i mimo ukazanych na ekranie różnic światopoglądowych czy pokoleniowych, uniknął konfrontacyjnego tonu. W „Kandydatach Śmierci" jest podobnie. Bydgoski reżyser, który bynajmniej nie kreuje się na „fajnego tatę", stroni również od drapieżnych rozliczeń z ojcostwem. Twórca „Wieloryba z Lorino" reprezentuje starą dobrą szkołę dokumentalną, w której najbardziej liczy się obserwacja. Wie, że czasem więcej mówi o bohaterze skupienie się na jego twarzy, wytrzymanie milczenia czy zapatrzenie się w surowy pejzaż niż namnażanie filmowych atrakcji.

„Może mam w sobie coś z Pana Samochodzika?" – żartował Cuske w jednym

eprasa.pl 3ae9b00924



„KANDYDACI ŚMIERCI”
– reż. Maciej Cuske. Prod. Polska 2026. Dystryb. Against Gravity. W kinach od 7 sierpnia.

Maciej Cuske należy do czołówki współczesnych polskich dokumentalistów. Jego filmy, jak „Kuracja” (2004), „Antykwariat” (2005) czy „Elektryczka” (2006), nagradzane były na wielu festiwalach, nie tylko krajowych. Podobnie „Wieloryb z Lorino”, który zdobył także nagrodę Orzeł dla najlepszego polskiego dokumentu roku. Jest absolwentem Szkoły Wajdy, gdzie prowadzi zajęcia.

Na zdjęciu: kadr z filmu „Kandydaci Śmierci”

z wywiadów, mówiąc o współdzieleniu swojej pasji. Wielu też skojarzy jego film z klimatem dawnych przygodowych książek dla młodzieży. Ale zapętlenie opowieści w czasie i stopniowa zamiana ról przypomina też o sztafecie pokoleń – w sferze wymiany doświadczeń i na polu zawodowym.

Cuske przywołuje więc czarno-białe archiwalia z czasów, kiedy był członkiem kolektywu filmowego Paladino. Jednocześnie w epilogu przypomina, że Staszek, którego poznaliśmy jako „kandydata” w wieku lat trzynastu, poszedł w ślady ojca i jest dzisiaj utalentowanym operatorem filmowym. Stworzył między innym bardzo autorskie zdjęcia do nagradzanego dokumentu „Silver” Natalii Koniarz, pracował także przy „Ojczyźnie” Pawła Pawlikowskiego, „Strefie interesów” Jonathana Glazera czy przy „Hamnecie” Chloé Zhao. A filmowy Rafał (Waraczewski) skończył reżyserię i pewnie jeszcze o nim usłyszymy.

Niezależnie od tych happy endów, „Kandydaci Śmierci” pozostawiają swego widza z nadzieją, że być może jeszcze nie wszystko stracone dla tego świata – dopóki chce się z kimś rozpalać ogniska, budować tratwy, kręcić zwariowane filmy bez budżetu. Oraz przełączać się z trybu mówienia, nauczania, reżyserowania na słuchanie i uczenie się. Nazywa się taki wspólny czas „jakościowym”, lecz film Cuskego obywa się bez modnych słów. ©

Lektor:
Powieść odzyskana



▪ *Maciej Płaza,*
KASPERL I MARGIT,
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026

Takich powieści już się prawie nie pisze. I nie chodzi mi tylko o rozmiary, ale o przemyślaną konstrukcję, charakterystykę postaci i wpisanie akcji w historyczne tło, zupełnie nie pretekstowe. No i język!

Mamy dwoje głównych bohaterów – i dwie odmienne, przeplatające się narracje. Margit, czyli Małgorzata Krzyńska, szlachcianka (Margit to będzie jej aktorski pseudonim) opowiada staranną polszczyzną, wedle reguł realistycznej powieści. Kasperl, syn prostytutki z nieznanego ojca, mistrz akordeonu i ulicznej ballady, na naszych oczach dorastający do rozumienia świata, ma swój własny język pełen poznańskich regionalizmów; otrzymujemy nawet ich bardzo przydatny słowniczek. Przekręca też niemal wszystkie słowa nieco trudniejsze (bardzo mi się spodobało „świnisterstwo”) oraz nazwiska (Paderewski staje się więc Pazurowskim).

Skąd Paderewski? Daty, otwierające poszczególne rozdziały, obejmują okres od 1903 roku – wtedy Helena Modrzejewska w roli Lady Makbet zaraża młodą bohaterkę teatralną pasją – do 1934. Po drodze jest więc rok 1918 i powstanie wielkopolskie, kiedy Paderewski przemawia do tłumu przed poznańskim hotelem Bazar. Nie znam opisu tego wydarzenia równie brawurowego jak u Płazy. To samo zresztą dotyczy rewolucji berlińskiej.

Berlin jest bowiem drugim miejscem akcji tej powieści, a przed nami pojawiają się wielkie postaci niemieckiej kultury lat 20., jak Max Reinhardt, Friedrich Wilhelm Murnau czy Bertolt Brecht. Autor zastosował przewrotny chwyt, o którym tak mówi w rozmowie z „Mint Magazine”:

„Pisząc, wpadłem na szatański pomysł, żeby przedstawić fikcyjną, wywrotową genezę wielu autentycznych dzieł sztuki. Znany jest aforyzm mówiący, że imitacja jest najwyższą formą uznania. Na swój użytek wywróciłem go na lewą stronę: najwyższą formą uznania jest w moim wykonaniu wymyślenie danemu twórcy fikcyjnej, wywrotowej genezy jego dzieł. To znaczy, że Mann [w „Wyznaniach hochsztaplera Feliksa Krulla” – przyp. Lektor] zainspirował się postacią mojego bohatera, a Brecht wprost kradł od Kasperla różne pomysły (...). W ten sposób składam hultajski ukłon autorom, których cenię”.

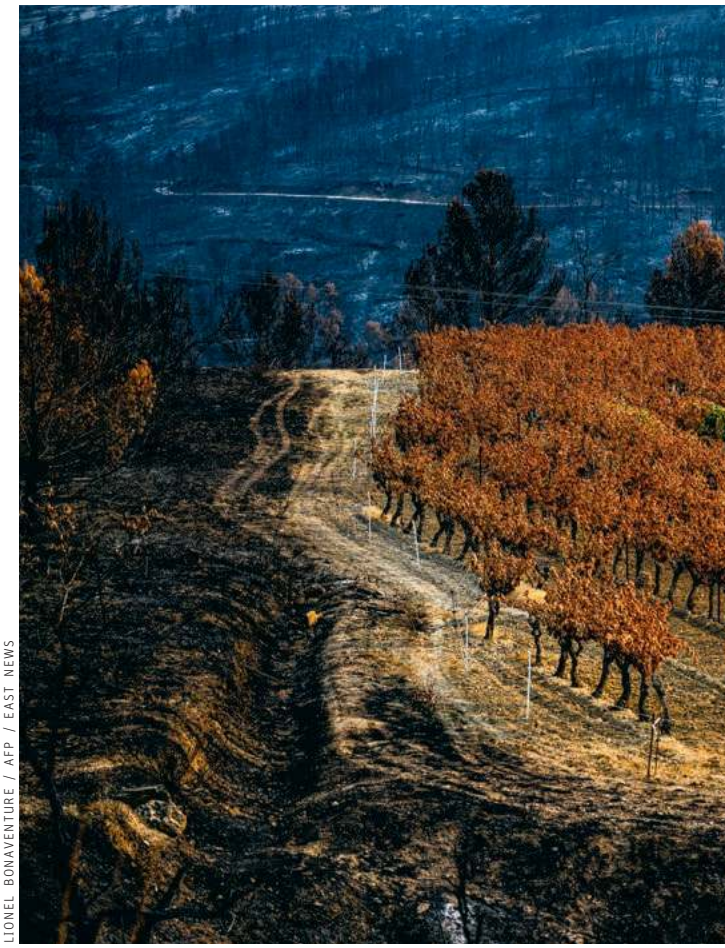
To czwarta, po „Skoruniu”, „Robinsonie z Bolechowa” i „Golemie”, powieść Płazy, także tłumacza i autora pracy o twórczości Lema. Wszystkie były dobre – ale ta jest niezwykła! Czytajcie, a dowiecie się, jak los połączył Kasperla i Margit. I dlaczego ostatnim słowem niezbyt wesołej historii jest „śmiech”. ©℗

eprasa.pl 3ae9b00924

PAWEŁ

Bravo:
Dymy nad winnicą





LIONEL BONAVENTURE / AFP / EAST NEWS

Izawiśnie nad wydmą Piłata chmura ognista, a kiedy wieczór nastanie i znużony zamieszasz w kadzi z winem, w ustach swoich swąd i gorycz będziesz czuł. Nie kartkujcie gorączkowo kieszonkowych Biblii, to nie jest test na znajomość Objawienia św. Jana. Tyle razy się nasłuchałem o apokalipsie pożarów w Żyrondzie, że pozwoliłem sobie na małą improwizację. Uczeni w piśmie lingwiści niech nie podnoszą kamieni, wiem, że największa w Europie wydma nieopodal brzemiennej w ostrygi zatoki Arcachon swoją nazwę „du Pilat" zawdzięcza nie prefektowi Judei, tylko słowu z języka gaskońskiego na określenie wielkiej kupy czegoś. Piasku albo np. wytartych słów. Kiedy nad miasteczkiem Saumos zawisł wielki *pyrocumulonimbus*, czyli pełnoskalowa chmura burzowa wygenerowana przez pożar i ten pożar jeszcze podsycająca, scena rzeczywiście mogła nie mieścić się w naszych zwyczajnych wyobrażeniach i wołać o nadprzyrodzone metafory.

Sęk w tym, że apokalipsa już nie robi takiego wrażenia. To ostatnie stale i nazbyt często obecne w mediach słowo z przepastnego i jakże plastycznego zasobu obrazów Dobrej Nowiny, a szkoda. Bardzo by mi się podobało, gdyby dział polityczny również w naszej gazecie nazywał się np. „groby pobielone", a strony poświęcone rynkom finansowym „jaskinia zbójców".

Pożary, jako się rzekło, trawią tę część regionu, która zaleca się plażami i ostrygami, a do wielkich bordoskich winnic jest jeszcze parędziesiąt kilometrów. Ale człowiek, zdolny chronić na rozliczne sposoby krzewy przed mrozem czy gradem, nie wymyślił żadnego jeszcze sposobu, by chronić je przed chmurami sadzy, dla których te kilometry to fraszka. Mogą się zakraść jak złodziej w nocy i spowić dojrzewające właśnie grona w kluczowej fazie, kiedy jeszcze budują swoje bogactwo aromatyczne. Podła natura tzw. skazy dymnej polega na tym, że nie czuć jej, gdy się rozgryzie owoc. Dopiero w trakcie fermentacji wniknięte pod skórkę substancje rozpadają się i uwalniają z powrotem smrodliwe cząstki. Np. gwajakol – nikomu z mojego pokolenia nie muszę przypominać, jakie to paskudztwo, a młodszym tylko napomknę, że traumatyzowano nas bakteriobójczym syropem na gardło z tym związkiem w nazwie. Jeśli zastanawiacie się, jak może smakować smolisty ściek z kadzi, w którym diabły płuczą swoje brudne szmaty po szychcie przy kotle z grzesznikami, to wam opowiemy.

Podobnie może się dziać z winem, jeśli chmura osiądzie na dłużej. Tylko wysłanie próbki jagód do laboratorium pozwala winiarzowi zawczasu ocenić, czy i do jakiego stopnia tegoroczne zbiory szlag trafił. Możliwości oczyszczenia gotowego wina z dymnych nut są bowiem dość ograniczone. Mimo że wielkie i najbogatsze piwnice od dawna korzystają z zaawansowanych technik manipulacji smakiem, znanych z innych sektorów branży spożywczej, gdzie przemysłowe elementy procesu nie stanowią aż takiego tabu jak w przypadku wina. Dość powiedzieć, że winiarze jako jedyni nie muszą deklarować na etykietach żadnego z parudziesięciu dodatków, jakie zgodnie z prawem wolno im stosować, by coś winu dodać lub coś odjąć, z wyjątkiem dwutlenku siarki. Ten akurat jest jedną z najpoczciwszych i „tradycyjnych" substancji konserwujących, jeśli przez tradycję rozumiemy coś, czego mogła użyć albo jadła nasza babcia w bliżej nieokreślonym nostalgicznym „dawniej".

Dawność jako smak jest naczelną i emblematyczną pułapką dla naszej konsumenckiej duszy poddanej marketingowej presji. Jeśli uważnie studiować archiwalne receptury, to widzimy, że w epoce braku „chemii", czyli nowoczesnych konserwantów, rzekomo zdrowi przodkowie musieli pochłaniać znacznie większe stężenia soli i octu, które dla naszych podniebień byłyby wstrętne. Dobrze, że ocet nadal nie przeszkadza nam choćby w majonezie, dlatego nawet giganci w branży mogą nadal nas zapewniać, że nie dodają konserwantów. Zawsze mnie to bawiło, że kupując majonez kielecki (ponad 30 tysięcy ton rocznie) czujemy się mimo wszystko „domowo". Pomaga w tym oldskulowa obciachowość etykiety, która wygląda jak nietknięta przez żaden brend enelajzys, ale jest w tym jakaś ogólniejsza i trudno uchwytna poczciwość. Może nie od rzeczy

eprasa.pl 3ae9b00924



Winnice po pożarach w południowej Francji. Fontjoncouse, 18 sierpnia 2025 r.

jest tu spółdzielcza forma własności producenta? Podobnie jak drugiego mojego faworyta, czyli kętrzyńskiego, również w rękach społemowców.

Wiedzieliście, że nowy premier rządu JKM Karola III wcale nie jest z Partii Pracy? Tylko z Partii Spółdzielczej, takowa istnieje w Wielkiej Brytanii od ponad stu lat i na mocy umowy wystawia posłów pod szyldem laburzystów. W wielu swoich wypowiedziach Andy Burnham (skądinąd pierwszy katolik na tym urzędzie, jest i o tym mowa w numerze) daje poznać po sobie, że idea samoorganizacji w małej skali jest mu bardzo bliska. To tkacze z Rochdale pod Manchesterem jako pierwsi założyli pierwszą kooperatywę spożywczą już w 1844 r., więc zrozumiałe, że renesans spółdzielczości jako projektu parapolitycznego najpierw dzieje się na Wyspach. Ale i w Polsce mamy mocne dziedzictwo. Hasło „Społem!" wymyślił Żeromski dla czasopisma, które robił przecież z Abramowskim i innymi ludźmi, przy których większość różnych polskich tzw. lewic to karzełki. Wszyscy wiemy, jak bardzo tę nazwę obrzydził PRL ze swoim opresyjnym handlem – zalał ideę oddolnej zmowy gwajakolem monopolu i totalizmu. Skoro dawno w dorosłość weszły roczniki leczone smaczniejszym syropem, to może warto też, byśmy wreszcie rozpoznali, jak bardzo potrzebujemy być społem, nie tylko kiedy chodzi o majonez.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Majonez pomarańczowy

Staram się być bezpartyjny i nie podsycać żadnej z naszych polaryzacji, ale w tym wypadku nie umiałem zachować neutralności w najbardziej bolesnym polskim podziale konsumenckim. Zwolenniczki i zwolenników Dekoracyjnego przepraszam, może pogodzimy się nad dwoma wariantami domowymi, które warto wypróbować. Jeden to technicznie nie majonez, ale świetny jego zamiennik, który pozwala ocalić resztki z rosołu – mianowicie miksujemy wyjęte zeń 2 marchewki, 1 pietruszkę i mały kawałek selera oraz cebuli z łyżeczką musztardy i taką ilością oliwy, żeby uzyskać dość gęsty krem, który na koniec rozprowadzamy do żądanej konsystencji jogurtem greckim. W drugim wypadku należy zachować najprostszy sposób postępowania z majonezem robionym w domu.

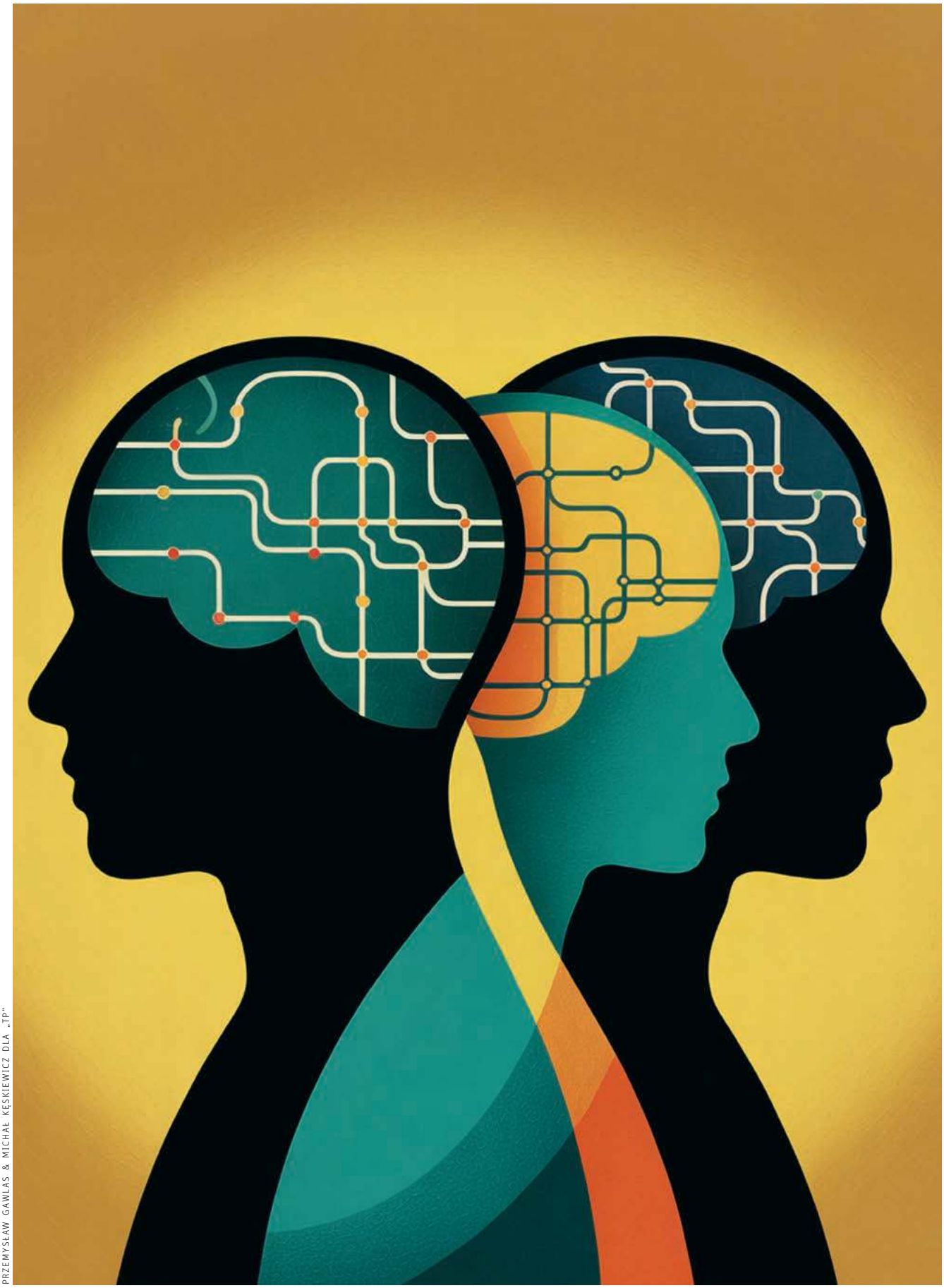
SKŁADNIKI:
2 żółtka 150 ml neutralnego smakowo oleju ▪ sok z połówki dużej pomarańczy (albo całej, jeśli mała) plus skórka ▪ sól

Do wąskiego wysokiego naczynia, w którym mieści się ciasno noga blendera (albo po prostu firmowego kielicha, który był w opakowaniu) wbijamy żółtka, wlewamy sok z pomarańczy i odrobinę oleju, solimy. Zanurzamy blender do końca, włączamy na niskie obroty, trzymamy nieruchomo kilkanaście sekund, aż mieszanina zacznie gęstnieć. Następnie jedną ręką dolewamy bardzo powoli resztę oleju, a drugą wyciągamy pomalutku jednostajnym ruchem blender ku górze, a następnie pomalutku opuszczamy. Dwa takie ruchy góra-dół powinny wystarczyć, na wydaniu dodajemy skórkę. Oczywiście taki majonez jest niestabilny w porównaniu z przemysłowym i należy go raczej spożyć od razu. ©℗



ADOBE STOCK

eprasa.pl 3ae9b00924



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

eprasa.pl 3ae9b00924

PSYCHE

URAŻENI

PROF. DARIUSZ DOLIŃSKI, PSYCHOLOG SPOŁECZNY:

Oczekujemy, że inni uznają naszą perspektywę za kluczową, jak to robi nasz psychoterapeuta. Chcemy być rozumiani i wysłuchani, a nie rozumieć i wysłuchiwać innych.

EWA PĄGOWSKA: Pewna polska firma z branży turystycznej opisała na LinkedInie sytuację, która ją zaskoczyła: po wysłaniu newslettera z okazji Dnia Matki dostała wiele odpowiedzi typu: „jestem z domu dziecka, dzięki za przypomnienie", „ja nie mam matki, dzięki za wzięcie tego pod uwagę". I nie była jedyną firmą, która opowiadała o takich reakcjach. Co tu się wydarzyło?

PROF. DARIUSZ DOLIŃSKI, PSYCHOLOG SPOŁECZNY: Ignorowanie perspektywy osoby, do której się zwracamy, nieróżnicowanie komunikatów i sposobu wypowiadania treści w zależności od odbiorców, jest według amerykańskiej psycholożki prof. Ellen Langer jednym z podstawowych błędów komunikacyjnych.

Zastanawiam się, kto w tej historii zignorował cudzą perspektywę – nadawca czy odbiorca.

Akurat w tej historii mamy do czynienia z egocentryzmem po stronie odbiorcy komunikatu. To, jak trudno jest przyjąć perspektywę drugiego uczestnika komunikacji, dobrze pokazuje eksperyment nazywany „Zadaniem Dyrektora", który wymyślił amerykański psycholog poznawczy Boaz Keysar.

Proszę go opisać.

Wyobraźmy sobie, że między panią a mną stoi regał z kwadratowymi wnękami. Niektóre są puste, w niektórych stoją jakieś przedmioty, a część jest zasłonięta od pani strony, więc tylko ja widzę, co jest w środku. Pani zadanie polega na wydawaniu mi poleceń, a moje na ich wykonywaniu z uwzględnieniem pani perspektywy. Powiedzmy, że pani mówi: „Proszę przenieść śrubokręt na półkę wyżej". Jeśli śrubokręt jest widoczny i dla pani, i dla mnie, nie będę mieć problemu z tym zadaniem. Ale wyobraźmy sobie, że na regale są trzy świeczki różnej wielkości. Pani widzi tylko dwie, bo ta malutka stoi na półce, która od pani strony jest zasłonięta. Jeśli usłyszę: „Proszę małą świeczkę położyć nad kłębek wełny", to nie powinienem przesuwać najmniejszej świeczki, bo wiem, że pani jej nie widzi, tylko świeczkę średniej wielkości, bo dla pani to właśnie ona jest mała.

Jak zachowywali się uczestnicy eksperymentu?

W 17 procentach prób badani w ogóle nie potrafili przyjąć perspektywy drugiej osoby. Przenosili najmniejszą świeczkę, w 6 procentach wyciągali rękę w jej kierunku, ale po chwili się reflektowali i sięgali po średnią.

Czyli w większości prób wykonywano zadanie prawidłowo.

Tak, tylko proszę pamiętać, że oni wiedzieli, że mają przyjąć perspektywę drugiej osoby. W codziennej komunikacji raczej nie stawiamy przed sobą takiego zadania. Poza tym Keyser śledził też ruchy gałek ocznych u badanych i na tej podstawie wyciągnął wniosek, że wykonanie tego zadania wymagało zastanowienia się, pewnego wysiłku.

Egocentryczna perspektywa jest jednak niesamowicie silna. U każdego. Bez względu na to, czy słucha, czy mówi. To można zaobserwować w wielu codziennych sytuacjach. Weźmy artykuły publikowane w internecie, które opisują jakąś teorię czy zjawisko, coś, co dotyczy szerszej grupy, a ktoś w komentarzach pisze: „To jest kompletna bzdura, bo ja mam inaczej, to do mnie nie pasuje". Wychodzi z założenia, że jeśli coś nie zgadza się z jego prywatnym doświadczeniem, musi być bzdurą.

Podobnie było z oburzonymi odbiorcami newslettera, o których pani opowiadała. Ich zachowanie uważam za dziecinne. Jest rzeczą oczywistą, że ktoś, kto redaguje newsletter dla osób cierpiących na bezpłodność, nie powinien pisać w nim o Dniu Dziecka. Natomiast w przykładzie, od którego zaczęliśmy, chodziło o większą grupę osób, które łączyło zainteresowanie podróżami. Ich sytuacje życiowe mogły być różne. Nie ma powodu, by autor newslettera o Dniu Matki miał poczucie winy, ale może w przyszłości postarać się w jakiś sposób uwzględnić to, że niektóre osoby poczuły się urażone. ↦

eprasa.pl 3ae9b00924

Czy dziś łatwiej człowieka zranić?

Danych na ten temat nie znam. Natomiast jak wynika z badań Jean Twenge i jej współpracowników, narcystyczna postawa stała się bardzo powszechna w pierwszej dekadzie XXI w.

Najnowsze wyniki zaprezentowane przez Jakoba Pietschniga wskazują jednak na to, że ten trend wzrostowy zatrzymał się mniej więcej dwadzieścia lat temu i dalszego przyrostu narcyzmu traktowanego jako cecha osobowości już nie ma. Zwiększyła się natomiast ekspresja werbalnych przejawów narcyzmu, co zaobserwować można choćby w mediach społecznościowych. Najwyraźniej przestajemy się wstydzić swojego egoizmu i egocentryzmu. To nas skłania do tego, by od razu informować świat o swoich emocjach czy refleksjach. Niektórzy czują się do tego wręcz zobligowani, a nowoczesne technologie im to umożliwiają. To jest nowe zjawisko. Wiele złego uczyniły najróżniejsze mody na „dbanie o siebie", „dobrostan", „obronę własnych interesów".

Dbanie o swój dobrostan jest czymś pożądanym, a nawet wspaniałym, pod warunkiem, że nie wiąże się z niszczeniem dobrostanu innych ludzi, z krzywdzeniem ich.

Ale rozumiem, że nie potępia ich Pan całkowicie?

Oczywiście, że nie. Dbanie o swój dobrostan jest czymś pożądanym, a nawet wspaniałym, pod warunkiem, że nie wiąże się z niszczeniem dobrostanu innych ludzi, z krzywdzeniem ich. Tymczasem mody, o których mówię, doprowadziły także do niezdrowych skrajności. Paradoksalnie nadmierna koncentracja na swoim dobrostanie może w dłuższej perspektywie bardzo go pogorszyć. Myślę teraz o aktach symetrycznych – kiedy sami będziemy potrzebować pomocy, opieki czy chociażby pocieszenia, inni ludzie mogą się od nas odwrócić na zasadzie: „Teraz ja zadbam o swój dobrostan – nie będę psuć sobie nastroju rozmową z kimś, kto znalazł się w kłopotach".

A może większa wrażliwość to cecha młodego pokolenia? Czasem nazywane jest przecież „pokoleniem płatków śniegu".

To jest ładne sformułowanie, więc chętnie się go używa. Żeby jednak móc odpowiedzialnie stwierdzić, że pokolenie młodych ludzi jest dziś bardziej delikatne, należałoby mieć badania, które porównują tę grupę z ludźmi, którzy byli młodzi kilkadziesiąt czy sto lat temu. A tego nie mamy.

Natomiast to, co na pewno bardzo się zmieniło i może się przyczyniać do postrzegania młodszego pokolenia jako bardziej wrażliwego, to normy kulturowe i zachowania, które jeszcze 20-30 lat temu uznawane były za zwyczajne lub przynajmniej były tolerowane, a dziś są nieakceptowalne. Myślę m.in. o tym, w jaki sposób kiedyś odnosili się niektórzy profesorowie do studentów czy szefowie do pracowników. Dziś część tych zachowań mogłaby skutkować procesami sądowymi. Nic więc dziwnego, że młodzi ludzie się na nie obruszają. Pytanie tylko, czy to jest „pokolenie płatków śniegu" – nadmiernie wrażliwych młodych ludzi, czy pokolenie, które postępuje zgodnie z nowymi normami.

Dzisiejsze czasy to także kultura terapeutyczna.

I pewne oczekiwania wobec innych ludzi mają źródło w gabinecie terapeutycznym. Oczekujemy, że inni uznają naszą perspektywę za kluczową, jak to robi nasz psychoterapeuta. Chcemy być rozumiani i wysłuchani, a nie rozumieć i wysłuchiwać innych. Oburzamy się, kiedy ktoś nas ocenia, bo psychoterapeuta tego nie robi, a przynajmniej o tym nie mówi. Chociaż może czasem byłoby dla nas lepiej, gdyby wyraził swoją opinię. Abstrahując jednak od zasad obowiązujących w gabinecie, nie możemy oczekiwać od ludzi w naszym

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



eprasa.pl 3ae9b00924



MATERIAŁY PRASOWE SWPS

PROF. DR HAB. DARIUSZ DOLIŃSKI jest psychologiem społecznym i członkiem rzeczywistym Polskiej Akademii Nauk. Zajmuje się psychologią zachowań społecznych, psychologią emocji i motywacji. Interesuje się psychologicznymi aspektami marketingu i reklamy. Wykłada na Uniwersytecie SWPS.

otoczeniu, że będą nas traktować, jakbyśmy przyszli do nich na terapię.

Może czasem oburzamy się na czyjś brak uważności, bo brakuje nam wiary w cudze dobre intencje?

Rzeczywiście, badania pokazują erozję zaufania społecznego, zwłaszcza w świecie zachodnim. Coraz mniej ufamy innym ludziom i różnym instytucjom.

Dzięki nowym technologiom wieść o osobistych wpadkach może rozprzestrzeniać się równie szybko jak kiedyś wieść o wpadkach marketingowych. Zwłaszcza że do rozwiązania konfliktów coraz częściej zapraszamy publiczność. Np. tę, która czyta nasze posty w social mediach.

To prawda, często sądzimy, że musi być ktoś z zewnątrz, kto spojrzy, oceni, wyda werdykt. Jakiś mediator. Przez to możemy tracić zdolność rozwiązywania konfliktów. Trochę tak jak osoby, które po latach chodzenia do psychoterapeuty mogą mieć gorszą zdolność samodzielnego radzenia sobie z problemami i potem chcą każdą sprawę omawiać w gabinecie. Umiejętność, która nie jest ćwiczona, zanika.

Dziś dużą wagę przywiązujemy do języka. Nie mówimy już „osoba niepełnosprawna" czy „osoba bezdomna", tylko „osoba z niepełnosprawnością", „osoba w kryzysie bezdomności". Czy to rzeczywiście świadczy o większej wrażliwości na innych? A może to tylko znajomość nowych zasad savoir vivre'u?

Ale stosowanie zasad savoir vivre'u jest rzeczą pożądaną! Co nie znaczy, że wyciągałbym daleko idące wnioski z tego, że ktoś to robi. Zawsze trochę mnie bawi, kiedy słyszę, jak ktoś mówi: „To niemożliwe, żeby napadł na sklep. To był taki miły sąsiad. Zawsze mówił »dzień dobry«". Na pewno używanie inkluzywnego języka może być przez niektórych traktowane trochę jak alibi – na tym może się kończyć ich troska o innych. Poza tym odnoszę wrażenie, że dziś dla niektórych ważniejsze jest przedstawienie siebie jako osoby wrażliwej, kogoś, komu sprawa jakiejś grupy ludzi czy zwierząt leży na sercu, niż realne działanie na ich rzecz.

Podam przykład wielkiej francuskiej aktorki. Brigitte Bardot poświęciła wiele lat życia psom, sama się nimi opiekowała, fundowała schroniska. To był znany fakt, ale Bardot nie budowała na tym swojej popularności. Dzisiaj natomiast wiele znanych osób robi dużo szumu wokół swojego zaangażowania w obronę zwierząt, ale często w ten sposób eksponują przede wszystkim własną osobę. Nie zawsze idą za tym jakieś działania.

A jak ostrożność w komunikacji wpływa na nasze kontakty z bliskimi ludźmi?

Jeśli jej celem jest konsekwentne, wręcz programowe unikanie jakiegokolwiek dyskomfortu, to źle. Wtedy ta ostrożność utrudnia budowanie relacji. Jeśli zawsze ukrywamy to, co myślimy, wycofujemy się, żeby kogoś nie urazić, nie wyjaśniamy nieporozumień na bieżąco, one rosną. Niejasności co do tego, jak druga osoba ocenia rzeczywistość, co myśli o nas, tylko się piętrzą i w końcu mogą doprowadzić do wybuchu. Niekiedy tak kończą się znajomości, przyjaźnie, a nawet małżeństwa.

Czasem powstrzymanie się od krytyki drugiej osoby nie wynika z troski, tylko z obojętności i z egoizmu, bo nie chcemy być postrzegani jako ci, którzy sprawili komuś przykrość. Wszyscy popełniamy błędy. Czasem przez lata te same, bo nikt nam nie zwrócił uwagi na to, że robimy coś źle. Unikałbym zero-jedynkowego podejścia, np. oceniać czy nie oceniać? Można zadać sobie pytanie: „Jeśli miałbym ocenić, to w jaki sposób?". Przecież krytyka może być konstruktywna. Można ją przekazać w sposób kulturalny, pokazując plusy i minusy jakiegoś zachowania, zostawiając swobodę wyboru drugiej osobie, zamiast narzucać swoją wolę. Można skupić się tylko na tym, na co ktoś ma wpływ, a unikać krytyki tego, co w człowieku niezmienne, np. wyglądu.

Gdzie jest granica, za którą troska o to, by nie urazić drugiego człowieka, przestaje ludzi do siebie zbliżać?

Nie da się tego precyzyjne określić. Zdrowy rozsądek jest tutaj głównym doradcą.

Liczyłam na to, że Pan też coś podpowie.

Myślę, że jeśli będziemy rozmawiać na żywo z najróżniejszymi ludźmi, o różnych poglądach, z różnych środowisk, to nauczymy się na bieżąco trafnie oceniać, co może ich obruszyć albo zranić. Nie mówię tylko o słowach, ale także o gestach czy zachowaniach, drobnych niezręcznościach komunikacyjnych.

Może zasadą powinno być domniemanie dobrych intencji po drugiej stronie?

To dobra zasada, ale ważniejsze jest to, żebyśmy sami mieli dobre intencje.

© Rozmawiała EWA PĄGOWSKA

eprasa.pl 3ae9b00924

TOMASZ

Stawiszyński: *Czas radykalizmów*



Od dekady Bractwo św. Piusa X notuje wyraźny wzrost powołań. Podczas gdy liczba nowych księży w Kościele katolickim spada, w Bractwie trend jest odwrotny – przybywa ich systematycznie, mniej więcej o kilka procent rocznie, tak przynajmniej wynika z oficjalnych statystyk. Czy przybywa również wiernych? Najprawdopodobniej tak, choć w tej kwestii brak szczegółowych danych, samo Bractwo podaje, że na organizowane przez nie msze uczęszcza ogółem od 400 tys. do 600 tys. osób. Niezależnie jednak od buchalterii, organizacja ta stała się ostatnio zdecydowanie bardziej widoczna.

A przecież jeszcze w latach 90. ubiegłego stulecia, kiedy o niej po raz pierwszy usłyszałem, wydawała się czymś całkiem niszowym i egzotycznym. Ledwie garstka zwolenników, praktyki zgoła partyzanckie, do tego pismo „Zawsze wierni" prezentujące wizję katolicyzmu, przy której nawet najwięksi radykałowie związani z Radiem Maryja jawili się jako reprezentanci „Kościoła otwartego". Dziś Bractwo ma w Polsce swoje szkoły, na YouTubie brylują jego kapłani, znani politycy deklarują swoją doń przynależność, a doniesienia na temat niedawnej ekskomuniki, która je objęła (za samowolę formalną, a nie doktrynalną), długo nie schodziły z czołówek portali internetowych. Nie od rzeczy jest więc pytanie: skąd ta popularność? Dlaczego prezentowana przez Bractwo wizja świata, totalnie krytyczna wobec nowoczesności, budzi coraz większe zainteresowanie?

Przełomem okazała się tu z pewnością pandemia. Parafie opustoszały, Kościół rekomendował udział w mszach online, Bractwo natomiast nic sobie nie robiło z obostrzeń. Wśród jego księży i sympatyków nie brakowało – i nie brakuje – tych, którzy w ogóle całą „covidową narrację" odrzucali, doszukując się w niej mistyfikacji i prowokacji, i dodając, że „przedkładanie życia doczesnego ponad wieczne" to w czystej postaci herezja. Właśnie od tego momentu medialna obecność Bractwa wyraźnie się zagęściła, a jego głos zaczął być bardziej słyszalny. Niewątpliwie trafił na podatny grunt mnożących się w ogromnym tempie teorii spiskowych. Ale nie tylko.

Owszem, podstawowym samookreśleniem lefebrystów pozostaje odrzucenie Soboru Watykańskiego II wraz z jego doktryną *aggiornamento* (z włoskiego: uwspółcześnienie, aktualizacja) i otwarciem na ekumenizm, niemniej proste utożsamienie Bractwa i „Kościoła przedsoborowego" byłoby uproszczeniem. Ostatecznie także przed soborem istniały rozmaite warianty katolicyzmu. Inny, dajmy na to, był katolicyzm Josepha De Maistre'a, inny zaś kardynała Johna Newmana, inne były ich wrażliwości i postawy wobec świata. Ta religia od początku swojego istnienia – wbrew temu co przypisują jej niektórzy krytycy – po pierwsze, akcentuje i akceptuje wewnętrzną różnorodność, a po drugie, nieustannie szuka w niej jakiejś równowagi, jakiegoś złotego środka.

Ale znowu, niezależnie od tego, czy wariant katolicyzmu głoszony przez „lefebrystów" jest ekstremalną formą mieszczącą się czy też niemieszczącą w szerokim spektrum ortodoksji, pytanie o powody jego wzrastającej popularności pozostaje w mocy. Skłonność do myślenia spiskowego tłumaczy ją tylko częściowo. Co mamy tu jeszcze? Absolutna pewność siebie bijąca z wypowiedzi członków Bractwa oraz jego oficjalnych dokumentów; zbawienie dla prawowiernych, a piekło – rozumiane dosłownie jako „ogień wieczny" – dla tych wszystkich, którzy mają jakiekolwiek wątpliwości oraz dla „heretyków" i „pogan", czyli chrześcijan nielefebrystów i wyznawców innych religii; czarno-białą rzeczywistość, w której na każde pytanie istnieje klarowna odpowiedź, a z każdego dylematu jest wyjście; ścisłą hierarchię, posłuszeństwo, porządek, dyscyplinę, rygor, strukturę, władzę, siłę. To chyba najważniejsze elementy.

Wiadomo, rozmaite radykalizmy świetnie sobie radzą w czasach chaosu, oferują bowiem iluzję trwałości tam, gdzie wszystko rozpływa się w powietrzu. Z pewnością dla wielu spośród tych, którzy stoją na antypodach wyznawanych przez Bractwo poglądów, taka odpowiedź jest najbardziej satysfakcjonująca. Skądinąd, dziś w środowiskach liberalno-lewicowych często w ten sposób zbywa się wszelkie postawy prawicowo-konserwatywne, bez względu na ich skalę – jako efekt lęku, moralnej słabości albo zwykłej głupoty. Wynika to, moim zdaniem, z niezdolności znacznej części tzw. lib-leftu do krytycznego spojrzenia na własne założenia, postawy i przekonania, a zatem ze szczególnej formy samozadowolenia.

Tymczasem skrajność konserwatyzmu proponowanego przez Bractwo – oraz inne pokrewne „oferty", w świecie zachodnim i islamskim – jest, mam wrażenie, wprost proporcjonalna do skrajności, które rozwijają się w dzisiejszej kulturze, tyle że na przeciwnym biegunie. Istnieją bowiem również symetryczne do konserwatywnego radykalizmy, zagęszczające się i zaostrzające w drugą stronę. Opierają się one na odrzucaniu wszelkich dotychczasowych ograniczeń, struktur, hierarchii i zastępowaniu ich mitem globalnej rewolucji, absolutnej wolności i samostanowienia, bywa, że osiąganych z pomocą technologii. Te radykalizmy, bez względu na wektor, przyjmują coraz bardziej gargantuiczną, karykaturalną formę, warunkują się nawzajem, nieświadomie stymulują własny rozwój – bo też i w świecie, w którym żyjemy, zatracają się kolejne proporcje, a racjonalność, powściągliwość i umiarkowanie coraz częściej uznawane są za nietakt. No ale o tym przy innej okazji, bo takiego tematu felietonowa puenta z całą pewnością nie pomieści. ©

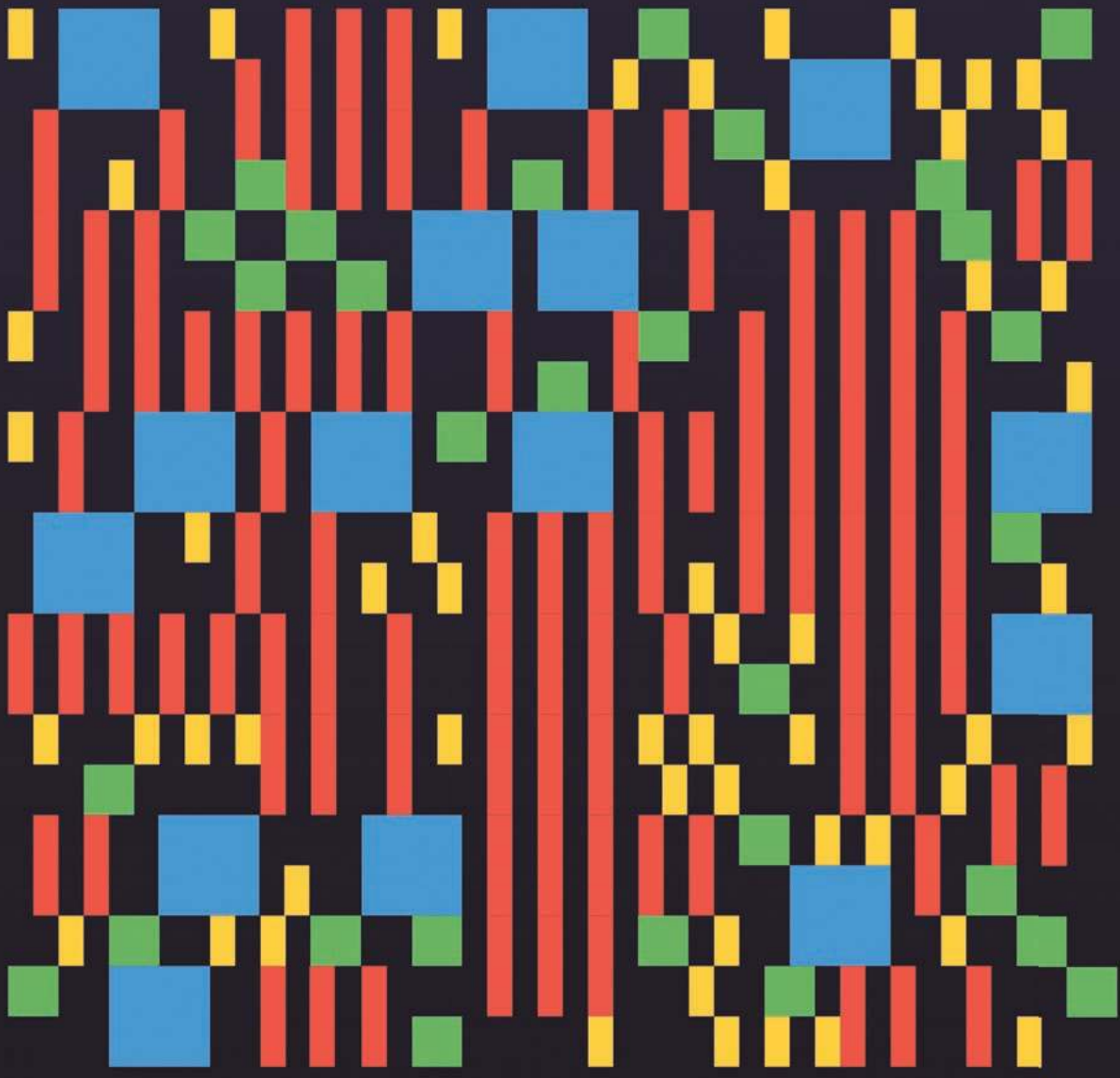
Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

eprasa.pl 3ae9b00924

REKLAMA

re:tradycja

JARMARK JAGIELLOŃSKI



Festiwal muzyki i rzemiosła tradycyjnego

21 → 23.08.2026

Lublin → Stare Miasto

Wstęp wolny

retradycja.eu

organizatorzy | organizers

patronat honorowy | honorary patronage

mecenas | patron

eprasa.pl 3ae9b00924



Odwiedź Kopalnię Soli „Wieliczka”

Trasa Turystyczna - zachwycająca podróż przez historię i kulturę. Idealna na rodzinną wyprawę.

Trasa Górnicza - prawdziwy ekwipunek, realne zadania i niezapomniana przygoda dla odkrywców.

Kup bilet online >>

www.kopalnia.pl

REKLAMA

eprasa.pl 3ae9b00924